TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne | TygodnikPowszechny.pl
Kraków 17 – 23 czerwca 2026 | nr 25 (4015)
cena 16 zł (w tym 8% VAT)

SENS ZAMIAST SENSACJI

Czubkowska: Chiny dyktują, co oglądasz

Bieńczyk: Chwalińska ratuje tenis

Koziołek: Kiedy dusza ma łaskotki

Adamski: Polacy–Ukraińcy, anatomia emocji

EKSTRA STRONY Poznański Czerwiec 1956



PATOARCHITEKTURA

STAĆ NAS NA ŁADNIEJSZĄ POLSKĘ

FILIP SPRINGER | STR. 10-14

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425


RAINBOW
LATO
JEDYNE
W TWOIM
RODZAJU
Lecąc na wakacje z Rainbow masz zawsze w cenie:
Bagaż rejestrowany i podręczny
Transfer lotnisko-hotel-lotnisko
Ubezpieczenie podstawowe
Opieka rezydenta
R.pl
Znajdź wyjazd idealnie dopasowany do Ciebie!
REKLAMA

4 Edytorial
KS. ADAM BONIECKI, MONIKA OCHĘDOWSKA

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Czyja piłka
MICHAŁ OKOŃSKI

8 Komentarze

■ ■ KRAJ

16 Polacy wobec Ukraińców
ŁUKASZ ADAMSKI: *Pożar, który wywołała decyzja o nadaniu ukraińskiej jednostce nazwy „Bohaterów UPA", podsyca zmiana nastawienia Polaków do Ukraińców*

19 Dom z dzieckiem
MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA: *Wyprowadzka z rodzinnego domu wciąż uchodzi w Polsce za kluczowy warunek osiągnięcia dorosłości*

22 Natrętne myśli
ANNA KORYTOWSKA: *Świat oswoił depresję, ale wielu osobom z OCD nadal trudno przyznać się do problemu*

■ ■ ZMYSŁY

28 Tenis zdekonstruowany



VALENTIN IZZO / HANS LUCAS / AFP / EAST NEWS

MAREK BIEŃCZYK: *Fenomen Mai Chwalińskiej wykracza daleko poza przestrzeń kortu*

■ ■ ŚWIAT

32 Salwador: jak rodzi się dyktatura
JAN BLUZ: *Liczba zabójstw spadła tu o 98 procent. Ale cena jest wysoka: zamiast przemocy gangów jest przemoc państwa*

36 Pożegnanie z Afryką (Południową)
TADEUSZ MICHROWSKI: *Kiedyś kraj „tęczowej nacji" i Nelsona Mandeli, dziś w czołówce najbardziej ksenofobicznych społeczeństw na kontynencie. Jak do tego doszło?*

39 Korupcja w Białym Domu
MARTA ZDZIEBORSKA: *Trump zawsze traktował państwo jak skarbonkę. Dziś demokracja w Stanach okazuje się bezradna wobec prezydenta, który całe życie obchodził prawo dla swoich korzyści*

JERZY SKAKUN DLA „TP"

TEMAT TYGODNIKA

10
Co poszło nie tak

FILIP SPRINGER

Choć Polska jest dziś bogatsza niż kiedykolwiek, nowe osiedla przegrywają z najlepszymi realizacjami z czasów PRL. Dlaczego architektura podporządkowana jest ekonomii zamiast jakości życia?



■ STRONY SPECJALNE ■

26 TYGODNIK CZYTELNIKÓW: TRAUMA-ZDRÓJ

43 POLSKA I NIEMCY: 35 LAT PÓŹNIEJ

63 POZNAŃSKI CZERWIEC. 70 LAT PAMIĘCI

88 NOMINACJE DO 21. NAGRODY LITERACKIEJ GDYNIA

■ FELIETONY ■

9 BARTOSZ MINKIEWICZ
25 OLGA DRENDA
42 ZUZANNA RADZIK
62 ELIZA KĄCKA
92 PAWEŁ BRAVO
98 TOMASZ STAWISZYŃSKI

GRAFIKA NA OKŁADCE:
JERZY SKAKUN DLA „TP"

REDAKTORKA PROWADZĄCA:
MONIKA OCHĘDOWSKA

■ ■ WIARA

54 Kiedy dusza ma łaskotki
Z RYSZARDEM KOZIOŁKIEM ROZMAWIA MICHAŁ OKOŃSKI: *Przekaz ewangeliczny jest nadal bezkonkurencyjny. Nie ma równie radykalnego wezwania etycznego jak to o bezwarunkowej miłości bliźniego*

59 Zrozumieć sikha
PATRYCJA BUKALSKA: *Po śmierci Henry'ego Nowaka sikhowie stali się celem ataków*

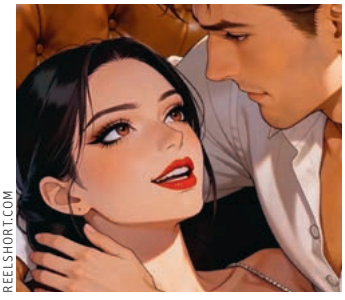
61 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA SJ
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ NAUKA

72 Wiara naszych ojców
WOJCIECH BRZEZIŃSKI: *Na polskich ziemiach wyznawano różne religie tysiące lat przed pierwszym grzmotem Peruna*

■ ■ KULTURA

78 To jest drama



REELSHORT.COM

SYLWIA CZUBKOWSKA: *Trend rodem z Chin zmienia to, co oglądamy w streamingu*

82 Córczyzna
ANITA PIOTROWSKA: *Aktorka Sandra Hüller napełnia życiem filmową tkankę „Ojczyzny"*

84 Książę w bardzo złym humorze
JACEK WAKAR: *Znak czasu w polskim teatrze: wszyscy biorą się za „Hamleta"*

87 Polecamy

90 Moc przybyła
PAWEŁ KICMAN: *Miecze, lasery, bojowe koty i wielki zamek w kształcie czaszki – He-Man powrócił*

91 Między światami
LEKTOR *o książce „Książę Lampedusy" Stevena Price'a*

■ ■ PSYCHE

94 Ciesz się ciszą
KAMA WOJTKIEWICZ: *Kim jestem, kiedy nie osiągam, nie oceniam, kiedy nie jestem widziana za to, co robię?*

KS. ADAM

Boniecki: *Sprawy ostateczne i nieostateczne*

Czytając wywiad Michała Okońskiego z Ryszardem Koziołkiem pomyślałem, że napiszę tak, jakby ta rozmowa była ze mną: o mojej wierze i niewierze. O tym, jak to się zmieniało, bo gdy żywot mój dobiega kresu, mogę sobie na to pozwolić.

Pierwszy etap jest prosty. Prawdy wiary przyjmowałem tak, jak inne informacje o świecie. Niektórzy moi bliscy umierali, ale wiedziałem, że żyją w zaświatach i, choć nieobecni, jednocześnie są blisko, a kontakt z nimi nie stanowi problemu. Pierwsze spowiedzi i towarzyszące im rachunki sumienia były proste. Nawet śmierć ojca była straszliwą traumą, ale nie zachwianiem wiary. Po prostu wiedziałem, że śmierć jest początkiem lepszej, tajemniczej, lecz realnej egzystencji.

Kolejny etap to był etap nawyku. Wiara w Boga, w życie po śmierci, w Kościół, nabożeństwa, ba, nawet w księży, była sprawą załatwioną, jak sądziłem, raz na zawsze. To „się wiedziało". Ateistyczny był ustrój, ateistyczni byli niektórzy nauczyciele, a także esbecy, którzy potrafili mnie dopaść tam, gdzie się ich nie spodziewałem. Potem wstąpiłem do zakonu, co okazało się niezwykłą przygodą. Byłem i jestem do dziś przekonany, że to był dobry wybór. Czy lata formacji wpłynęły na moją wiarę? Z pewnością podbudowały przekonania, dostarczyły argumentów, dały też świadomość, że nie wszystko w Kościele jest piękne i gładkie. Z drugiej strony: ksiądz jest z natury rzeczy człowiekiem wiary. Apostołem, świadkiem, bez względu na jego stan osobisty. A „misja" mobilizuje.



GRAŻYNA MAKARA



GRAŻYNA MAKARA

MONIKA

Ochędowska: *Jak mieszkamy*

Czy w Waszej okolicy są skateparki, tory do pumptrucku albo świetlice dla młodzieży czy seniorów? Przestrzenie, w których można bezpłatnie poszaleć na deskorolkach i hulajnogach albo zagrać w planszówki podczas deszczowego popołudnia? A może są chociaż parki z miejscem na spacery, sąsiedzkie pikniki albo kameralne koncerty miejscowych zespołów?

Moje osiedle leży na południowo-wschodnim skraju miasta. Wyrosło tuż obok strefy przemysłowej, w sąsiedztwie hurtowni, magazynów, centrów logistycznych i ogromnego placu targowego, na którym codziennie zaopatrują się okoliczni handlarze. Mieszka tu kilkadziesiąt tysięcy głównie młodych ludzi – rodziny z małymi dziećmi. Do niedawna mieliśmy jedną drogę dojazdową, a jeszcze pięć lat temu nie zatrzymywał się tu żaden nocny autobus – jego najbliższy przystanek znajdował się w odległości 3 km, ale biorąc pod uwagę brak chodnika na tej trasie, nie była to najbezpieczniejsza wycieczka.

Odkąd tuż obok osiedla zatrzymuje się pociąg, łatwiej dojechać do centrum miasta, wciąż jednak

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

ZAMÓW PRENUMERATĘ TERAZ STRONA 15

SPRAWDŹ PROMOCYJNĄ OFERTĘ: PRENUMERATA.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Może chroniła mnie łaska Boża, ale szedłem tą drogą. Właśnie tak: nie starałem się być heroicznym wzorem dla innych, tylko iść drogą wiary, którą głosiłem, której broniłem z przekonaniem, którą przez lektury, praktyki religijne, doświadczenia życiowe pogłębiałem. Tak było długie lata.

I przyszedł osobliwy moment, w którym starość dała o sobie znać. Coś się stało z moim mózgiem. Ani na chwilę nie straciłem przytomności, nie miałem halucynacji, amnezji, ale jednak coś się stało. O tym, co wtedy było z moją wiarą, już tu kiedyś pisałem. Przypomnę krótko: był to moment rozsypania się wiary wyuczonej, ale nie utraty wiary. Obrazy zawarte w Ewangelii zobaczyłem jako obrazy mające przybliżyć coś, czego nie da się wyrazić słowami. Zasadniczą wiadomością, która została nietknięta, były słowa, że „ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani w duszę człowieka nie wstąpiło...". To zaproszenie do rozstania się z wyobrażeniami zakładającymi fizyczne odczuwanie przy zgaśnięciu wraz ze śmiercią naszej fizyczności wydało mi się kluczem do odpowiedzi na pytanie, na które chyba nie sposób odpowiedzieć w świecie, który doświadczamy. Mniejsza zresztą o szczegóły: ważne, że wszedłem w nowy etap przeżywania wiary. Nie wiem, jak to długo jeszcze potrwa. Słowa „światłość wiekuista" są przenośnią zakładającą posiadanie oczu, oczy tymczasem, jak cała reszta, zamienią się w tzw. proch. Wiem, że dla mnie czas paralelnych obrazów się skończył, dlatego rezygnuję z przenośni i czekam na „zobaczenie", jak to będzie „wyglądało". Czekam spokojnie, a jak się przekonam, to wam powiem. Oczywiście powiem na sposób właściwy nowemu sposobowi istnienia. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego"

trzeba się tam wybierać również po to, by skorzystać z jakiejkolwiek oferty kulturalnej. W naszej bibliotece nie ma spotkań dla mieszkańców ani klubu czytelniczego. Na osiedlu nie ma nawet porządnej siłowni, nie mówiąc o basenie czy innych atrakcjach, takich jak sala koncertowa albo teatr. Młodsze dzieciaki sobie radzą, starszym trudniej zagospodarować czas. Nic dziwnego: miejsca, które zamieszkujemy, od dawna projektowane są przecież w taki sposób, by na najmniejszej przestrzeni zmieściło się nas jak najwięcej. Zieleń to mikroskopowe trawniczki z pojedynczymi ławkami, ewentualnie niewielkie place zabaw dla maluchów.

W centrach dużych miast budujemy przede wszystkim z myślą o wynajmie krótkoterminowym. Poza miastami na odrolnionej ziemi i tam, gdzie nie ma dróg ani mediów. Powstają osiedla bez chodników, oświetlenia czy terenów zielonych, nie mówiąc o sklepach, żłobkach czy szybkim dostępie do lekarza. Rosnące wymagania środowiskowe wobec naszych przestrzeni to przy tym wszystkim *science fiction*. Jak to zmienić? Czy naprawdę nie stać nas na to, by żyło nam się lepiej? Komu zatem służy architektura, która dziś powstaje w Polsce? Zachęcam do lektury okładkowego tekstu Filipa Springera. ©℗

Dziennikarka i redaktorka działu Kultura, członkini kapituły Nagrody Conrada przyznawanej za najlepszy debiut prozatorski.

TP WKRÓTCE W „TYGODNIKU"



ADOBE STOCK / MONTAŻ „TP"

OLGA DRENDA
O pożytkach z niewygody. Czyli jak z bycia *offline* i ze starych technologii uczynić życiowy luksus.

MAŁGORZATA NOCUŃ
Rozmawia z Jakubem Stefańczykiem, niewidomym tatą Ewy – o tym, jak pokazuje dziecku świat.

WOJCIECH BRZEZIŃSKI, AGATA KAŹMIERSKA
AI na wojnie: drony ze sztuczną inteligencją, która sama wybiera cel i zabija, to nie *science fiction*. To rzeczywistość – na Bliskim Wschodzie i Ukrainie.

MAREK BIEŃCZYK
Jej zdania dyszą. Są krótkie, szybkie i mocne. Dziwią, wymagają wysiłku, domyślania się. Tkwi w nich poetycka siła. Violette Leduc wydaje mi się pisarką wyraźnie lepszą niż noblistka Annie Ernaux.

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

Zapisz się na newsletter
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/PODKAST

OBRAZ TYGODNIA

8–14 CZERWCA 2026

USA I IRAN porozumiały się w sprawie pokoju: cieśnina Ormuz będzie otwarta, amerykańskie sankcje zostaną zdjęte, a Teheran zobowiąże się, że nie będzie produkował broni atomowej. Pierwsze informacje z Izraela mówią o niezadowoleniu rządu Netanjahu, pierwsze informacje z giełd – o entuzjazmie rynków. ■■■ **USA I AI:** amerykański rząd nakazał firmie Anthropic zablokowanie dostępu obcokrajowcom do jej nowych modeli, Claude Fable 5 i Mythos 5. Eksperci mówią, że zaawansowane narzędzia AI mogą służyć np. do ataków hakerskich i że światowe mocarstwa zaczęły je traktować jak aktywa strategiczne. ■■■ **SPACEX** weszła na giełdę, a w związku z tym jej właściciel Elon Musk został pierwszym w świecie bilionerem. ■■■ **MUNDIAL** rozpoczął się w Meksyku, Kanadzie i USA, gdzie obchodzący 80. urodziny Donald Trump zorganizował też galę mieszanych sportów walki w Białym Domu. ■■■ **O UKRAINIE,** sytuacji na froncie i za jego linią (Ukraińcy kontynuują ataki dronowe na rosyjskie zakłady chemiczne i naftowe, Rosjanie bombardują Kijów, gdzie pożar wybuchł m.in. w Ławrze Pieczerskiej) prezydent Trump rozmawiał z Wołodymyrem Zełenskim i Władimirem Putinem. ■■■ **KAROL NAWROCKI** udał się do USA, gdzie m.in. spotka się z Donaldem Trumpem. Premier Tusk mówi, że po tej wizycie nie spodziewa się niczego. ■■■ **KAPITUŁA** Orderu Orła Białego dyskutowała o odebraniu odznaczenia Wołodymyrowi Zełenskiemu po tym, jak nadał jednostce wojskowej imię „bohaterów UPA"; ostateczną decyzję prezydent „podejmie w odpowiednim czasie". ■■■ **PAKT MIGRACYJNY,** zawarty między krajami UE, wszedł w życie. Obejmuje m.in. obowiązkową rejestrację i kontrole migrantów nielegalnie przekraczających granice Unii, szybsze procedury deportacyjne dla osób, które mają małe szanse na uzyskanie azylu, i tzw. mechanizm solidarnościowy, z którego Polska (oraz Austria, Bułgaria, Chorwacja, Czechy i Estonia) została czasowo zwolniona. ■■■ **W BELFAŚCIE** wybuchły antyimigranckie zamieszki po tym, jak azylant z Sudanu okaleczył nożem przechodnia. ■■■ **LEON XIV** podczas pielgrzymki do Hiszpanii odwiedził Wyspy Kanaryjskie, gdzie wzywał do troski o migrantów, a w Barcelonie odprawił mszę w ukończonym wreszcie kościele Sagrada Família. ■■■ **ZMARLI:** brytyjska ikona pop-artu David Hockney (88 lat), polski aktor Janusz Michałowski (89 lat). ■■■ **PATOSTREAMING** zakazany przez Sejm; względna jednomyślność posłów każe mieć nadzieję, że w tej sprawie obędzie się bez weta. ■■■ **PROHIBICJA DZIAŁA:** w objętych nią w ostatnim półroczu dzielnicach Warszawy liczba nocnych interwencji Straży Miejskiej spadła o 6 proc., w dzielnicach nieobjętych ograniczeniami – wzrosła o 12 proc. ■■■ **Z ŁOMŻY DO OSTROŁĘKI,** Białegostoku i Olsztyna znów jeżdżą pociągi; przerwa w kursowaniu trwała 33 lata. ■■■ **W KRAKOWIE** kandydatką KO na prezydenta miasta będzie Monika Piątkowska. Decyzję o ubieganiu się o urząd pani senator ogłosiła w Warszawie. ©℗



SHAUN CLARK / ISI PHOTOS / GETTY IMAGES

POWYŻEJ: Piłkarze reprezentacji USA wraz ze swoim argentyńskim trenerem Mauricio Pochettino (w garniturze) świętują bramkę podczas meczu z Paragwajem na tegorocznym mundialu. Los Angeles, 12 czerwca 2026 r.

CZYJA PIŁKA

Zaczął się mundial. Czy Donaldowi Trumpowi i Gianniemu Infantino udało się zawłaszczyć najpopularniejsze widowisko świata?

MICHAŁ OKOŃSKI

O TYM, JAK PROBLEMATYCZNY TO TURNIEJ, NAPISANO wiele, także w „TP". Piłkarskie mistrzostwa świata problematyczne były zresztą od początku: mimo idealizmu ich pomysłodawcy, Julesa Rimeta, interesom polityków służyły już w 1930 r. w Urugwaju oraz w 1934 r. we Włoszech Mussoliniego. W 1978 r. organizatorem mundialu była argentyńska junta, w 2018 r. piłkarze gościli w Rosji, a w 2022 r. w Katarze, gdzie za budowę stadionów na pustyni płacili zdrowiem i życiem wznoszący je robotnicy.

Słowem-kluczem, tłumaczącym to zjawisko, był sportswashing: możni tego świata wykorzystywali futbol do poprawy wizerunku, ubicia interesów ekonomicznych (także dzięki zyskom z turystyki), w ślad za którymi szedł wzrost znaczenia ich kraju czy organizacji.

TRUMP I FIFA | Ale ten mundial, odbywający się w USA, Meksyku i Kanadzie, jest inny. Donald Trump, główny



Piłkę nożną w USA budują przybysze

SPORT ■ **Oto jeden z mundialowych paradoksów: „Amerykę znów wielką” (piłkarsko wielką po raz pierwszy) mają uczynić przybysze. Selekcjonerem reprezentacji USA – złożonej po części z dzieci imigrantów, urodzonych poza Stanami, w przeszłości wręcz (jak urodzony w Niemczech Malik Tillman) występujących w młodzieżówkach innych krajów – jest Argentyńczyk Mauricio Pochettino.**

Ze wszystkich trenerów ma on na mundialu najtrudniej. Nie tylko dlatego, że nawet będąc selekcjonerem USA, musiał przy każdym przylocie stać w długiej kolejce dla osób bez zielonej karty. Także ze względu na oczekiwania Białego Domu, nieadekwatne do stopnia rozwoju tej dyscypliny w kraju, gdzie pierwszym prezentem dla dziecka nie jest futbolówka, tylko piłka do kosza lub do futbolu amerykańskiego, względnie kij baseballowy.

gospodarz, nie wita przybyszów „chlebem i solą”, nie wprowadza ułatwień wizowych dla fanów. Przeciwnie: obywatele kilku państw, które wywalczyły sobie prawo gry w turnieju (z Iranem na czele), o przekroczeniu granicy USA nie mogą nawet marzyć. Zakaz wjazdu dotknął najlepszego sędziego z Afryki, Somalijczyka Omara Artana. Jeśli mowa w tym kontekście o wykorzystaniu mundialu do czegokolwiek, to raczej do zaprezentowania oblicza mocarstwa, które budzi respekt i może ewentualnie uchylić drzwi dla gościa pod warunkiem, że ten zapewni gospodarzowi zysk.

Ideologia prezydenta USA spotyka się tu ze strategią prezydenta FIFA, Gianniego Infantino. Podczas czteroletniego cyklu między jednym mundialem a drugim ta światowa organizacja piłkarska zarabia ok. 13 mld dolarów – ze sprzedaży praw do transmisji, reklam, a także biletów na mecze, których ceny w tym roku kształtowano jak w liniach lotniczych: dynamicznie, co przez jakiś czas windowało je na niebotyczne poziomy.

Część z tych pieniędzy FIFA rozdaje wśród zrzeszonych w niej krajowych federacji na tzw. projekty rozwojowe. W praktyce to narzędzie umożliwiające Infantino sprawowanie władzy absolutnej. Temu samemu służyło powiększenie liczby uczestników mistrzostw do 48, co dowartościowało federacje (czytaj: jego elektorat) z Afryki i Azji. Tu się zarabia na wszystkim, nawet na wodzie, której nie można wnosić na stadiony mimo upałów w Ameryce. Upały służą też za pretekst do monetyzacji: wprowadzone w trakcie meczów dodatkowe przerwy na nawodnienie piłkarzy to *de facto* przerwy na emisję reklam.

PIŁKA I POKÓJ | Czy Trumpowi opłaci się ta impreza? Z pewnością od lat karmi własne ego na sportowych arenach, pielęgnując relacje z gwiazdami i szukając poklasku widowni. Na ubiegłorocznych, również organizowanych w USA, klubowych mistrzostwach świata podczas ceremonii wręczenia trofeum piłkarzom Chelsea ani myślał zostawić ich samych i zabrał sobie jeden z medali. Jak to ujął jeden z badaczy opisujących splot futbolu, ekonomii i polityki, Simon Kuper: „Trump chciałby być gwiazdą mistrzostw na równi z Pelém, Maradoną czy Messim”.

Symbolem problemów trwającego turnieju może być wręczona przez Infantino Trumpowi, wymyślona specjalnie w tym celu, „nagroda pokojowa FIFA” – co miało miejsce niedługo przed atakami USA na Wenezuelę i Iran. Do chwili zamknięcia tego numeru „TP” amerykański prezydent nie pokazał się jednak na żadnym z meczów (udany debiut reprezentacji USA na imprezie, zwycięstwo z Paragwajem 4:1, obserwował z trybun Marco Rubio; za to Trump zorganizował w Białym Domu galę mieszanych sztuk walki).

Tu nic nie jest proste, bo stadiony, na których gra się w USA, leżą w miastach sympatyzujących z Demokratami. Reakcji tłumów – zwłaszcza utożsamiających się z drużynami z Ameryki Łacińskiej – nie sposób więc przewidzieć.

WAŻNE I NIEWAŻNE | Tutaj otwiera się w końcu możliwość napisania o tym, co najważniejsze: dla milionów mieszkańców globu nadszedł czas karnawału. Piłka nie należy do uwłaszczających się na niej działaczy, biznesmenów czy dyktatorów – piłka należy do kibiców. Np. do fanów Curaçao, które wbrew wszelkim prognozom strzeliło bramkę w meczu z Niemcami (ostatecznie triumfującymi). Albo do Szkotów, którzy tańczyli przy dźwiękach kobz na ulicach Bostonu po zwycięstwie z Haiti.

Należy także do tych kibiców, których nie stać było na podróż za ocean, a którzy nie przesypiają kolejnych nocy – nie zawsze po to, by dopingować swoich, ale by po prostu cieszyć się grą gwiazd, które już znali (np. Viniciusa Juniora, który uratował Brazylii remis z Marokiem) lub które objawiły im się dopiero teraz (np. 18-letniego Marokańczyka Ayyouba Bouaddiego, dającego brazylijskim rutyniarzom lekcje kontrolowania gry).

Zachwyt kolejnymi golami (widzieli państwo czwartą bramkę dla USA w meczu z Paragwajem?) przekracza podziały ideowe, klasowe czy pokoleniowe. Simon Kuper nieprzypadkowo odwołuje się do o. Lincolna Harveya, autora „A Brief Theology of Sport”, który twierdzi, że mundial jest jak najważniejsze święto religijne, tyle że obejmujące też ateistów.

To czas wytchnienia od codziennej harówki i czas celebrowania ludzkiego talentu – zarówno ucieleśnionego w wybitnych jednostkach (gdy to piszę, czekamy na pierwszy występ Messiego), jak też znajdującego swoje miejsce w ramach systemu, czytaj: drużyny. Czas, w którym manifestuje się poczucie przynależności do wspólnoty (nawet jeśli nieco wyobrażonej; wielu piłkarzy i jeszcze więcej fanów na trybunach to przedstawiciele diaspory) i w którym się rywalizuje, ale tylko na boisku (po skończonym meczu kilku Niemców dołączyło do modlących się graczy Curaçao).

Ostatecznie w tym wszystkim chodzi tylko o futbol, czyli, jak mawiał ponoć Jan Paweł II, „najważniejszą z rzeczy nieważnych”. ©℗

KONRAD CIESIOŁKIEWICZ, EKSPERT DS. OCHRONY DZIECI:

Z patostreamingiem miało kontakt trzy czwarte młodych Polaków

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Co jest istotą przyjętej przez Sejm ustawy o patostreamingu?
KONRAD CIESIOŁKIEWICZ: Jest nią wprowadzona w Polsce po raz pierwszy ochrona karna grup szczególnie narażonych, w tym dzieci, przed produkcją i dystrybucją patostreamingu. Patostreamingu, czyli filmów pokazujących przemoc, np. krzywdzenie seksualne albo wyszydzanie i lżenie osób, które mogą być nie do końca świadome tego, co się dzieje, choćby ze względu na swoje dysfunkcje.

Dyskusja na ten temat trwa od wielu lat, ale nigdy wcześniej decydentom nie udało się wprowadzić do Kodeksu karnego przepisu chroniącego nas przed patostreamerami.

I to przy ponadpartyjnej zgodzie, bo „za" głosowało 419 posłów. Co to nowe prawo, jeśli przejdzie przez Senat i zyska podpis prezydenta, będzie znaczyć w praktyce?
Że osoba, która dystrybuuje i rozpowszechnia patostreamy, a przy tym wykorzystuje osoby w zależności, np. z niepełnosprawnością czy małoletnie, zagrożona będzie karą ograniczenia wolności do pięciu lat.

Do tej pory patostreaming rządził się prawami świata cyfrowego. Platformy odmawiały usuwania takich treści albo usuwały je opieszale. A jeśli nawet czyniły to bez zwłoki, patostreamerzy wypływali na innych platformach, ewentualnie zaczynali tworzyć innego rodzaju treści. I nie groziła im za to kara.

Co więcej, byli dodatkowo – ze względu na swoje zasięgi – chronieni przez szeroko pojęty świat medialno-kulturalny. Osoby, które można uznać za przestępców, były zapraszane do audycji radiowych i telewizyjnych, na festiwale sportowe, np. jako promotorzy walk MMA. Teraz nie będzie to już takie łatwe.

Co wiemy o skali zagrożenia patostreamingiem?
Z badań NASK-u wiadomo, że aż trzy czwarte młodych ludzi miało z nim styczność. A prawie 30 proc. siódmo- i ósmoklasistów ogląda tego rodzaju treści regularnie.

Chcę zwrócić uwagę, że ustawa, o której mówimy, to tylko element całego pakietu uregulowań. Obok m.in. przyjętej przez rząd ustawy o ochronie przed treściami pornograficznymi czy – zawetowanej niestety przez prezydenta – ustawy wdrażającej akt o usługach cyfrowych. Ale też regulacji oświatowych: wprowadzenia do szkół elementów higieny cyfrowej, edukacji medialnej czy obowiązkowego już przedmiotu edukacja zdrowotna.

Nie brakuje też obaw, np. że nowe prawo o patostreamingu może zostać kiedyś wykorzystane przez władzę z autorytarnymi ciągotami do walki z opozycją.
Nie kupuję tego argumentu, bo wierzę w mądrość sędziów i polskiego wymiaru sprawiedliwości. Dla mnie taka argumentacja wyłącznie osłabia nasze instytucje i sprawia, że co i rusz odstępujemy od regulacji tam, gdzie państwo ma obowiązek chronić swoich obywateli. Trzeba z tą zasadą skończyć. ©℗


ARCHIWUM PRYWATNE

KONRAD CIESIOŁKIEWICZ jest doktorem nauk społecznych związanym z Uczelnią Korczaka, członkiem Państwowej Komisji ds. przeciwdziałania pedofilii. Ekspert i działacz na rzecz bezpieczeństwa i praw osób małoletnich, laureat Nagrody Korczaka.



Belfast płonie

MARCIN ŻYŁA

SŁOWA „POGROM" NALEŻY UŻYWAĆ OSTROŻNIE. Posługują się nim jednak świadkowie rozruchów, które przez wiele dni trwały w Belfaście, stolicy Irlandii Północnej. Po bestialskim, utrwalonym na filmie ataku nożownika, 30-letniego azylanta z Sudanu, przez kilka dni ulice tego miasta terroryzowały grupy młodych mężczyzn. Krążyli oni od domu do domu, wyszukując osób o ciemnej karnacji. Podpalali ich auta i mieszkania. Pierwszego wieczoru zamieszek straż pożarna odebrała ćwierć tysiąca zgłoszeń. Sceny z ulic Belfastu mogły wywoływać wspomnienia z najgorszych lat konfliktu między katolikami a protestantami.

Sprawca jest oskarżony o usiłowanie zabójstwa. Ofiara, przechodzień, straciła oko, a życie zawdzięcza odważnej interwencji świadków. Napastnik w 2023 r. otrzymał od Brytyjczyków status uchodźcy (wcześniej wjechał do Irlandii Północnej, korzystając z otwartej granicy z Republiką Irlandii). Choć brytyjskie procedury azylowe są surowe (obejmują m.in. dwa szczegółowe wywiady z wnioskującymi o azyl) i można założyć, że były podstawy, by udzielić mu azylu, i choć dopiero sąd ustali, czy Sudańczyk był poczytalny – zamieszki w Belfaście na nowo wzbudziły dyskusję o imigracji.

Policyjne statystyki nie dają tu powodu do obaw: w 2025 r. w Irlandii Północnej za przestępstwa imigracyjne zatrzymano 900 osób, wśród których najwięcej było obywateli Rumunii i Albanii. Liczba azylantów, którym udzielono tu tymczasowego schronienia, spadła i wynosi obecnie 2379. W sąsiedniej Republice Irlandii aż jedna czwarta mieszkańców urodziła się za granicą – są to jednak głównie Brytyjczycy i Polacy. Ale statystyki to jedno – a efekt, jaki wywołało nagranie brutalnego ataku, to drugie.

W tych samych dniach wszedł w życie unijny pakt migracyjny – o który jeszcze kilkanaście miesięcy temu spór z Brukselą toczyli Orbán i Tusk. Od teraz wszyscy migranci, którzy nielegalnie przekroczą granice UE, w ciągu tygodnia muszą przejść procedury identyfikacyjne, a ich dane trafią do wspólnej bazy. Ci pochodzący z państw, których obywatele dostają więcej niż 20 proc. odmów, mają być kierowani do ośrodków poza granicami UE, a ich wnioski powinny zostać rozpatrzone w ciągu 12 tygodni.

Pakt krytykuje zarówno wielu polityków lewicy (jako ograniczający prawa człowieka), jak i prawicy (jako zbyt łagodny). O tym, czy jest skuteczny, przekonamy się dopiero podczas ewentualnego kryzysu. Nie znamy też odpowiedzi na pytanie kluczowe: czy szybkie procedury nie przeszkodzą w identyfikacji takich osób, jak napastnik z Belfastu. ©

Sagrada Família: początek końca



ALBERTO PAREDES / AP / EAST NEWS

Pokaz sztucznych ogni podczas poświęcenia Wieży Jezusa Chrystusa przez papieża Leona XIV w bazylice Sagrada Família. Barcelona, 10 czerwca 2026 r.

BARCELONA ▪ Papież Leon XIV, król Filip VI, królowa Letycja, drony, fajerwerki i lasery towarzyszyły inauguracji Wieży Jezusa Chrystusa, wieńczącej bazylikę Sagrada Família w Barcelonie. 10 czerwca, w stulecie śmierci architekta Antoniego Gaudíego, jego dzieło ogłoszono „najwyższym kościołem na świecie". 172,5 metra robi wrażenie nawet na niewidzianego. Uroczystość inauguracji sprostała tej skali. Świętowano początek końca budowy. Koniec końca ma nastąpić w 2036 roku.

Jest w tym jednak bolesny paradoks: stawiana od 144 lat bazylika miała potężną symboliczną siłę nie tylko z powodu swojego ogromu i wizjonerstwa, ale właśnie dzięki stanowi nieukończenia. Jej otwarta, mozolnie wznoszona bryła przemawiała do wyobraźni silniej niż domykana właśnie realizacja. Ten olbrzym, nie dla wszystkich zresztą taki znów piękny i porywający, był do zniesienia dzięki rozgardiaszowi budowlańców i prowizorce plandek. A ogólniej: dopóki bazylika była nieukończona, przeważała pewność, że nie o skalę tu chodzi, tylko o nieskończoność.

Sam Gaudí, który w 1883 r. zaczął pracę przy budowie, był świadom, że czas jej ukończenia leży daleko poza horyzontem jego ziemskiego żywota (miał 74 lata, kiedy potrącił go tramwaj). Niby nic dziwnego, średniowieczne katedry budowano przecież przez pokolenia, jednak dla Gaudíego praca architekta nigdy nie była tylko prostą realizacją pierwotnego projektu, tylko żywym procesem, otwartym na zmiany. Reagował i korygował prace na bieżąco. Na bieżąco korygował więc też swoje wyobrażenie ostatecznego kształtu budowli. Co w niej widział, nim zginął?

Sagrada Família oglądana z daleka przypomina kosz pełen płodów rolnych. Największa w nim kolba to właśnie Wieża Jezusa Chrystusa. U Gaudíego nawet teologiczny traktat zawarty w kształtach bazyliki, symbolice jej wież, narracji fasad i portali, wpisany był w księgę Natury. Cały jego wyjątkowy styl wziął się z jej lektury (obserwacji). Głęboko wierzył, że stworzenie – zmienne i wielokształtne – jest objawieniem Boga.

Akcentowano to silnie rok temu w Watykanie, kiedy papież Franciszek otworzył drogę do beatyfikacji Gaudíego. Ale pisano też wówczas w Vatican News: „Być może prawdziwe świadectwo duchowości Gaudíego nie kryje się w wielkich wieżach Sagrady, lecz w jego skromniejszych dziełach, jak ołtarz Bocabella z 1885 roku, wykonany z mahoniu i ozdobiony motywami roślinnymi oraz postaciami świętych. Jak zauważa »Catholic Herald«, to właśnie takie dzieła – ciche, pokorne, a zarazem intensywnie duchowe – najpełniej ukazują jego wewnętrzną siłę".

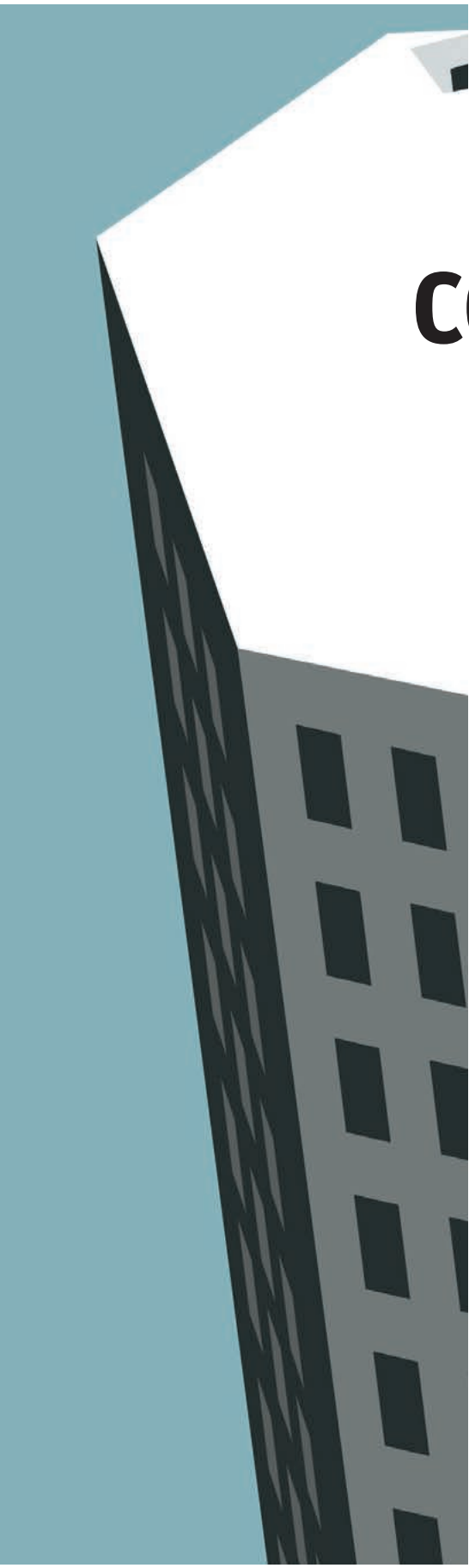
Zapewne ukończona Sagrada Família wymknie się wizjom skromnego tercjarza franciszkańskiego, którego motorniczy wziął za bezdomnego, niewartego interwencji medycznej. Jedyny ratunek to pomyśleć o niej wtedy, że wciąż jest nieukończona. Tylko Gaudí mógłby to zrobić. Ale byśmy się zdziwili.

©℗ PIOTR MUCHARSKI

BARTOSZ MINKIEWICZ



Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.



JERZY SKAKUN DLA „TP"

CO POSZŁO NIE TAK

Jesteśmy najbogatsi w historii, a zasilamy patodeweloperkę. W obliczu klimatycznego i demograficznego kryzysu projektanci chowają głowę w piasek, a państwo forsuje przestrzenną rewolucję, która grozi paraliżem.

TEKST I ZDJĘCIA FILIP SPRINGER

Osiedle Zamkowe w Będzinie powstało w latach 80. Składa się z kilkudziesięciu bloków ustawionych w ogromny wielokąt. Pośrodku znalazło się miejsce na wielki trawnik z drzewami i place zabaw. W parterach niektórych bloków umieszczono punkty handlowe i usługowe. Obok jest fikuśny pawilon z przedszkolem.

Tym, co to osiedle wyróżnia, jest architektura niektórych bloków. Nie są to typowe prostopadłościany mieszkalne, a bardziej finezyjne obiekty. Ich skierowane na zewnątrz całego założenia elewacje uformowano jako kaskady balkonów. Białe balustrady ładnie kontrastują z połaciami czerwonych, mansardowych dachów. Tarasowa struktura tworzy niepowtarzalną, rzeźbiarską formę, otwierając mieszkania na otaczającą zieleń.

Stare i nowe

Przyjechałem do Będzina, ponieważ od jakiegoś czasu wałęsam się na rowerze po Śląsku i Zagłębiu, szukając tam osiedli idealnych. Zamkowe podpowiedziała mi badaczka i popularyzatorka architektury Anna Cymer, gdy zapytałem o realizacje z późnego PRL i czasu transformacji. Ania napisała książkę o architekturze polskiego postmodernizmu i znana jest z tego, że widziała chyba wszystko, co warto zobaczyć w Polsce.

Zamkowe jest bez wątpienia jednym z takich miejsc, choć do idealnego osiedla mu daleko. Nieco więcej opracowania wymagałyby tu elewacje skierowane do wnętrza osiedla. Na tym wspólnym, zielonym terenie pośrodku przydałoby się więcej drzew. Całe założenie wymaga też pewnie pilnego remontu i mądrej termomodernizacji. Ale i tak robi wrażenie.

Prawdę mówiąc, chodziło w tej podróży o coś więcej niż to konkretne osiedle. Szukając o nim informacji w sieci, trafiłem na ogłoszenie dewelopera, który nieopodal buduje Nowe Zamkowe. I już z dostępnych w sieci wizualizacji i zdjęć wiedziałem, że muszę to zobaczyć na własne oczy.

W ciepły czerwcowy dzień podrywam więc małego drona z łączki dzielącej oba Zamkowe, by przyjrzeć im się z góry. To nowe osiedle wygląda przy tym starym jak obsługujące je garażowisko. Małe, białe szeregowce upchano na ciasnej działce. Przestrzenie między budynkami są mikroskopijne, o częściach wspólnych, poza drogami, nie ma co marzyć. Oprócz domów widać dużo miejsc parkingowych. I to właściwie tyle.

Stare Osiedle Zamkowe w Będzinie nie jest najlepszym osiedlem z tamtych czasów, jakie widziałem w życiu. Nowe Zamkowe nie jest najgorszym wybu-



Osiedle Zamkowe w Będzinie z lat 80. XX w., 2026 r.

dowanym współcześnie w Polsce. A jednak przepaść między jednym a drugim jest ogromna. Zwłaszcza jeśli sobie uświadomić, że to pierwsze powstało w czasach schyłku niewydolnego pod każdym względem systemu, kiedy w Polsce brakowało już wszystkiego. A to drugie wybudowano w czasach, które pod względem poziomu i jakości życia nie znajdują w historii tego kraju analogii.

Najważniejsze pytanie

„Co poszło nie tak?" – od tych słów prof. Jacek Dominiczak rozpoczął swój wieczorny wykład performatywny podczas Kongresu Architektury Polskiej, który odbywał się w połowie maja w Warszawie. Widownia nie pękała w szwach. Wypełniła się częściowo po brzegach. Wiadomo: gdy się siedzi z brzegu, łatwiej wyjść. Ale nikt nie wyszedł.

Wykład poświęcony był architekturze dialogicznej i miastu dialogicznemu. To autorska koncepcja Dominiczaka, stworzona w trakcie lektury dzieł filozofa Emmanuela Levinasa. Profesor od lat powtarza, że wraz z końcem modernizmu współczesna architektura i urbanistyka straciły swoją teorię. W tę pustkę wkroczył neoliberalny kapitalizm. I to ekonomia jest dziś *de facto* teorią projektowania architektonicznego i planowania miast. Co dla nas wszystkich jest bardzo niedobre. Łatwo to zrozumieć, patrząc z góry na będzińskie osiedla.

Wykład Dominiczaka nagrodzono owacją na stojąco. Potem profesor spotkał się z nieco węższym gronem słuchaczy i słuchaczek. „To pytanie, którym rozpoczął pan wykład – usłyszał od jednej z osób – jest najważniejszym zdaniem, jakie padło podczas całego tego kongresu". Smutna recenzja, bo nie jest to ani zdanie specjalnie nowe, ani też specjalnie odkrywcze. Wszyscy sobie zadajemy to pytanie dość regularnie, zwłaszcza wracając z miejsc, w których przestrzeń i architektura wyglądają nieco inaczej niż w Polsce. Inaczej, czyli lepiej. Architekci i architektki też sobie to pytanie zadają. I trudno nie odnieść wrażenia, że od lat nie ustają w wysiłkach, by za wszelką cenę nie znaleźć na nie odpowiedzi.

Przynajmniej nikt nie udawał

Kongres Architektury Polskiej nie jest wydarzeniem organizowanym ani często, ani cyklicznie. Poprzednie spotkanie tej rangi odbyło się w 2008 r. w Poznaniu. Od tamtego czasu architekci i architektki nie czuli jakoś potrzeby, żeby spotkać się pod auspicjami swoich najważniejszych organizacji zawodowych, czyli Izby Architektów RP i Stowarzyszenia Architektów RP. W końcu jednak im się udało i Kongres został zwołany.

Oficjalnie jego celem miało być stworzenie ram i założeń Polskiej Polityki Architektonicznej. To dokument, do przyjęcia którego rząd zobowiązał się w 2018 r. w Davos. Od tamtego czasu jednak nic z tym zobowiązaniem się nie dzieje. I trudno zakładać, że się wydarzy.

Nie tylko dlatego, że żaden wysoki rangą polityk mający wpływ na architekturę i urbanistykę nie zaszczycił Kongresu na dłużej. Na widowni i w składzie paneli ↦

↦ zabrakło najważniejszych ministrów, nie wspominając o premierze czy prezydencie. Trochę (ale i tak niezbyt długo) posiedział wicemarszałek Sejmu Krzysztof Bosak, reszta wyszła tuż po obrzędowych, powitalnych przemówieniach i już więcej się na obradach nie pojawiła.

Ale nie tylko polityczna obojętność sprawiła, że oceny Kongresu są raczej chłodne. Artur Celiński, redaktor naczelny najważniejszego branżowego magazynu, „Architektury-Muratora", przekornie mówi zresztą, że jemu Kongres się podobał, bo był szczery – dokładnie taki, jakie jest środowisko architektoniczne w Polsce: – Bardzo z siebie zadowolone, zdominowane przez starszych mężczyzn, ignorujące ostentacyjnie głosy młodych i skupione na tematach, które może nie są najbardziej pilne, ale za to można sobie o nich wygodnie i bezpiecznie podyskutować.

Kto tu buduje

Przykładem może tu być panel dotyczący mieszkalnictwa. Zaproszono do niego także Grzegorza Piątka, autora książek poświęconych miastom i architekturze, ale odmówił ze względu na całkowicie męski skład.

– Panel bez pań nie tylko źle wygląda – mówi Piątek. – Nie brakuje przecież w Polsce ekspertek od mieszkalnictwa, i to o wiele bardziej kompetentnych ode mnie. Gdyby zaprosić choć jedną, dyskusja byłaby zwyczajnie bogatsza.

Swoją sugestię Piątek przekazał organizatorom, ci jednak nie wzięli jej pod uwagę. W dyskusji na Kongresie wzięło udział pięciu panów, którzy przez ponad godzinę rozprawiali o tym, czy polskie państwo powinno budować mieszkania, czy nie. Konkluzja była z grubsza taka, że właściwie nie powinno, co zasadniczo jest zgodne ze stanem faktycznym, bo 90 proc. mieszkań w domach wielorodzinnych budują i tak deweloperzy. O tym, że oddanie im w tym obszarze inicjatywy i pozbycie się większości narzędzi kontroli i nacisku powoduje później dysonanse poznawcze – takie jak ten, którego doświadczyłem w Będzinie – było w rozmowie niewiele. Ale przynajmniej nikt nie poczuł się nieprzyjemnie przyparty do muru.

Być może jednak głównym celem Kongresu było to, by podratować nieco upadający prestiż zawodu architekta, ale nie narazić się przy tym zbytnio nikomu – zwłaszcza tym, którzy naprawdę decydują o tym, co i jak się w Polsce buduje, czyli inwestorom. Bo jak pisał boleśnie autokrytycznie holenderski architekt Reinier de Graaf, najpilniej strzeżona tajemnica architektów brzmi tak: „swoją uległość przedstawiać jako sprawczość i ćwiczyć sztukę odkładania na później, najlepiej na zawsze, odpowiedzi na pytanie, kto tu kogo naprawdę potrzebuje".

Czas przełomu

Wszystko to byłoby może tylko branżową ciekawostką interesującą nielicznych entuzjastów i przedstawicieli zawodu, gdyby nie fakt, że architektura – ta na świecie, i ta w Polsce – znalazła się właśnie w fazie ważnego przełomu. A to, co się w tym obszarze dzieje dzisiaj, będzie decydowało o jakości naszego życia w przyszłości.

Na czym zasadza się przełomowość opisywanego momentu?

Przede wszystkim – rosnąć powinny wymagania środowiskowe wobec architektury. Budynki – ich budowa, użytkowanie i ewentualny demontaż – generują blisko 40 proc. globalnych emisji dwutlenku węgla. Nie poradzimy sobie ze zmianami klimatu, jeśli pilnie i drastycznie nie zajmiemy się tym źródłem emisji. Co do tego, że tak się stanie, można mieć jednak wątpliwości, bo temat jest skomplikowany i uderza w samo sedno myślenia o architekturze.

Dziś podstawowym pytaniem projektowym, jakie powinni sobie zadawać architekci i architektki, jest „czy", a nie „jak". Za tym pytaniem idą jednak kolejne – czy program, któremu ma służyć budynek, da się obsłużyć inaczej, czy da się go zrealizować w obiekcie, który już istnieje, czy to inwestycja pierwszej potrzeby i kto będzie czerpał z niej zyski.

Gdy króluje opłacalność

I tutaj wracamy do bolesnego braku architektonicznej teorii – zastąpienie jej ekonomią te wszystkie pytania unieważnia, ponieważ współczesna ekonomia nie traktuje jako realnych kosztów inwestycji konsekwencji społecznych i ekologicznych danego przedsięwzięcia.

Reinier de Graaf pisał wprost, że wraz z ekonomizacją i optymalizacją procesu projektowego zanika możliwość objaśniania sobie nawzajem architektury przy pomocy protokołów, do których przywykliśmy. Ich istotą były takie pojęcia jak piękno, użyteczność czy trwałość.

REKLAMA




Osiedle Nowe Zamkowe w Będzinie, 2026 r. Po prawej stronie w oddali Osiedle Zamkowe z okresu schyłkowego PRL-u.

Obecnie króluje opłacalność. Nie da się bowiem inaczej, jak przy pomocy opłacalności, uzasadnić powstawania mikrokawalerek (zwanych mikroapartamentami), które nie spełniają minimalnych wymogów powierzchni mieszkania. Nie da się też uzasadnić budowania tysięcy metrów kwadratowych biur w szklanych (a więc skrajnie nieefektywnych ekologicznie) wieżach, w czasach, kiedy standardem jest praca zdalna, a na horyzoncie rynku pracy majaczy monstrum AI.

Trudno się łudzić, że aspekt środowiskowy będzie odgrywał kluczową rolę w przemianie architektury w Polsce i na świecie. Kapitał lokowany na potęgę w budynkach na to nie pozwoli. Tyle dobrego, że w ciągu ostatnich dwóch dekad już sobie z grubsza obsłużyliśmy architektonicznymi ikonami wszystkie większe i średnie miasta w Polsce. Każde ma jakąś salę koncertową, muzeum, halę sportową albo centrum kongresowe. Dziś te obiekty przydają się mniej lub bardziej, czasem mają dobrych gospodarzy i służą lokalnej społeczności, czasem nie. Ale wszystkie w niedalekiej przyszłości będą zapewne służyć jako lokalne centra chłodzenia w czasie fal upałów.

Czy w Polsce brakuje mieszkań

Są jednak inne zjawiska, które zasadniczo przemodelują nasze myślenie o budynkach i miastach. Jednym z kluczowych

> Kiedyś istotą architektury były piękno, użyteczność i trwałość. Dziś króluje opłacalność.

będzie demografia. Polaków jest coraz mniej, tylko w ubiegłym roku ubyło nas mniej więcej tyle, ile mieszka w Jastrzębiu-Zdroju. A z każdym kolejnym rokiem będzie coraz gorzej. Zarówno niezależni badacze, jak i ekonomiści największych banków i sami inwestorzy (ostatnio Władysław Grochowski z Arche) widzą już na horyzoncie kres mieszkaniowej hossy, która *de facto* panuje w Polsce od wczesnych lat dwutysięcznych, kiedy uruchomiono pierwsze sensowne kredyty hipoteczne.

Wkrótce zdanie o tym, że w Polsce brakuje mieszkań, przestanie być prawdziwe. Co nie znaczy, że zasypaniu ulegnie luka czynszowa. Wpadają do niej wszyscy ci, którzy są zbyt zamożni, żeby starać się o mieszkanie komunalne, ale zbyt ubodzy, by dostać kredyt. Szacuje się, że w tej grupie jest jedna trzecia dorosłych Polaków.

Pytania o to, dla kogo dziś budowane są mieszkania w największych polskich miastach, nie trzeba zadawać, bo bardzo często na płotach otaczających place budów widnieje oczywista odpowiedź – to inwestycje pod krótkoterminowy najem dla turystów.

I tutaj wracamy do kluczowego pytania: komu służy architektura, która dziś powstaje w Polsce?

Gminy bez planu

Zmiany i wyzwania widać jednak nie tylko na horyzoncie, ale także wprost przed nami. Ta największa, której doświadczymy już za kilka miesięcy, to wielki przewrót dotyczący planowania przestrzennego w Polsce.

Od 1 września niemożliwe będzie uzyskanie w Polsce pozwolenia na budowę w oparciu o ustalenia planu miejscowego albo warunki zabudowy, jeżeli gmina nie będzie miała uchwalonego planu ogólnego. Plan taki to nowe narzędzie planistyczne, które ma zastąpić studium uwarunkowań przestrzennych gminy. Jednym z najważniejszych jego zapisów ma być twarde ograniczenie terenów przeznaczonych pod zabudowę i określenie takich, które mają być od niej wolne. Ma to ograniczyć chaos przestrzenny w polskich miastach, ich rozlewanie się i niekontrolowaną zabudowę terenów przyrodniczo cennych.

Do wprowadzenia tej reformy zobowiązała nas Unia Europejska i jest ona jednym z najważniejszych kamieni milowych Krajowego Planu Odbudowy. Pierwotnie plany miały być uchwalone do końca 2025 r., potem termin przekładano na koniec czerwca i koniec sierpnia tego roku. Kłopot w tym, że w momencie, w którym powstaje ten tekst, plany takie przyjęło 112 z 2500 gmin. Jeśli pozostałe tego nie zrobią, grozi im paraliż – od września w sporej części Polski nie da się nic zbudować.

Zmiana dla zmiany

To oczywiście w pokraczny sposób spotyka się z ekologicznym postulatem, by budować mniej budynków, można się jednak spodziewać innego obrotu spraw. Właściwie każdy scenariusz przyszłości wygląda tu ponuro – pośpiech nie sprzyja bowiem sprawom takim jak ↦

↦ planowanie przestrzenne. Można więc zakładać, że te gminy, które nie zajęły się problemem odpowiednio wcześniej, uchwalą plany byle jakie – pozbawione głębszego sensu i uzasadnienia. Tak już się działo w przeszłości, gdy samorządy łase na podatki i w trosce o święty spokój wpisywały na potęgę do dokumentów planistycznych obszary pod zabudowę mieszkaniową, w efekcie czego mamy obecnie takich terenów dla 70, a według niektórych szacunków nawet 300 milionów ludzi.

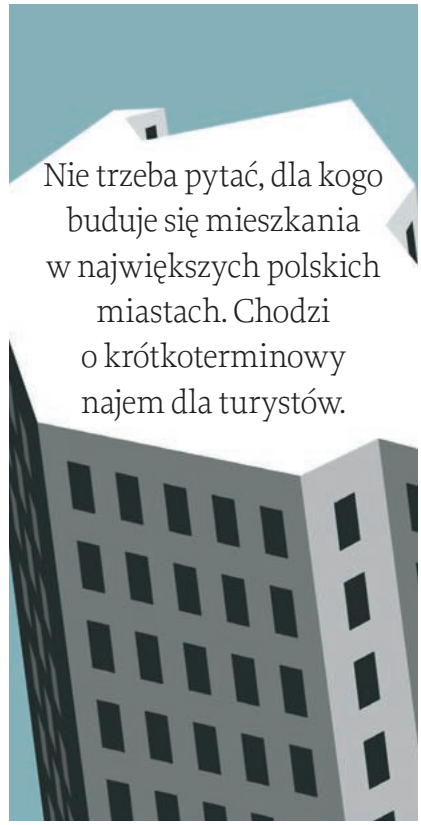
– Pisałem długie elaboraty, żeby nie robić tego bez namysłu, bez przeanalizowania, jak z takim wyzwaniem poradzą sobie samorządy. Proponowałem, żeby przeprowadzić pilotaż, zrobić plany w malutkiej gminie, gminie miejskiej, metropolitalnej, w gminie bogatej i gminie biednej. Zbadać, wyciągnąć wnioski i wdrożyć w całym kraju – mówił mi Bolesław Stelmach, dyrektor Narodowego Instytutu Architektury i Urbanistyki. – Plan ogólny to dokument prawa miejscowego, wiążący dla gmin, wywołujący skutki prawne i finansowe. Jeśli zostaną w niego wpisane jakieś bzdury, to już nie będzie od tego ucieczki. A gminy dostały na uchwalenie tych planów dwa lata.

Warto tu zauważyć, że zwykły plan miejscowy dla fragmentu miasta proceduje się dwa razy dłużej. Nie wiemy więc, czy ta zmiana przyniesie korzyści, czy wręcz odwrotnie. Bo nie wiemy dokładnie, co będzie w tych planach.

– Zachowujemy się tak, jakby coś samo w sobie było wartością, skoro zostało wpisane jako „kamień milowy" do KPO – komentował Stelmach. – Skoro od lat apelowano o zmiany w ustawie o planowaniu przestrzennym, no to proszę: są zmiany. A co przyniosą, to dopiero się okaże.

Wołanie po cichu

Efektem Kongresu Architektury Polskiej miało być uchwalenie Karty Warszawskiej – dokumentu, który stać się ma podstawą wspomnianej Polskiej Polityki Architektonicznej.



JERZY SKAKUN DLA „TP"

Polska jest jednym z ostatnich krajów w europejskiej wspólnocie, które takiego dokumentu nie uchwaliły. W programie dwudniowego wydarzenia nie znalazło się jednak miejsce na pracę nad tezami tego dokumentu. Nie było to konieczne, bo powstał już przed Kongresem i został przedłożony wybranym ekspertom o poranku pierwszego dnia imprezy, z zastrzeżeniem, że ewentualne uwagi można zgłaszać zaledwie w ciągu doby. Potem, podczas prezentacji wieńczącej Kongres, Karta Warszawska została przedstawiona ogółowi i przyjęta właściwie przez aklamację.

Uczestników Kongresu poinformowano, że będą mogli jeszcze zgłaszać swoje uwagi do dokumentu drogą mailową. Na stronie Kongresu rzeczywiście opublikowano zakładkę „Karta Warszawska – konsultacje społeczne". Po kliknięciu w nią wyświetla się prosty formularz, przy pomocy którego można zgłosić uwagi do któregoś z paneli Kongresu. Próżno tam jednak szukać treści samej Karty Warszawskiej.

Dokumentu nie opublikował na stronie żaden z organizatorów Kongresu – ani Izba Architektów RP, ani Stowarzyszenie Architektów RP, ani Narodowy Instytut Architektury i Urbanistyki. Redakcje proszące o wgląd do jego roboczej wersji są zaś odsyłane z kwitkiem. „Architektura-Murator", aby opublikować jego treść, posiłkowała się zapisem online konferencji i zdjęciami robionymi przez dziennikarzy podczas prezentacji. Materiał opublikowała, ale z zastrzeżeniem, że może się różnić od tej wersji, którą ostatecznie zdecydują się opublikować organizatorzy.

Na razie więc na stronie Izby Architektów RP są podsumowania Kongresu pisane przez jego uczestników i uczestniczki. W jednym z nich architektka Agnieszka Sajur napisała: „Każde działanie – nawet najmniejsze – skierowane ku budowaniu relacji, pogłębianiu świadomości i rozmowie o Architekturze ma sens. Bo jest ruchem przeciwko rozpadowi. Przeciwko ciemności i obojętności. (...) Najgroźniejsza bowiem nie jest porażka, lecz bezczynność".

Swoimi pokongresowymi refleksjami podzielił się też Tomasz Konior: „Jeśli kolejny Kongres Architektury Polskiej A.D. 2030 ma być lepszy od poprzedniego – napisał – to przed nami poważne wyzwanie". Dodał przy tym uczciwie, że „Karta Warszawska jest póki co listą życzeń, nad którą trzeba pracować, szukać syntezy i zwiększać jej zasięg".

Być może dobrym krokiem w zwiększaniu tego zasięgu będzie pokazanie jej komukolwiek. Bo na razie, miesiąc po najważniejszym od lat wydarzeniu w polskiej architekturze, właściwie nikt nie wie, co w niej zapisano. I jak brzmi ten wspólny głos polskich architektek i architektów.

Chyba że znów chodzi o to, żeby nie wybrzmiał on zbyt głośno.

© FILIP SPRINGER

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny: JACEK STAWISKI
Zastępcy redaktora naczelnego: EWELINA BURDA, MICHAŁ OKOŃSKI
Redakcja: www.TygodnikPowszechny.pl/redakcja
Wydawca: Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.

Prezes zarządu: JACEK ŚLUSARCZYK
www.tygodnikpowszechny.pl/wydawca
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
tel. 668 477 039
Reklama i promocja: tel. 602 590 416
reklama@tygodnikpowszechny.pl

promocja@tygodnikpowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@tygodnikpowszechny.pl
Druk: Walstead Kraków sp. z o.o.
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń.
Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
© Wszelkie prawa zastrzeżone
Regulamin korzystania z artykułów: www.tygodnikpowszechny.pl/nota-wydawnicza

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

TYGODNIK POWSZECHNY

„Tygodnik Powszechny” zawsze pod ręką

Czytaj wygodnie – w papierze i online. Wybierz prenumeratę łączoną „Tygodnika Powszechnego” i korzystaj jednocześnie z wydania drukowanego oraz pełnego dostępu online.
To najwygodniejszy sposób, by mieć stały dostęp do rzetelnego dziennikarstwa, pogłębionych analiz i najlepszej publicystyki – zarówno w domowym fotelu z papierowym wydaniem, jak i w podróży czy pracy dzięki wersji cyfrowej.



„Tygodnik Powszechny” to jedyny polski tygodnik społeczno-kulturalny. 30 tys. Czytelniczek i Czytelników. Najlepsze Autorki i najlepsi Autorzy. Wspólnota, która myśli samodzielnie. Treści „Tygodnika Powszechnego” są unikatowe na polskim rynku prasy.

- Papierowe wydanie z wygodną dostawą
- Pełny dostęp do serwisu online i archiwum
- Dostęp do wydań specjalnych o wartości **120 zł**
- Elegancka torba „Tygodnika Powszechnego” w prezencie

OFERTA CENOWA PRODUKTU ŁĄCZONEGO:

InPost	~~cena 1359 zł~~ **cena promocyjna 983 zł**	
Poczta	~~cena 1093 zł~~ **cena promocyjna 995 zł**	

prenumerata.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny”, ul. Dworska 1C/LU 3–4, 30-314 Kraków, tel. 668 479 075 (w godz. 12:00-15:00)
adres e-mail w sprawie prenumeraty: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Razem tworzymy „Tygodnik”

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



KRAJ

Demonstracja antyukraińska na Rynku Głównym w Krakowie, 8 marca 2025 r.

POLACY WOBEC UKRAIŃCÓW

Pożar, który wywołała decyzja o nadaniu elitarnej ukraińskiej jednostce nazwy „Bohaterów UPA", nie wybuchł jedynie z powodu sporów historycznych. Podsyca go również postępująca zmiana nastawienia Polaków do Ukraińców. Jak do niej doszło?

ŁUKASZ ADAMSKI

Z badań Centrum Mieroszewskiego, przeprowadzonych pod koniec zeszłego roku, wynika, że 39 proc. Polaków deklaruje pozytywny stosunek do Ukraińców mieszkających w Polsce, 15 proc. neutralny, a 35 proc. negatywny (dwie piąte spośród tej ostatniej grupy zaznacza, że przed wojną miało inną opinię). Zarazem stosunek Polaków do Ukraińców mieszkających w swej ojczyźnie jest lepszy – niechętnych jest o 15 punktów proc. mniej, a nastawionych życzliwie lub neutralnie – o 10 pkt proc. więcej.

Zwróćmy jeszcze uwagę, że za wspieraniem przez państwo polskie działań mających na celu zachowanie tożsamości narodowej Ukraińców w naszym kraju opowiada się jedynie 31 proc. respondentów, natomiast 20 proc. wprost wyraża nadzieję, że goście ze wschodu jak najszybciej zintegrują się z resztą społeczeństwa, a ich dzieci się spolonizują. Przy tym niezmiennie wyrażane jest oczekiwanie, aby jednym z głównych priorytetów polityki wobec Ukrainy było doprowadzenie do zaprzestania upamiętnień osób i formacji odpowiedzialnych za rzeź wołyńską.

Rzeczone dane, uzupełnione o wnioski z badań jakościowych, a także obserwacje z dyskursu politycznego czy medialnego, upoważniają do sformułowania kilku hipotez na temat źródeł ewolucji postaw Polaków.

Oni u nas zostaną

Przede wszystkim wygasła emocjonalna mobilizacja z 2022 r., kiedy Polaków zszokowała brutalna rosyjska napaść na sąsiada oraz gwałtowny napływ ogromnej masy uchodźców. Przed oczyma jawiły się nam skojarzenia z wrześniem 1939 r., opowieści zasłyszane od rodziców, dziadków czy pradziadków. Chęć przeciwdziałania złu przełożyła się na przekonanie o potrzebie udzielenia wsparcia uchodźcom, często osobom starszym bądź kobietom z dziećmi.

Ukraina nie podzieliła jednak losu II Rzeczypospolitej i wytrzymała najsilniejsze uderzenie, pozyskawszy pomoc w sprzęcie – przede wszystkim z Polski. W kwietniu 2022 r. Rosjanie wycofali się z Kijowszczyzny i z północnych obwodów, a jesienią zostali wypchnięci z Chersonia. Wojna skoncentrowała się na Donbasie i ziemiach wzdłuż Morza Azowskiego. Uchodźcy w Polsce zaś zostali, w liczbie szacowanej na co najmniej milion, dołączając do imigrantów zarobkowych i studentów.

Jako że żyje u nas ponad sto tysięcy uchodźców z Białorusi, a także naturalizowanych Polaków pochodzenia ukraińskiego bądź białoruskiego, Polska przeistoczyła się w inny kraj: wieloetniczny, w którym osoby rosyjsko- i ukraińskojęzyczne stały się zauważalną częścią społeczeństwa.

Przedłużająca się wojna uświadomiła Polakom, że Ukraińcy nad Wisłą nie są tymczasowymi gośćmi. Pozostaną u nas, a kiedy Kijów pozwoli na swobodne przemieszczanie się mężczyznom w wieku poborowym, zapewne przyjedzie ich więcej. Integracja czy wręcz asymilacja z Polakami będzie jeszcze trudniejsza.

Zmiany społeczne same w sobie nie wywołałyby aż takiej korekty stosunku do Ukraińców, gdyby nie ujawniły się rzeczywiste problemy części z nich z przystosowaniem się do naszych norm kulturowych. Ukraińcy stali się pierwszą tak liczną grupą przybyszów w najnowszej historii Polski, więc nic dziwnego, że to na nich skupiła się uwaga opinii publicznej.

Szerokim echem odbiły się zwłaszcza takie incydenty, jak ostentacyjny wjazd młodego ukraińskiego blogera sportowym autem nad Morskie Oko oraz zuchwały akt kłusownictwa, dokonany pomimo protestów okolicznych spacerowiczów przez obywatela Ukrainy, który złowił dwudziestokilogramowego suma, będącego od lat atrakcją jednego z warszawskich stawów.

„Demokratyzacja debaty"

Kolejnym katalizatorem zmian jest wpływ platform społecznościowych na życie publiczne: destrukcyjny o tyle, że błyskawicznie upowszechniający negatywne emocje, a decydentów skłaniający do równie szybkiego komentowania każdej sprawy. Tradycyjne bezpieczniki – opiniotwórcze media stanowiące filtr między politykami a społeczeństwem – tracą systematycznie na znaczeniu.

Co gorsza, emocje te są niejednokrotnie generowane celowo, już to przez samych polityków, już to przez algorytmy platform społecznościowych, które przyciągają uwagę użytkowników dla zwiększenia wpływów reklamowych. Ubocznym efektem tych procesów jest „demokratyzacja debaty" w arystotelesowskim sensie – czyli jej prymitywizacja i zabieganie o poklask gawiedzi.

Jeśli nałoży się na to jeszcze dezinformację rozsiewaną przez struktury okołokremlowskie lub anonimów podchwytujących te narracje (niekiedy w dobrej wierze), a także ogromną polaryzację polityczną w Polsce – nie dziwmy się, że elity coraz częściej tracą zdolność bądź ochotę do korygowania, w imię racji stanu, postulatów wyrosłych na gruncie emocji społecznych, nawet tych zrozumiałych.

Do zmian w postawach Polaków przyczyniły się też błędy polityczne i komunikacyjne władz ukraińskich. Deficyt profesjonalnej ekspertyzy w sprawach polskich, przemęczenie niektórych ukraińskich decydentów zwiększające ryzyko błędów, a wreszcie specyfika ukraińskiej kultury politycznej, w znacznie mniejszym stopniu niż polska nasyconej idealizmem oraz sentymentalnie uwarunkowaną sympatią wobec sąsiada – wszystkie te czynniki sprawiły, że stosunek Kijowa do Warszawy był i jest nacechowany transakcyjnym pragmatyzmem. Sprawia on, że stosunki z Polską są postrzegane nie przez pryzmat długotrwałych interesów strategicznych, lecz z perspektywy krótkoterminowych zysków dla państwa ukraińskiego lub jego władz.

Dodatkowo wśród części ukraińskich elit obecne jest przekonanie, nie zawsze artykułowane wprost, iż Polska jako historyczny hegemon nad ukraińskim narodem oraz kraj „nie w pełni zachodni" nie powinna i nie ma prawa pouczać Ukraińców. W efekcie Kijów popełnia w czasie wojny błąd za błędem, rujnując zaufanie naszych elit.

Wspomnijmy tylko o braku przeprosin za śmierć polskich obywateli od ukraińskiej rakiety w Przewodowie (i publicznym obstawaniu przy wersji, iż rakieta była rosyjska), albo o ataku prezydenta Zełenskiego na forum ONZ, gdy porównał Polskę sprzeciwiającą się napływowi do UE ukraińskiego zboża, do aktora w rosyjskim teatrze. A było jeszcze obstawanie przy moratorium na udzielanie polskim instytucjom zgód na prace poszukiwawcze i ekshumacyjne – proces ten został odblokowany dopiero jesienią 2024 r. ↦

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Polityka pamięci

↦ Wszystko to utrudniało pozyskiwanie legitymizacji społecznej dla proukraińskiej polityki prowadzonej przez kolejne polskie rządy. Dodawało zaś argumentów siłom, które albo same zaczęły opierać agitację polityczną na haśle niewdzięczności Ukrainy za polską pomoc, albo adaptowały retorykę do zmieniających się nastrojów.

Pierwszą ofiarą tej zmiany padli ukraińscy uchodźcy, którym zaczęto ograniczać pomoc i przywileje, niekiedy w sposób gwałtowny. Uszczupliliśmy przy tej okazji zdolności państwa polskiego do odgrywania istotniejszej roli w rozmowach o warunkach hipotetycznego rozejmu i bezpieczeństwie Europy Środkowo-Wschodniej. Brak akceptacji społecznej dla ewentualnego wysłania polskich sił zbrojnych na Ukrainę (w ramach misji stabilizacyjnej) ograniczył pole manewru naszej dyplomacji oraz osłabił zdolność Warszawy do współkształtowania debaty o przyszłej architekturze bezpieczeństwa regionu.

W jeszcze większym stopniu na stosunek Polaków do Ukraińców wpłynęła polityka pamięci Ukrainy, która od niemal dwudziestu lat konsekwentnie ignorowała lub bagatelizowała nasze zastrzeżenia co do heroizacji osób odpowiedzialnych za czystki etniczne polskiej ludności Wołynia i Galicji Wschodniej.

Rok 2007 to pośmiertne nadanie tytułu Bohatera Ukrainy Romanowi Szuchewyczowi, a w 2010 r. – Stepanowi Banderze (po Euromajdanie stali się oni patronami ulic w Kijowie, co dowodzi, że apologetyczny stosunek do OUN i UPA przekroczył granice Ukrainy Zachodniej). Rok 2015 to z kolei uchwalenie ustawy przewidującej sankcje za publiczne podważanie autorytetu i okazywanie pogardy uczestnikom walki o niepodległość Ukrainy, wzmocnione w 2018 r. uznaniem hymnu OUN „Zrodziła nas wielka godzina" oraz zawołania „Chwała Ukrainie – Bohaterom chwała" za część symboliki Sił Zbrojnych Ukrainy.

Owszem, gdy do władzy doszedł Wołodymyr Zełenski, „banderyzacja" przestrzeni publicznej została zahamowana. Tyle że w 2023 r., w 80. rocznicę kulminacji ludobójstwa, ukraiński przywódca nie zdobył się na żaden istotny gest wobec rodzin wołyńskich, a w latach 2025-2026 rozpoczęto nadawanie wojsku patronów związanych z UPA.

Tradycyjne bezpieczniki – opiniotwórcze media stanowiące filtr pomiędzy politykami a społeczeństwem **– oddały dziś pole mediom społecznościowym.**

Reakcją na wszystkie te działania stała się coraz większa radykalizacja opinii publicznej w Polsce, a także kolejne uchwały Sejmu przypominające o ofiarach wołyńskiego ludobójstwa – wreszcie penalizacja negacjonizmu zbrodni ukraińskich nacjonalistów oraz członków formacji kolaborujących z III Rzeszą.

Tlące się od dawna zarzewia konfliktu wybuchły płomieniem 26 maja 2026 r., gdy doszło do nadania jednemu z oddziałów sił specjalnych ukraińskiej armii miana „Bohaterów UPA".

Polskie błędy

Już dwa tygodnie po wybuchu skandalu ponad połowa Polaków deklarowała, że ich stosunek do Ukrainy pogorszył się. W tym samym czasie deklaracja prezydenta Karola Nawrockiego o możliwym odebraniu Orderu Orła Białego Zełenskiemu wywołała emocjonalne reakcje ukraińskich komentatorów, krytykujących samą tendencję do ingerowania Polski w ukraińską pamięć historyczną. Potwierdzały one w oczach wielu Polaków przekonanie, iż ogromna część ukraińskich elit i komentatorów nie dostrzega w ogóle moralnego problemu heroizacji UPA i zbrodni na Wołyniu. W efekcie kwestia ta stała się dla sporej części polskiej opinii publicznej głównym filtrem postrzegania Ukrainy.

Na jej stosunek do Ukraińców wpłynęła też polityka naszego państwa wobec uchodźców oraz postawa polskich elit wobec Ukrainy. O ile gesty poczynione zaraz po wybuchu wojny pod adresem straumatyzowanych ukraińskich uciekinierów były politycznie rozsądne, a moralnie chwalebne, zaświadczając o solidarności zarówno ze strony naszych władz, jak i społeczeństwa – to jednak z kilkuletniej perspektywy widać też pewne błędy.

Dość wspomnieć choćby o zwolnieniu aut z ukraińską rejestracją z obowiązku przechodzenia przeglądów technicznych w Polsce lub o niewystarczającym egzekwowaniu od ukraińskiego personelu medycznego znajomości języka polskiego. Nie od razu wprowadzono też konieczność realizacji obowiązku szkolnego ze strony ukraińskiej młodzieży – poprzez polski system szkolny.

Na to nałożyła się kultura emocjonalnej przesady, charakterystyczna dla naszych elit pragnących, by np. pisać „w Ukrainie", a nie „na Ukrainie", ze względu na odczucia *de facto* garstki ukraińskich aktywistów oraz jednej deputowanej do Rady Najwyższej, która nadesłała egzaltowaną prośbę do Rady Języka Polskiego o zmianę naszych norm językowych.

W odbiorze części społeczeństwa były to wszystko dowody, iż nasi decydenci zapomnieli, że ich pierwszorzędnym obowiązkiem jest dbanie o interes Polaków, a nie Ukraińców.

Upiory nacjonalizmu

Wreszcie czynnik ostatni – nie mniej ważny niż poprzednie, choć bolesny do zdiagnozowania. To polski nacjonalizm.

Wiara w Boga i Jego Ewangelię ustępuje wierze w naród i jego honor. Przekonanie o potrzebie kierowania się katolicką nauką społeczną jest zaś zastępowane bezwzględną lojalnością wobec interesów własnej wspólnoty, dodajmy – definiowanych przez samych nacjonalistów. Wraz z osłabieniem wiary chrześcijańskiej i autorytetu Kościoła naturalne dla ludzi pragnienie bezpieczeństwa kulturowego i poczucia solidarności grupowej coraz częściej znajduje ujście w owej świeckiej religii.

Co gorsza, nie zawsze jest to nacjonalizm polityczny, ale czasem wręcz etniczny, odrzucający założenie, iż Rzeczpospolita Polska musi traktować równo wszystkich swoich obywateli, i sugerujący, że ukraińskie pochodzenie stanowi wystarczającą podstawę do podejrzeń o nielojalność wobec wspólnoty narodowej.

Jednak wbrew popularnym (zwłaszcza na Ukrainie) opiniom, większość Polaków nie uległa nacjonalistycznej agitacji lub przekonaniu o wyższości cywilizacyjnej nad narodami Europy Wschodniej

– można natomiast skonstatować coś innego. Otóż niektóre osoby uznały, iż klimat społeczny zmienił się na tyle, że wolno im już ujawniać w przestrzeni publicznej swoją ksenofobię i antyukraińskie uprzedzenia. Więcej, wolno im też nękać społeczność ukraińskich migrantów, w ogromnej większości ciężko pracujących, podejmujących trud nauki języka i poszanowania polskiej obyczajowości.

Socjologowie wskazują również na rywalizację o miejsca pracy oraz na lęk przed objęciem działaniami wojennymi Polski; co poniektórzy sądzą bowiem, że bez wsparcia dla Ukrainy i pomocy dla uchodźców Polska byłaby dziś bezpieczniejsza.

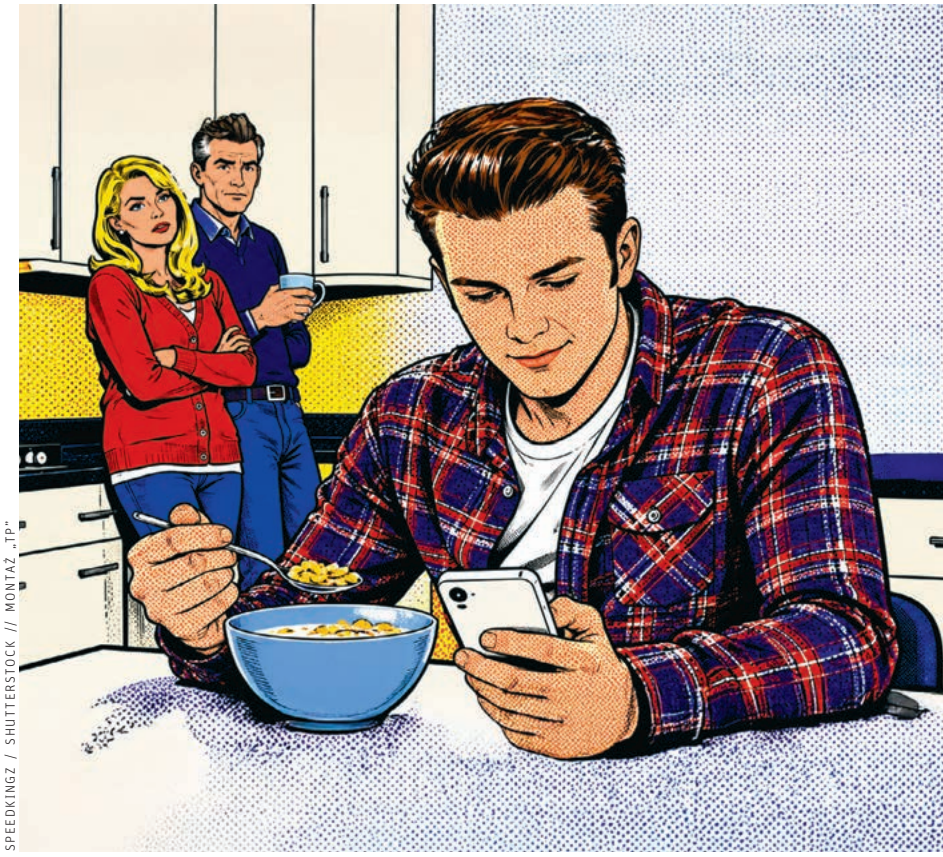
Niektórzy komentatorzy, zwracając uwagę na większą niechęć wśród młodszych pokoleń w porównaniu do tych starszych, wiążą ją z westernizacją naszego społeczeństwa, uwiądem pamięci o związkach kulturowo-historycznych Polski i Ukrainy, oraz osłabieniem postaw empatycznych wśród ludzi, którzy nie zaznali nigdy niedostatku. Inni spekulują nawet o rywalizacji między młodymi Polkami a Ukrainkami o partnerów.

Na pewno wiele z tych procesów jest świadomie wzmacnianych przez Rosję, dla której pogorszenie stosunków polsko-ukraińskich to bardzo ważny cel polityczny.

Używając obrazowej metafory, relacje polsko-ukraińskie są dziś niczym pole rozpościerające się między dwiema sąsiednimi wsiami, z których jedna jest stosunkowo zamożna, a druga biedna (i do tego atakowana przez bandę piromanów). Można by czerpać z niego obfite plony, tyle że pod ziemią wciąż kryją się korzenie dawnych krzywd. Nie stanowią zagrożenia, dopóki pole jest obrabiane przez odpowiedzialnych rolników. Gdy jednak ich zabraknie, odrastają chwasty wzajemnych pretensji, pogardy i narodowej tromtadracji. Jeśli nie będziemy ich cierpliwie plewić, tylko ulegniemy pokusie ich wypalania, ryzykujemy, że ogień zajmie nie tylko nasze pola, ale i domy.

© ŁUKASZ ADAMSKI

Autor jest historykiem, analitykiem spraw międzynarodowych, dyrektorem Centrum Dialogu im. Juliusza Mieroszewskiego.



SPEEDKINGZ / SHUTTERSTOCK // MONTAŻ „TP"

Dom z dzieckiem

MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA

MŁODZI DOROŚLI | Wyprowadzka z rodzinnego domu wciąż uchodzi w Polsce za kluczowy warunek osiągnięcia dorosłości. Dla rosnącej grupy młodych ludzi ten milowy krok staje się coraz trudniejszy do wykonania. Kim są tzw. gniazdownicy?

Puszczykowo od Poznania dzieli niespełna 20 kilometrów. Pociągiem kursującym na tej trasie (co kilkanaście minut) można dotrzeć na poznański Dworzec Główny w niecały kwadrans. – Gdy zacząłem studia, uznaliśmy z rodzicami, że przeprowadzka do wynajmowanego pokoju nie ma sensu – mówi 25-letni Piotrek, student biotechnologii.

Dziś jednak, choć w rodzinnym domu mieszka mu się dobrze, coraz częściej myśli o zmianie. To nie jest proste, bo od lutego bezskutecznie szuka stałej pracy, która pozwoliłaby mu zarobić na wynajem mieszkania. – Żeby to zrobić, muszę mieć stabilny i konkretny dochód, ale ciągle odbijam się od ściany. Z jednej strony cieszę się, że mogę być u rodziców, bo tak jest łatwiej, z drugiej czuję, że wciąż żyję w zawieszeniu – przyznaje.

– Kiedy dwa miesiące temu ostatnia znajoma wyprowadziła się od rodziców, pomyślałam, że chyba czas na mnie – śmieje się dobiegająca trzydziestki Ada z Sierosławia, która obecnie jest tzw. bumerangiem. Ponad rok temu, po kilku latach samodzielnego życia, wróciła do domu rodzinnego ↦

↦ z powodu wysokich kosztów najmu. – Myślałam, że będę się z tym czuła jak przegryw, ale bardziej niż samo życie z rodzicami dobija mnie fakt, że po skończeniu studiów z grafiki oraz intermediów nie mam pomysłu na siebie – tłumaczy. Na razie pracuje na część etatu w kawiarni i łapie freelancerskie zlecenia projektowe. O wyprowadzce „na swoje" myśli często, ale nie narzuca sobie terminu. Musi najpierw na ten luksus zarobić.

– U mnie mieszkanie z rodzicami to konieczność, a nie wybór – mówi z kolei Norbert, który jest osobą z niepełnosprawnością, poruszającą się na wózku. Mieszka na dużym poznańskim osiedlu, niebawem kończy studia marketingowe. Myśli o podjęciu pracy, ale zdaje sobie sprawę, że w jego przypadku droga do samodzielności będzie dłuższa i bardziej rozłożona w czasie. Dziś wizja samodzielnego mieszkania to raczej bliżej nieokreślone „kiedyś" niż konkretny plan. – Dla zdrowej i sprawnej osoby usamodzielnienie się jest dużym wyzwaniem. Dla mnie jest jeszcze większym; z umiarkowaną szansą na realizację – przyznaje.

Jest ich wielu

Wedle socjologicznej nomenklatury Piotrek, Norbert i Ada są gniazdownikami. Tym terminem (nawiązującym do zwyczajów ptaków, których pisklęta po wykluciu nie są jeszcze zdolne do samodzielnego życia i wymagają stałej opieki rodziców) badacze zjawisk społecznych określają młodych dorosłych: w wieku 25-34 lata, mieszkających z rodzicami, nieposiadających współmałżonka i niebędących rodzicami.

Jak zauważa Przemek Staroń, psycholog, wykładowca i edukator związany z Uniwersytetem SWPS w Sopocie, samo określenie „gniazdownik" niesie w sobie pejoratywny wydźwięk. – Szybko zamienia się w etykietkę i ocenę, co może utrudniać spojrzenie na sytuację młodych ludzi z większą uważnością i zrozumieniem. Grupa młodych dorosłych mieszkających z rodzicami jest bardzo zróżnicowana – podkreśla Staroń.

Przytoczone na wstępie doświadczenia bohaterów nie są niczym wyjątkowym – coraz częściej dotykają przedstawicieli pokolenia Z i późnych milenialsów. Opublikowany niedawno przez Polskie Towarzystwo Polityki Społecznej raport „Diagnoza Młodzieży 2026" podaje, że aż 39 proc. młodych dorosłych (25-34 lata) spełnia kryteria gniazdownictwa – to o 10 punktów procentowych więcej niż w 2005 r. Co istotne, podobny trend widać w całej Europie, bo moment wyprowadzki z rodzinnego domu przesuwa się w większości krajów Starego Kontynentu, choć w różnym tempie.

Wedle GUS młodzi Polacy opuszczają rodzinny dom średnio w wieku 28 lat, a młode Polki dwa lata wcześniej. **Polska plasuje się mniej więcej w połowie europejskiej stawki.**

Wedle danych Eurostatu najszybciej usamodzielniają się młodzi Skandynawowie: Finowie opuszczają rodzinny dom w wieku 21,4 lat, Duńczycy w wieku 21,7 lat, a Szwedzi – 21,9 lat. Na drugim biegunie znajdują się mieszkańcy Europy Południowej i Środkowej, a rekordzistami są Chorwaci, którzy z rodzinnego domu wyfruwają w wieku średnio 31,3 lat. W czołówce są też Słowacy (30,9 lat), Grecy (30,7 lat), Włosi (30,1 lat) oraz Hiszpanie (30 lat). Polska plasuje się mniej więcej w połowie stawki, bo wedle danych GUS młodzi Polacy opuszczają rodzinny dom w wieku 28,2 lat, a młode Polki już w wieku 26 lat (często z uwagi na lepsze wykształcenie).

Status: to skomplikowane

Jako społeczeństwo lubimy podnosić larum na temat rozpieszczonych i leniwych „dużych dzieci" żerujących na rodzicach. Jednak prawdziwy obraz gniazdownictwa jest dużo bardziej złożony i mniej stereotypowy. Jak wyjaśnia dr Monika Kwiecińska-Zdrenka, socjolożka z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, fakt, że coraz więcej młodych dorosłych mieszka z rodzicami, jest wypadkową kilku nakładających się czynników.

Na pierwszy plan wysuwa się kwestia ekonomiczna, czyli coraz mniej stabilny rynek pracy, na który mocno oddziałują czynniki globalne: kryzysy gospodarcze, długofalowe konsekwencje pandemii, napięcia geopolityczne związane z konfliktami na Ukrainie i Bliskim Wschodzie czy rozwój sztucznej inteligencji.

– Do tego dochodzi rosnące poczucie samotności u młodych ludzi, problemy z budowaniem relacji oraz permanentne poczucie lęku i niepewności, bo rzeczywistość zmienia się w ekspresowym tempie, opóźniając przy okazji wejście w dorosłość – wyjaśnia badaczka. Jej zdaniem, popularne wyobrażenie o „wygodnych młodych", którzy świadomie wybierają mieszkanie z rodzicami i nie traktują tego jak sytuacji przejściowej czy problematycznej, jest generalizacją.

– Oczywiście jest grupa NEET-ów, czyli młodych ludzi mieszkających z rodzicami, którzy ani nie pracują, ani się nie uczą. To jednak margines zjawiska – podkreśla badaczka. Jej słowa mają pokrycie w danych, bo „Diagnoza Młodzieży 2026" precyzyjnie wskazuje główne przyczyny tego, dlaczego młodzi mieszkają z rodzicami. W czołówce są kwestie ekonomiczne: brak własnego mieszkania, dobre warunki w domu rodziców, niższe koszty utrzymania oraz niewystarczające dochody.

Dwa ostatnie aspekty są najważniejszym elementem całej układanki – bo choć większość młodych dorosłych mieszkających z rodzicami pracuje (tylko 7 proc. badanych deklaruje, że to brak zatrudnienia jest główną przyczyną życia przy rodzinie), to ich zarobki często nie pozwalają na samodzielność. Koszty najmu i zakupu mieszkań w dużych polskich miastach pochłaniają dziś (wedle „Diagnozy") od 35 do nawet 55 proc. dochodu rozporządzalnego. To oznacza, że dla wielu młodych dorosłych wyprowadzka „na swoje" pozostaje poza zasięgiem, a zależność ekonomiczna od rodziców siłą rzeczy się wydłuża.

Drogo, drożej, najdrożej

Dane z raportu postanawiam sprawdzić w praktyce – wchodzę na popularny portal z ofertami mieszkań na wynajem. Szukam kąta w Poznaniu, nie skupiam się na konkretnej dzielnicy. Kawalerki za plus minus 2 tysiące złotych są standardem, ale po zsumowaniu odstępnego dla właściciela oraz czynszu i mediów – koszt najmu oscyluje w granicach 2,5-3 tys. zł miesięcznie. Mając na względzie to, ile realnie za-

robić może młoda osoba tuż po studiach bez doświadczenia zawodowego, rachunek jest jeszcze mniej optymistyczny, niż sugerują cytowane wcześniej dane.

Normą jest bowiem to, że „juniorzy" na start dostają najniższą krajową – w przypadku osób do 26. roku życia to kwota 3774 zł netto, w przypadku ludzi starszych – 3606 zł netto. Luźno licząc, po opłaceniu kosztów najmu i stałych opłat na przeżycie miesiąca często zostaje mniej niż 1000 zł (co dla wielu oznacza konieczność szukania pomocy u rodziny).

Można oczywiście wynająć pokój, ale nie jest to specjalnie atrakcyjną alternatywą – za niewielką klitkę w mieszkaniu z kuchnią i łazienką (dzieloną z obcymi osobami) trzeba w dużych miastach zapłacić 1000-1500 zł za miesiąc. Najbardziej astronomiczne są jednak koszty zakupu własnego mieszkania – w dużych aglomeracjach ceny za metr kwadratowy oscylują w okolicach od 11 do 17 tys. zł, a zdarzają się też droższe oferty.

Właśnie z tego powodu Piotrek postanowił „przeczekać" u rodziców. – Nie jest idealnie, bo brakuje mi prywatności i mam poczucie, że nie jestem „u siebie", ale koniec końców to trochę tak, jakbym mieszkał ze współlokatorami. Z tą różnicą, że moi ciągle dopytują, dokąd wychodzę i o której wrócę – śmieje się. Jego dziewczyna na razie wynajmuje pokój w Poznaniu i podobnie jak on szuka stałej pracy. Oboje zakładają, że gdy uda im się ustabilizować zawodowo, wynajmą coś razem. – Utrzymanie siebie i mieszkania z jednej pensji jest dziś niemożliwe. Razem będzie łatwiej – podsumowuje.

„Bezpieczny" tylko z nazwy

Jak wyjaśnia prof. Adam Czerniak, ekonomista Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie, ograniczona dostępność mieszkań – szczególnie dotkliwa dla osób, które startują od zera i nie posiadają żadnego majątku – jest efektem nałożenia się kilku opisanych wyżej czynników oraz wysokich stóp procentowych. Młodzi, którzy obiektywnie zarabiają najsłabiej i często są zatrudniani na umowach cywilno-prawnych, nie mają zdolności kredytowej.

– W efekcie są grupą najbardziej narażoną na wpadnięcie w lukę czynszową, bo nie stać ich ani na zakup mieszkania, ani na samodzielny wynajem. Nie kwalifikują się również do wsparcia systemowego ze



ARCHIWUM PRYWATNE

DR MONIKA KWIECIŃSKA-ZDRENKA, SOCJOLOŻKA:

Lubimy podnosić larum na temat rozpieszczonych i leniwych „dużych dzieci" żerujących na rodzicach. Jednak prawdziwy obraz gniazdownictwa jest o wiele bardziej złożony.

strony państwa, przez co samodzielność mieszkaniowa jest dla wielu z nich nierealna – wyjaśnia prof. Czerniak, zaznaczając, że problem dostępności mieszkań nie dotyczy wyłącznie Polski, bo trudności młodych z usamodzielnieniem się nasilają się w całej Europie. Skala problemu jest na tyle duża, że po raz pierwszy w historii Unii Europejskiej kwestia dostępności mieszkań stała się jednym z tematów polityki na poziomie wspólnotowym; powołano nawet specjalną grupę roboczą.

W Polsce podejmowano już próby rozwiązania tego problemu, m.in. poprzez rządowy program „Bezpieczny kredyt 2 procent", uruchomiony w połowie 2023 r., który w teorii miał zwiększyć dostępność mieszkań dla młodych. W praktyce przyniósł odwrotny efekt, bo deweloperzy od razu podnieśli ceny. – Państwo powinno działać tak, by mechanizmy rynkowe zapewniały mieszkania jak największej części społeczeństwa. Tymczasem program poszedł w przeciwnym kierunku. Pomógł wąskiej grupie, a jednocześnie wywindował ceny zakupu i pośrednio także najmu. Zamiast ustabilizować rynek, wybił go z równowagi – tłumaczy prof. Czerniak.

Ekspert patrzy jednak z optymizmem na nowe rządowe plany, bo na politykę mieszkaniową zabezpieczono w tym roku rekordowe 6,7 mld zł. Do łask wraca również budownictwo społeczne. – Istnieje spora szansa, że w 2026 r. pobijemy rekord z 2004 r., kiedy to do użytku oddano 7,2 tys. społecznych mieszkań czynszowych. To wyraźna zmiana kierunku polityki mieszkaniowej, bo państwo nie dopłaca już do zakupu lokali własnościowych, ale zaczyna stawiać na te tańsze i bardziej dostępne – podsumowuje.

Kiedy pójdziesz na swoje?

Ada otwarcie przyznaje, że powrót do rodzinnego domu był dla niej bezpiecznym rozwiązaniem. – Skoro rodzice dali mi taką możliwość, korzystam z niej. Chcę najpierw spróbować poukładać sobie życie, by stabilnie stanąć na własnych nogach – mówi. Jednak o ile rówieśnicy nie oceniają jej decyzji, o tyle starsze pokolenia mają na ten temat sporo do powiedzenia. Najwięcej komentarzy słyszy od sąsiadów i znajomych rodziców, bo jej rodzinny dom znajduje się w niewielkiej miejscowości, gdzie wszyscy się znają. – Regularnie słyszę pytania, kiedy znajdę sobie poważną pracę i w końcu się wyprowadzę. To frustrujące – przyznaje.

Napięcia międzypokoleniowe są nieodłącznym elementem dyskusji o młodych dorosłych. Ich źródłem w dużej mierze są skrajnie różne doświadczenia, bo jeszcze kilkadziesiąt lat temu młodzi po osiągnięciu pełnoletności (lub tuż po tym), chcąc nie chcąc, musieli się usamodzielnić. Tyle że wielu z nich dostało w PRL przydział na mieszkanie spółdzielcze, a potem była era dość przystępnych kredytów.

Starsze pokolenia często mówią: „nam też było ciężko, ale musieliśmy sobie radzić". Tymczasem dr Kwiecińska-Zdrenka podkreśla, że trudno porównywać rzeczywistość Anno Domini 2026 z latami 80., 90. czy początkiem XXI w. – Oczywiście im też nie było łatwo, rzadko jednak mają na uwadze to, że wchodzili w dorosłość w zupełnie innych realiach społeczno-ekonomicznych. Funkcjonował inny, dużo tańszy rynek mieszkaniowy, dostępne były mieszkania spółdzielcze, rynek pracy też wyglądał inaczej i był zdecydowanie mniej konkurencyjny – zauważa badaczka i podkreśla, że dziś młodzi wchodzą w dorosłość w świecie znacznie mniej przewidywalnym.

Pandemia, kryzysy gospodarcze, konflikty zbrojne, ciągły lęk przed wojną z Rosją i poczucie destabilizacji, ↦

↦ wzmocnione coraz nowszymi technologiami pogłębiającymi samotność – wszystko to realnie wpływa na ich decyzje, poczucie bezpieczeństwa i sposób myślenia o przyszłości. W tym kontekście gniazdownictwo przestaje jawić się jako przejaw wygody, lenistwa, rozpieszczenia czy braku zaradności, a coraz częściej staje się strategią adaptacji do niepewnych warunków, w których młodzi wchodzą w dorosłość.

Socjolożka zwraca też uwagę na kolejny istotny aspekt dłuższego mieszkania z rodzicami – na przestrzeni dekad zmienił się sposób wychowywania dzieci. Coraz więcej rodziców jest świadomych wyzwań, z jakimi mierzą się młodzi, i chce ułatwić im wejście w dorosłość. – Wiele zależy od kapitału społeczno-ekonomicznego rodziny, ale widzimy wyraźnie, że rodzice z klasy średniej i wyższej mogą i chcą pomagać swoim dzieciom. Finansują ich edukację, a często także zapewniają silne wsparcie materialne czy mieszkaniowe. I choć bywa to oceniane negatywnie, w praktyce zwiększa szanse młodych na usamodzielnienie się – wyjaśnia badaczka.

Dzieciak z ciebie

Kiedy dziewczyna Piotrka powiedziała jednej ze swoich koleżanek, że jej partner nadal mieszka z rodzicami, ta stwierdziła, że facet powinien w końcu dorosnąć i dojrzeć. – Wiele osób wygłasza takie osądy, kompletnie nie znając sytuacji. Przecież ja nie spędzam całego dnia przed telewizorem, a rodzice nie dają mi nagród ani kar, gdy jestem niegrzeczny. Nie jestem maminsynkiem – mówi chłopak.

A jednak podobnie do sprawy podchodzi spora część społeczeństwa – wyprowadzka z domu rodzinnego wciąż uchodzi za jeden z najważniejszych wyznaczników dorosłości. Raport „Diagnoza Młodzieży 2026" wskazuje, że aż 44 proc. osób w wieku 19-29 lat uznaje opuszczenie gniazda za kluczowy warunek – ważniejszy niż inne symbole dorosłego życia. Tymczasem Przemek Staroń zauważa, że z perspektywy psychologa samodzielne zamieszkanie nie jest papierkiem lakmusowym bycia dorosłym i dojrzałym.

– W Polsce ten społeczny wzorzec od lat pozostaje niezmienny. Wczesna wyprowadzka i pełna niezależność uchodzą za niezaprzeczalny symbol sukcesu oraz dorosłości. To bardzo sztywny model i jeżeli ktoś się w niego nie wpisuje, dostaje łatkę osoby niedojrzałej i rozpieszczonej, która nie zna prawdziwego życia – wyjaśnia Staroń.

Psycholog zauważa tymczasem, że pojęcia dorosłości, pełnoletności i dojrzałości często wrzucane są do jednego worka, choć w rzeczywistości oznaczają coś odmiennego. Tym bardziej że z perspektywy psychologii rozwoju granice dorosłości od kilkunastu lat – ze względu na większą wiedzę o mózgu człowieka oraz zmiany społeczno-kulturowe – stale się przesuwają. Jeszcze kilkanaście lat temu uznawano, że dorosłość zaczyna się koło 18. roku życia, dziś za młodego dorosłego uznaje się osobę w wieku ok. 25 lat. – Wyznacznikiem jest dojrzałość emocjonalna, a nie to, czy ktoś mieszka sam, czy z rodzicami. Jest masa samodzielnie mieszkających dorosłych, którzy nie są dojrzali, i masa osób mieszkających z rodzicami, które są dojrzałe – podkreśla psycholog.

Według wszystkich ekspertów, z którymi rozmawiam, zjawisko gniazdownictwa w najbliższych latach będzie się nasilać. Co to oznacza dla społeczeństwa? Już dziś widać wyraźne konsekwencje dla demografii, bo aż 48 proc. osób do 29. roku życia odracza decyzję o rodzicielstwie właśnie z powodów mieszkaniowych. Dla wielu młodych dorosłych priorytetem staje się dziś nie tyle myślenie o założeniu rodziny, co zabezpieczenie podstawowych potrzeb: znalezienie stabilnej pracy, a potem zarobienie na „dach nad głową". A gdy codzienność sprowadza się do walki o przetrwanie, trudniej myśleć o czymś więcej – o rodzinie i dzieciach, o wspólnocie, zaangażowaniu obywatelskim czy długofalowym planowaniu. W takiej sytuacji przedłużone mieszkanie z rodzicami wiąże się także z narastającą frustracją, poczuciem niesprawiedliwości i utknięcia „pomiędzy" ważnymi etapami życia.

Być może więc największą zmianą społeczną nie jest to, że młodzi decydują się zostawać w domach rodzinnych dłużej, ale to, że coraz trudniej im z tych domów wyfrunąć. Nawet wtedy, gdy bardzo tego chcą.

© MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA

Natrętne myśli

ANNA KORYTOWSKA

PSYCHOLOGIA | Wierzą, że stanie się coś strasznego, jeśli nie wykonają określonej czynności. Gdy wychodzą z domu, towarzyszy im lęk, że nie wyłączyli gazu lub żelazka. Lęk wydaje się absurdalny, ale potrafi zniszczyć życie.

Zamykam drzwi i naciskam klamkę. Zamknięte. Przez chwilę czuję się dobrze, ale gdy odchodzę w stronę windy, pojawia się niepokój. Wracam i sprawdzam kolejny raz. Nadal zamknięte. Chwilowa ulga, a potem znowu intruzywna myśl. Sprawdzam trzeci, czwarty, piąty raz... A gdy myję ręce, tylko przez moment wydaje się, że wszystko jest w porządku, że mogę już przestać. Sięgam po ręcznik, po czym znowu odkręcam wodę – opowiada 22-letni Dorian, znany w mediach społecznościowych jako dorian.ehlert.

Sześć lat temu usłyszał diagnozę: zaburzenia obsesyjno-kompulsyjne (OCD). Na przestrzeni lat jego kompulsje (przymusowe, powtarzalne czynności) zmieniały się, ale towarzyszący im lęk pozostawał niezmiennie silny, choć nieracjonalny. Lęk o to, że coś złego stanie się jemu albo jego bliskim.

Myśli niedające spokoju

Był czas, kiedy wciąż sprawdzał swoje ciało, szukając niepokojących zmian. Raz, potem kolejny i jeszcze jeden, bo przecież mógł coś przeoczyć. Kiedy indziej stale upewniał się, czy w relacjach z ludźmi zachowuje się właściwie. Nie dlatego, że tak postanowił, ale dlatego, że czuł, iż nie ma innego wyboru. – Bałem się również, że skrzywdzę bliską osobę albo przekroczę jej granice. Pytałem i słyszałem, że wszystko jest okej.



ANDREY POPOV / SHUTTERSTOCK

Ale i tak potrzebowałem upewnić się jeszcze raz, i jeszcze kolejny – opowiada.

To było męczące dla jego bliskich, ale nic nie mógł na to poradzić. W jego głowie nieustannie pojawiały się myśli, które nie dawały mu spokoju. Jeśli czegoś nie zrobi albo nie powie, na pewno wydarzy się coś złego. – Kiedy jest dobrze, od razu pojawia się myśl, że zaraz coś się stanie, że przecież dobrze być nie może. OCD to kat, który przychodzi właśnie wtedy, gdy życie zaczyna się układać – przyznaje. Trudności Doriana mają swoje źródło w dzieciństwie. – Byłem wyzywany, gnębiony. Ściągano mi spodnie na szkolnym korytarzu, grożono mi. To miało ogromny wpływ na moją psychikę i późniejsze doświadczenia – wspomina.

Na pierwszą wizytę u psychiatry poszedł z mamą, gdy miał 16 lat. Wtedy dowiedział się, że ma zaburzenia obsesyjno-kompulsyjne i uogólnione zaburzenia lękowe z silnymi atakami paniki. Na początku nawet nie próbował tego zrozumieć. Akurat przeżył rozstanie z chłopakiem, więc smutek i lęk zagłuszał imprezowaniem. Nie udało się, zaburzenia stawały się coraz bardziej męczące.

Wtedy zdecydował się na farmakoterapię. – Przez chwilę było naprawdę dobrze, leki bardzo pomagały. Ale ostatni rok okazał się dla mnie trudny i „to" wróciło. Teraz wdrażam nowe leczenie, a do obsesyjnych myśli staram się podchodzić racjonalnie – tłumaczy Dorian, który pracuje w biurze obsługi klienta; tam również dopadają go natrętne myśli. – Zdarza mi się sprawdzać kilka razy, czy dobrze przyjąłem zamówienie albo czy przygotowuję właściwą rzecz dla klienta. Muszę wręcz mówić do siebie: „Dorian, nie rób tego. Już to zrobiłeś". Tłumaczę sobie, że to przecież nie moja myśl, tylko OCD ją podsuwa. Staram się przeczekać, aż minie. Na razie to najlepszy sposób na radzenie sobie z moimi zaburzeniami – dodaje.

Czym jest OCD

Chcesz wyjść z domu, ale nie możesz. Sprawdzasz, czy żelazko i kuchenka gazowa są wyłączone. Są. Już chcesz wyjść, a jednak coś cię zatrzymuje i znowu wszystko sprawdzasz. Robisz zdjęcia, żeby mieć pewność. W końcu wychodzisz z mieszkania, przekręcasz klucz w drzwiach, idziesz na schody – i znowu coś każe ci wrócić. Nic się nie zmieniło, drzwi zamknięte. Ale lęk trwa w tobie, jak trwał. Odbiera sprawczość, czas, a niekiedy wręcz możliwość normalnego funkcjonowania. Towarzyszą mu nawracające, natrętne myśli oraz przymus powtarzania, jak w jakimś rytuale, pewnych czynności, które mają zredukować napięcie. Ale nawet najbardziej perfekcyjne działanie nie porządkuje chaosu w głowie. To błędne koło.

– Zaburzenia obsesyjno-kompulsyjne składają się z dwóch obszarów: obsesyjnych myśli i kompulsyjnych czynności. Myśli niosą ze sobą dużą dawkę lęku oraz częste przekonanie, że może wydarzyć się coś bardzo złego lub niebezpiecznego. Czynności kompulsyjne mają za zadanie temu zapobiec. Powstrzymywanie się od ich wykonania tylko nasila lęk – wyjaśnia warszawska psychoterapeutka Anna Tulczyńska.

Czasami te powiązania są proste. – Muszę bardzo dokładnie umyć ręce, żeby nie zachorować – tłumaczy Tulczyńska. – Z czasem rytuał może się jednak rozbudowywać. Ręce trzeba myć określoną liczbę razy albo w konkretny sposób. Innym razem pojawia się rytuał wielokrotnego sprawdzania, czy zamknęło się okna i drzwi – opowiada psychoterapeutka.

Bywa to bardzo męczące, zwłaszcza jeśli myśli te występują jednocześnie. Chory biega po całym mieszkaniu, sprawdzając kolejne rzeczy, a kiedy odhacza ostatnią, czuje, że musi wrócić do pierwszej. I tak w kółko. – Zdarza się również, że kompulsje są mniej bezpośrednio powiązane z lękową myślą. Ktoś np. obawia się, że coś złego może stać się jego bliskim i ma poczucie, że zapobiegnie temu, układając przedmioty w określony sposób albo wykonując jakąś czynność odpowiednią liczbę razy – mówi Anna Tulczyńska.

Świat spowity lękiem

Na przestrzeni lat jej myśli i kompulsje zmieniały swój charakter. Niezmienny pozostawał tylko lęk. 28-letnia Zuza Wiśniewska z OCD żyje od blisko dwóch dekad; na co dzień zajmuje się social mediami.

– Miałam 9 lat, kiedy podczas zabawy spadłam z drabinki. Najpierw straciłam oddech i bardzo się przestraszyłam. Potem z głowy zaczęła lecieć krew. Skończyło się na jednym szwie, ale pamiętam ogromny strach. Zapytałam lekarza, czy nie umrę. Usłyszałam: jeśli przez dwie godziny nic się nie wydarzy, będziesz żyć – wspomina. To zdanie zostało z nią na długo. – Te dwie godziny wkręciły mi się w głowę. Od tamtej pory, gdy coś mi się działo, odliczałam czas, z tyłu głowy mając lęk przed śmiercią. To było moje pierwsze natręctwo – mówi.

Przed snem sprawdzała tętno i bicie serca. Po kolacji z grzybami bała się zatrucia. – Wkręcałam sobie choroby. Obsesje dotyczyły zdrowia, życia, bakterii, zarazków. W odpowiedzi na lęk intensywnie myłam ręce – przyznaje. W wieku nastoletnim doszły kompleksy i lęk społeczny. – Miałam obsesyjne myśli o tym, jak ↦

↦ widzą mnie ludzie, co o mnie myślą, czy nie piszą czegoś w internecie. Unikałam rówieśników, często się wyłączałam. Po szkole potrafiłam spać godzinami – tłumaczy.

Pierwszy raz na temat OCD przeczytała już w wieku 14 lat, na forum internetowym. – Edukacja o zdrowiu psychicznym była wtedy słaba, podobnie jak dostęp do specjalistów w mniejszych miejscowościach – zauważa. Objawy stawały się jednak coraz bardziej uciążliwe. – Machanie rękami, kompulsywne mruganie i ruchy głową, pstrykanie. Albo „wyłączanie się", żeby się pomodlić i tym odczynić złe myśli.

W gimnazjum i liceum było to już bardzo zauważalne i przynosiło Zuzie wstyd. Pojawiły się też intruzywne myśli o charakterze religijnym. – Bałam się, że mogę kogoś skrzywdzić, że jestem zdolna do najgorszego. Przez jakiś czas byłam przekonana, że jestem opętana, bo jako osoba wierząca miałam bluźniercze myśli – wyjaśnia.

Do psychiatry Zuza trafiła w wieku 17 lat, ale pierwsza wizyta była porażką, bo lekarz zlekceważył jej objawy, sugerując padaczkę i przepisując leki, które nie działały. Poszła jednak do innego lekarza, który dał jej receptę na preparat redukujący lęk i natężenie obsesyjnych myśli.

Gdy wyprowadziła się z rodzinnego miasta, przerwała leczenie. Z czasem jednak objawy się nasiliły i wtedy zdecydowała się na dwuletnią psychoterapię. Było lepiej aż do śmierci dziadka, która zbiegła się z pandemią. Miała wtedy 24 lata.

– Jego śmierć, mój lęk o zdrowie, do tego problemy na studiach, w pracy i w związku, wszystko naraz – wspomina. Na szczęście psychoterapia i farmakologia sprawiły, że objawy stały się mniej dokuczliwe. Dziś Zuza opowiada o swoich doświadczeniach na TikToku i na Instagramie. – Odezwało się do mnie wiele osób. Widzę, że wciąż brakuje wiedzy na temat OCD – dodaje.

Praca dzień w dzień

U Karoliny zaczęło się od myśli: a co, jeśli zachoruję? Podczas pandemii potrafiła nawet 50 razy dziennie myć lub dezynfekować ręce. W pracy psikała sprayem antybakteryjnym na klamki i bardzo starała się to ukrywać. Bliscy mówili, że jest panikarą, ale ona czuła, że to nie do końca to. Później zaszła w ciążę. – Potrafiłam na



ARCHIWUM PRYWATNE

DORIAN:

Zamykam drzwi i naciskam klamkę. Zamknięte. Przez chwilę czuję się dobrze, ale gdy odchodzę w stronę windy, pojawia się niepokój. Wracam i sprawdzam kolejny raz. A potem trzeci, czwarty, piąty.

wszystko uważać i sprawdzać wszystko po kilka razy dziennie. Bałam się, że zeszłam krzywo z chodnika albo położyłam się niepoprawnie na łóżku, przez co mogę zaszkodzić dziecku – wspomina.

W końcu mąż zasugerował Karolinie, żeby zgłosiła się po pomoc. – W mojej rodzinie ciąże bywały trudne, więc nie miałam wzorca, że ten czas może przebiegać spokojnie. Rozpoczęłam psychoedukację i zaczęłam się trochę uspokajać – wspomina. Ale po porodzie natrętne myśli znowu się nasiliły. – Najczęściej dotyczyły lęku przed zrobieniem krzywdy dziecku lub spowodowaniem wypadku. Strach paraliżował mnie do tego stopnia, że drętwiało mi ciało – opowiada. Z tymi objawami zgłosiła się do neurologa, który skierował ją na konsultację psychiatryczną.

Karolina od półtora roku jest w regularnej terapii. – Czuję się znacznie lepiej, ale to chyba najbardziej intensywny czas w moim życiu. Codziennie pracuję nad myślami i konfrontowaniem lęku – przyznaje.

Opowiadanie o trudnościach swoim bliskim również przyniosło jej ulgę. Wcześniej rodzina miała tendencję do wyśmiewania „paniki" Karoliny, dlatego długo bała się mówić o diagnozie. Na szczęście zareagowali dobrze. – Część moich kompulsyjnych zachowań i ciągłe napięcie na pewno miały na nich wpływ. Moja nerwowość i zamykanie się w myślach odcinały mnie od nich i zabierały jakby do innego świata. Teraz codziennie pracuję nad tym, żeby być bardziej obecna – zapewnia.

Żeby świat ich zrozumiał

Zdaniem Anny Tulczyńskiej, na przestrzeni lat zachowania kompulsyjne mogą się zmieniać, bo zmieniają się też myśli, wokół których się pojawiają. Bywa, że zaburzenia mają charakter nawrotowy i pojawiają się w okresach większego stresu i napięć, po czym zanikają. Jednak i wtedy trzeba je leczyć, bo niezaopiekowane OCD może całkowicie zdeterminować codzienność. – Kompulsje są bardzo obciążające i pochłaniają ogromne ilości czasu i energii. Zwykłe wyjście z domu może oznaczać godzinę sprawdzania, czy wszystko jest wyłączone, a wykonanie każdego codziennego rytuału potrafi zająć znaczną część dnia – zaznacza ekspertka.

Dlatego tak ważne jest, by dać sobie szansę na pomoc i skorzystać z profesjonalnej psychoterapii. – A gdy lęk jest bardzo silny, konieczne bywa również włączenie leków, które pomagają go obniżyć i umożliwiają skuteczną pracę nad zaburzeniem – podkreśla Anna Tulczyńska.

Lęk przeżywany przez osoby z OCD jest bardzo intensywny i często powiązany z irytacją oraz niezrozumieniem otoczenia. – Świat oswoił depresję, ale wielu osobom z OCD nadal trudno przyznać się do problemu. Towarzyszy im wstyd związany z brakiem wiedzy i akceptacji ze strony społeczeństwa. Często spotykają się ze zniecierpliwieniem i wyśmiewaniem. Dla wielu ludzi „Dzień świra" jest komedią, a ja dostrzegam w rytualnych czynnościach głównego bohatera moich pacjentów – przyznaje psychoterapeutka.

Jej zdaniem wstyd często blokuje ich przed szukaniem pomocy i otwartym mówieniem, z czym naprawdę się zmagają. Osoby z OCD zdają sobie sprawę, że ich zachowania wyglądają na nieracjonalne czy wręcz śmieszne, a mimo to nie umieją się przed nimi powstrzymać. Innym ludziom trudno to zrozumieć. – Byłoby im łatwiej, gdyby szerzej informowano o OCD, a społeczeństwo dostrzegło cierpienie stojące za tymi zachowaniami. Ono jest ogromne – konkluduje psychoterapeutka.

© ANNA KORYTOWSKA

OLGA

Drenda: *Wewnętrzny Staszek*



Takie rzeczy się zdarzają: na drzwiach bloku pojawia się ogłoszenie, że z powodu awarii przez najbliższe trzy dni nie będzie ciepłej wody. Ponieważ od czasu do czasu mimo wszystko warto umyć włosy, trzeba znaleźć jakieś wyjście, jeśli akurat nie mamy oczywiście natury morsa. Można skorzystać z okazji, by zażyć nieco sportu i udać się wczesnym rankiem na basen – tam prysznic jest w cenie. Można znaleźć najbliższą stację benzynową ze stosowną infrastrukturą. Wreszcie można też zapytać kogoś znajomego o możliwość skorzystania z jego łazienki.

A co przychodzi do głowy w pierwszej kolejności Tobie, miły Czytelniku, Czytelniczko? To może zacznę od siebie: ostatnia opcja nie jest dla mnie niemożliwa, bo goszczę i bywam goszczona, ale na pewno nie jest też odruchowa czy bezrefleksyjna, i z pewnością poprzedziłaby ją solidna dawka skrępowania i wymówek, bo jednak głupio zawracać komuś głowę, nawet gdy się wzajemnie lubimy. Może lepiej jednak iść na basen, a o perypetiach wodociągowych opowiedzieć znajomym przy kawie?

Czynnik zawracania głowy: kiedy pojawił się w powszechnej świadomości? W podmalowanych różem wspomnieniach ze „starych, dobrych czasów", które czasami opowiadają ludzie, podobne przygody wydają się tak oczywiste i powszednie, że wyłaniający się zeń świat wręcz przypomina niewydany tom Jeżycjady. Ludzie radośnie zwalają się sobie wzajemnie na głowy, przygotowują do tego tony kanapek, a potem siedzą do rana „u Miśków" czy „u Staszków", toczą nocne Polaków rozmowy, malują sobie ściany i pilnują dzieci. Czas jakby się wydłużał i można go było radośnie trwonić, a do tego żyło się, by użyć stosownie przeszłego sformułowania, bez krępacji. To oczywiście obraz nostalgicznie zwodniczy, jak w niesławnej, wygenerowanej przez sztuczną inteligencję piosence „kiedyś ludzie mieli mniej, lecz żyli bliżej siebie". Nie bez podstaw ludzie przywołują ją jedynie jako żart.

Łazienka nieczynna, awaria!



OLGA DRENDA

Dzisiaj „tak się nie robi", czyli musiała nastąpić zmiana obyczajowa, bo to właśnie sprawia, że rzeczy przestają być oczywiste. Współczesny uczeń antropologa Edwarda T. Halla mógłby przypuszczać, że w kilka dekad doszło do zmiany społeczeństwa wysokiego kontekstu – takiego, w którym najważniejsze są niepisane zasady, nikt nie pyta wprost, a najmocniejsze umowy to te nieformalne – w społeczeństwo kontekstu niskiego, gdzie wypada stawiać kawę na ławę, jasno ustalać zasady na wstępie, wolno pytać, ale też odmawiać. Nie znaczy to – na pewno przynajmniej niczego takiego nie sugeruję w niniejszym felietonie – że któraś z tych możliwości jest lepsza lub gorsza; wszystko ma swoje plusy dodatnie i ujemne, jak mawiał wieszcz, a ewentualne oceny każdy już musi sobie wydać sam.

Zmieniło się społeczeństwo, albo jedynie sceneria. Mądrości ludowe, niewymyślone przecież wczoraj, głosiły: „lepiej nosić niż się prosić" oraz „umiesz liczyć, licz na siebie". Nie zawsze jednak okoliczności, zwłaszcza finansowe, pozwalały na życie zgodnie z pożądanym stanem samodzielności. Niebywałym nosem co do ducha czasów wykazał się niegdyś mój kolega, gdy ogłosił, że najważniejszym tekstem kultury współczesnej jest dla niego reklama banku (z roku 2013), w której babcia oferuje młodym rodzicom pożyczkę finansową w zamian za prawo nadania ich dziecku nobliwego imienia Zygfryd. W katalogu polskich marzeń od dawna znajdował się także frazesowy „święty spokój" i gdy okazało się, że da się to marzenie zrealizować przy pomocy płacenia za dobra i usługi, to kto mógł, stawał w kolejce. Okazało się, że za możliwość niewchodzenia sobie nadmiernie w drogę, prywatność i możliwość ustanowienia nowych norm grzeczności ludzie są gotowi zapłacić wysokie sumy.

Czasami (i naprawdę nie jest to żadna złośliwa ironia) podejrzewam, że popularność książek o dawnej wsi jest możliwa jedynie w dzisiejszych realiach, bo pozwala dotknąć tamtego świata, i może nawet go poidealizować, z bezpiecznego dystansu – bo nie istnieje. Na podobnej zasadzie, być może – to jedynie przypuszczenie – ludzie czasami idealizują świat, w którym domyślnie można było założyć, że skoro będę przejazdem w Krakowie, a tam mieszka mój znajomy Staszek, to oczywiste, że mogę się przekimać u niego bez pytania, czy w ogóle mu to odpowiada. Idealizują, bo chcieliby mieć w życiu kogoś, na kogo można zawsze liczyć, a zarazem prawdopodobieństwo, że sami znajdą się na miejscu Staszka, jest nieduże. Choć oczywiście warto zapewne pielęgnować wewnętrznego Staszka w sobie, na wszelki wypadek. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".



„TP" 24/2026

„TRAUMA-ZDRÓJ": GŁOSY CZYTELNIKÓW

W ostatnim numerze „Tygodnika" opublikowaliśmy reportaż Beaty Chomątowskiej i Przemysława Wilczyńskiego o historii rabczańskich sanatoriów dla dzieci. Bohaterowie tekstu „Trauma-Zdrój" – dziś w wieku ponad 40, 50 i 60 lat – opowiedzieli nam o swoich wielotygodniowych pobytach w Rabce. O całkowitym osamotnieniu, przedmiotowym traktowaniu przez personel, a także o przemocy: biciu, upokarzaniu, ośmieszaniu, straszeniu.

„Podczas szkoleń, a także w gabinetach często pojawia się wątek traumy medycznej, związanej z zagrożeniem zdrowia, polegającej na przetrzymywaniu w placówkach leczniczych dłużej, niż psychika może to unieść, często wbrew woli pacjenta. Wiąże się z nią ważny czynnik obciążający – poczucie osamotnienia. Pacjenci po pobytach w sanatoriach reagują atakami paniki np. na widok igieł, ale też miewają urazy związane z konkretnymi zapachami, potrawami czy nawet specyficznym rodzajem oświetlenia, powszechnym w takich instytucjach" – mówiła nam psycholożka Sabina Sadecka. I dodawała, że trauma medyczna – zjawisko pokoleniowe osób będących dziećmi w czasach PRL – to polskie tabu. Publikacja reportażu wywołała setki reakcji czytelników. Obok niektóre z nich.

Tylko nie mów nikomu

Mam 42 lata, w trzeciej klasie podstawówki matka wysłała mnie do sanatorium do Rabki – o tym, co tam widziałam, mogłabym napisać książkę. W tamtych czasach nie było pojęcia autyzmu, depresji, zaburzeń lękowych, choroby afektywnej dwubiegunowej. Kiedyś dzieliło się dzieci na „dobre" i „złe", a te „złe" w oczach pań opiekunek zwanych pielęgniarkami miały mieć stworzone piekło na ziemi. Dzieci były różne: i z tzw. lepszych domów, i z domów dziecka – te miały najgorzej, bo do nich nikt nie przyjeżdżał, nikt nie dzwonił, nie miały się komu poskarżyć. Pamiętam chłopca, miał może z 7-8 lat i ciemną karnację, kręcone czarne włoski. Był nadpobudliwy, wszędzie było go pełno. To denerwowało panie pielęgniarki, najbardziej tę o oddziałowym pseudonimie Barbie. Była to kobieta po czterdziestce, szczupła, wysoka blondynka o niebieskich oczach. Miała wysoki ton głosu, gdy krzyczała, było ją z daleka już słychać. To był poniedziałek, dobrze pamiętam. Po kolacji mieliśmy udać się do sal i szykować się do spania. Zapadała cisza, ja szłam, a wcześniej wspomniany chłopczyk biegał po korytarzu, gdy nagle ze służbówki pielęgniarek wyleciała Barbie i zaczęła krzyczeć. Chwyciła chłopczyka za rękę i wciągała do pomieszczenia służbowego. Chłopiec zaczął przeraźliwie krzyczeć. Pobiegłam tam, zaczęłam ciągnąć za klamkę, było zamknięte. Dzieci wybiegły na korytarz, podbiegła do mnie dziewczynka starsza ode mnie – zaczęła mnie odciągać: „Chodź, bo też dostaniesz!". Poszłam z nią, ale krzyki chłopczyka było słychać jeszcze przez godzinę. Dzieci nakrywały poduszkami głowy, żeby nie słyszeć, w ich oczach było widać przeraźliwy strach. Następnego dnia szukałam chłopczyka, ale nigdzie go nie było. Wieczorem, idąc się myć, zobaczyłam w korytarzu postać. Zgarbioną, ciągnącą nogę za sobą. To był on. To, co ujrzałam, nie mieściło się w wyobrażeniach o dziesięciolatku. Ręka wisiała mu bezwładnie, na twarzy miał skrzepy zastygłej krwi, oczy opuchnięte od płaczu. Zapytałam, gdzie był, w odpowiedzi usłyszałam: „Nie powiem, bo znowu mnie zbije". Nie wytrzymałam. Naprawdę nie wiem, skąd znalazłam w sobie tyle siły, ale pobiegłam do „budy" tych pseudopielęgniarek i zaczęłam się drzeć, że moi rodzice są na stanowiskach, i że jak temu chłopcu nie pomogą, to jutro przez telefon wszystko im powiem i wpadnie tu kontrola z prędkością światła. Dwie wybiegły, wzięły chłopczyka i gdzieś zaprowadziły. Położyłam się do łóżka, ale minęły ze dwie godziny, aż zasnęłam. Następnego dnia na śniadaniu był już chłopczyk, ale nie jadł. Nie miał jak: ręka w gipsie od palców aż po sam łokieć. Podeszłam i zapytałam, czy go coś boli. Odpowiedział, że plecy i noga, ale mam nikomu nie mówić, bo obiecał milczenie. To, co tam przeżyłam, odcisnęło ślad na moim życiu. Gdy to piszę, trzęsę się, ale gdy zobaczyłam artykuł, wszystko wróciło. I niestety już na zawsze pozostanie ze mną.

DAGMARA

Rabczańskie słoneczko

Jestem jednym z tych dzieci. Chociaż rodzice odwiedzali mnie codziennie, nie umiałam powiedzieć, co jest nie tak i dlaczego chcę do domu. Pielęgniarki darły się o wszystko, nie chciały czesać włosów, gdy się spóźniłam, bo już miały umyte ręce. Kazały same chodzić na zajęcia, na które nie wiedziałam, jak trafić, mając siedem lat. Na koniec pobytu dostałam z nerwów biegunki, bałam się o tym powiedzieć, a jak odkryły, że nie zdążyłam do toalety, to się znowu darły. Przez biegunkę mój pobyt jeszcze się przedłużył. Później latami, widząc napis „Rabka" i sławne słoneczko, chowałam się pod fotel w samochodzie.

KAROLINA

Ćwiczenia

Jeździłam do „Pstrowskiego" przez wiele lat. Zmuszano nas do wielogodzinnego wiszenia na wyciągach, ćwiczeń na drążkach aż do krwi na dłoniach. Wrzeszczące na nas panie od sportu i fizjoterapii, fatalne jedzenie i te upiorne mundurki jak dla sierot. Trauma na całe życie.

MAGDALENA

Zdrowi na ciele, chorzy na duszy

Odbieranie bielizny; spanie o tej samej porze na tym samym boku; zabieranie słodyczy; przeszukiwanie szafek; odwiedziny tylko w wyznaczonym dniu w tygodniu i to o pewnych godzinach. I jeszcze wiele przymusowych posiłków, ćwiczeń itd. Obecnie dorośli, a kiedyś dzieci-kuracjusze wyparli wstrząsające przeżycia. Paradoks tego miejsca był taki, że dzieciaki wysyłano tam, by leczyć je z ołowicy, astmy, anemii. Wracały zdrowe na ciele i chore na duszy.

MARZENA



MAGDA WOLNA

Obóz przetrwania

Byłem w Rabce kilka wakacji z rzędu, chyba w wieku od dziesięciu do trzynastu lat – ponad dwie dekady temu. W którymś momencie miałem tak dość tego, jak nas traktowali, że na porannej „musztrze" rozpłakałem się i wywrzeszczałem im, co nam robią. Potem uciekłem do izolatki i zrobiłem strajk głodowy. Pamiętam, że tak wszystkich ruszyło sumienie, że do końca turnusu zmiana była o 180 stopni. Nagle ludzie do rany przyłóż. Po tej akcji chyba były jakieś zmiany kadrowe i rok później było już lepiej.
Do dziś pamiętam Rabkę bardziej jak obóz przetrwania niż pobyt w sanatorium. Było bardzo przemocowo, ale też nie było tylko źle – i do dziś trudno mi opisywać złożoność tego zjawiska tak, żeby nie unieważniać przemocy, która miała tam miejsce. Pierwsze pocałunki, pierwszy wolny taniec z dziewczyną, wymykanie się z oddziału na pizzę, nocne spotkania pomiędzy oddziałami, wyjścia w góry. Oglądanie amerykańskich filmów na VHS na świetlicach. Jedzenie suchych zupek Vifon, kupionych w sklepie nieopodal. Słuchanie Liroya i Paktofoniki na kasetach. Zrywanie i jedzenie mirabelek z ogrodu. Robiliśmy, co mogliśmy, żeby sobie radzić, nawet jeśli było ciężko. Pielęgniarki i opiekunowie nie radzili sobie ze sobą i z nami, wrzeszczeli na nas, czasem szarpali, znajdywali różne kary. Musztra jak w wojsku, chociaż czasem to było bardziej jak fala. Opiekunów było za mało na taką masę dzieci i chyba nie byli przygotowani. Niektóre dzieci rodzice szybko zabierali do domu, gdy widzieli, co tam się działo. Niektóre nie miały rodziców. A wizyty były dozwolone chyba tylko raz czy dwa na turnus. Na szczęście miałem wtedy pozytywne doświadczenia z harcerstwa i to chyba pomogło jakoś przetrwać. Długo mi zajęło, żeby sobie Rabkę poukładać, a opiekunom wybaczyć. Strajk, który tam wtedy urządziłem (a miałem może 10 lat, może ciut więcej), też dużo mi dał. Do dziś jest dla mnie symbolem jakiejś dziecięcej wrażliwej odwagi, i odkopanie jej stamtąd dało mi zasób na całe życie. Trochę nie wyobrażam sobie siebie bez tych kilku turnusów tam spędzonych. Nikogo nie rozgrzeszam, ale też nie rozpamiętuję. To jedno z tych specyficznych doświadczeń, gdzie mimo bardzo trudnych warunków udawało się nam wyszarpywać od życia trochę dobra, trochę piękna, trochę prawdy. A przynajmniej niektórym z nas. Tym, którzy mieli trochę więcej życiowego farta.

OLEK

W imię zdrowia

Jestem dawną kuracjuszką sanatorium im. Pstrowskiego w Rabce. Przebywałam tam dwa miesiące, od sierpnia do października 1969 roku – jako sześcioletnia dziewczynka. To trauma mojego dzieciństwa, i to już od samej zbiórki przy Pałacu Młodzieży w Katowicach.
Nasze prywatne rzeczy i ubrania były rekwirowane, chodziliśmy w równych ubrankach sanatoryjnych. Wokół szyi miałam bawełnianą tasiemkę z wypisanym imieniem i nazwiskiem. Rygor, zmuszanie do jedzenia, zero intymności czy czułości. Złośliwość i upokorzenia ze strony starszych dzieci – przebywających tam czasem znacznie dłużej.
I wszystko to w imię zdrowia.

DOROTA

Pokój

Mąż jest po czterdziestce i do tej pory ma traumę. Miał trzy latka i był tam tylko dwa tygodnie. Ale po powrocie do domu przez trzy miesiące nie chciał z niego wyjść, bo się bał, że znowu tam wróci.

A.

Nie dotrwałam do końca

W Rabce spędziłam dwa z planowanych trzech tygodni – 33 lata temu. Pamiętam opryskliwe wychowawczynie traktujące schorowane dzieci jak natrętów, zero uśmiechu, tylko suche polecenia i zakazy. Sytuacja zaniepokoiła moją mamę i nie dotrwałam do końca terapii.

KATARZYNA

Takie czasy

Też to przeżyłam w wieku czterech lat. W tym samym czasie urodziła się moja siostra i byłam przekonana, że rodzice oddali mnie na zawsze. Mam stamtąd dosłownie kilka wspomnień. Pamiętam niedziele, kiedy w holu z setką innych dzieci czekałam na rodziców, a potem siedziałam tam sama, bo nikt do mnie nie przyjechał. Popołudnia w świetlicy, kiedy wychowawczyni czyta nam listy – te do mnie są wyłącznie o młodszej siostrze. Długa sala wypełniona dziecięcymi łóżkami. Spacer przez jesienny park. I powrót – to akurat wyparłam i znam z opowieści mamy. Kiedy wreszcie babcia przywiozła mnie do domu, wysiadłam z samochodu, wyminęłam szerokim łukiem biegnących do mnie rodziców i zatrzasnęłam za sobą drzwi pokoju. Też, tak jak bohaterowie reportażu, słyszałam, że „takie były czasy".

MAGDA



VALENTIN IZZO / HANS LUCAS / AFP / EAST NEWS

ZMYSŁY

TENIS ZDEKONSTRUOWANY

Fenomen Mai Chwalińskiej wykracza daleko poza przestrzeń kortu. Dotyka sedna naszych ludzkich spraw.

MAREK BIEŃCZYK

Piotrowi Mucharskiemu

Kiedy w jednym z początkowych gemów finałowego spotkania Mirra Andriejewa podbiegła do siatki po dropszocie Chwalińskiej, z trudem przerzuciła piłkę na stronę Mai i piłka po delikatnym acz czujnym dotyku tejże wróciła wysokim łukiem za plecy Mirry, która w geście rozpaczliwym i z góry skazanym na klęskę próbowała ją dogonić, warto było pomyśleć, że bez względu na wynik i tak coś się spełniło.

Przeciwniczka, podobnie jak wszystkie dziewięć poprzednich, została ugodzona najbardziej jadowitym sztychem Mai, jej tenisową *specialité de la maison*. W przypadku Andriejewej, atletki o „greckich" proporcjach, tak zgrabnie, nienagannie poruszającej się po korcie, wyglądało to jeszcze bardziej widowiskowo. Na swój sposób okrutnie czy raczej ironicznie i prześmiewczo: oto gigant, jakkolwiek gigantyczny i nie do pokonania, ujawnia przez chwilę swoją niezborność i bezradność.

Lecz to nie wszystko. Trudno było nie zauważyć, że w finale Andriejewa, pod względem taktyki świetnie przez swoją trenerkę Conchitę Martínez przygotowana, przyjęła w dużej mierze sposób gry Chwalińskiej: cierpliwość sępa, skróty, wysokie piłki bite ze słabą lub średnią mocą, prowokowanie przeciwniczki do silniejszych uderzeń; dopiero pod koniec wymiany, jeśli nadarzała się sposobność, atak na całego.

Wcześniej, w półfinale, Chwalińską próbowała grać Sznajder; nic z tego nie wyszło. Podrobić Chwalińską jest sztuką niemal niemożliwą, choć podejrzewam, że wiele z jej stylu gry pozostało w głowach i będzie teraz na kortach odtwarzane z mniejszym lub większym powodzeniem. Uciekajcie gawrony, piłki będą szybowały wysoko, hej, wysoko.

KWESTIA STYLU | To był, myślało się przez te trzy tygodnie, dar od Mai. Niech sobie Andriejewa wygrywa, ma na to wszelkie papiery i super różowe ciuchy, lecz to Chwalińska swoim sposobem gry wstrząsnęła stolikiem z błyszczącym zalotnie pucharem Muszkieterów na blacie. Jakby w seansie spirytystycznym przywołując duchy na kortach tak rzadko obecne, tenis *vintage*, jak sama określiła oldskulową grę Johna McEnroe, jej nowego wielbiciela. Wszyscy teraz powtarzamy do znudzenia, że jest to tenis antyspeedowy, strącający z piedestału bożka szybkości i siły, który miłościwie i nudno panuje od wielu lat także w tenisie kobiecym.

Uosabianego *pars pro toto* ongiś przez Serenę Williams, obecnie przez numer jeden na świecie, wielką w każdym sensie słowa Arynę Sabalenkę, która – choć jej gra ostatnio nieco wysubtelniała – tworzy wzór estetyczny trudny do oglądania i zniesienia. Także ze względu na ścieżkę dźwiękową, owo repetytywne, monotonne wycie przy każdym uderzeniu piłki. Z dodatkowym bonusem dla wielbicieli monstrualności, jakim są grymasy i dziwaczne wygibasy po zepsutym zagraniu.

Tenis Chwalińskiej jest bezszelestny i w dobrym guście, pozbawiony dodatkowej ekspozycji własnego ja, ego-echa, owych wielkich gestów, uniesionych rąk po zwycięskich piłkach, teatralnej mimiki. Co najwyżej spojrzenie i chuchnięcie we własne dłonie po rozegranej wymianie; tak zapracowany drwal dziękuje swoim łapom za wykonaną robotę i szykuje się do nowego, sprytnego ciosu w sekwoję – czy w kolosa Narcyza – naprzeciw.

Zachwycając się grą Mai, jej kontrą wobec tenisa siłowego, łatwo zapomnieć o tym, że jej szkoła stylu wytwarzała się przez długi czas i że od samego początku Maja była świadoma własnej odrębności. W wiralowych obecnie, wygrzebanych z czeluści internetu filmikach sprzed dwunastu lat mówi ona wprost, że nie chce uprawiać tenisa w typie, cytuję wiernie: „bum bum". Co wtedy jeszcze pozostawało do udowodnienia – i po latach udowodnione zostało. Bardzo bawi mnie wywiad z czternastoletnimi dziewczynkami Igą i Mają, w którym mowa o planach letnich wyjazdów. Maja zwraca się do Igi z żartobliwą pretensją: „Czemu mówisz »w lato«", miało być »latem«". Dziewięć osób na dziesięć powie, że „w lato" albo „na lato" wybiera się tu i tu, jedna tylko rzeknie, że pojedzie dokądś „latem". Tą jedną jest Maja; kwestia stylu.

W GÓRĘ PIŁKI | Zapewne naciągam tę różnicę jak gumę w ekspanderze. Ale możliwość przesadnego gadania o stylu to kolejny prezent od Chwalińskiej; zachwyt w stanach średnich niewiele jest wart i się nie opłaca. Na fajerwerki odpowiada się, na ile się da, fajerwerkami; ogień wznieca ogień. Moja mała brać tenisowa przeniosła się przez ostatnie trzy tygodnie ↦

Maja Chwalińska podczas turnieju tenisowego French Open na kortach Rolanda Garrosa. Paryż, 4 czerwca 2026 r.

↦ w inny nurt czasu; wkroczyła w trwanie mityczne. Hop siup na kanapie, Kostucha nas nie złapie. Złego nie ma, raz jeszcze zaczynamy żyć!

Wymianom Chwalińskiej z rywalkami towarzyszyły inne, niewiele mniej intensywne: SMS-ów i okrzyków na WhatsAppach. Kumpel (dobry serw i bekhend, gorszy wolej) przysłał mi zdjęcie starego znaczka pocztowego przedstawiającego pierwszy polski lot balonem w roku 1790. A dokładniej polsko-francuski: 14 maja Jan Potocki, autor „Rękopisu znalezionego w Saragossie", w towarzystwie aeronauty Pierre'a Blancharda (ten parę miesięcy wcześniej sam wzniósł się w powietrze z ogrodów na Foksal), tureckiego służącego i białego pudla poszli w górę i polatali sobie przez pół godziny. Teraz latały w górę, spadając tuż przed końcową linią kortu, piłki-montgolfiery Chwalińskiej, a wraz z nimi (*de imitatione Maja*) fruwaliśmy i my.

Z euforycznej wysokości tych paru metrów szukamy równie odlotowych słów, by wyrazić szczególność gry Chwalińskiej. Chętnie porównuję rozmontowywanie kolejnych przeciwniczek Mai w paryskim turnieju do rozbiórki luksusowych mercedesów w dziupli; wyjmujemy kolejne części i do widzenia, sprawna limuzyno. Bardzo dobry do porównań jest również dzielny wojak Szwejk, cwany gapa, który jednym słowem czy gestem podważa zapięty na ostatni guzik, zmilitaryzowany porządek.

CÓRKA DERRIDY | Lecz przede wszystkim lubię myśleć o słynnym tytule filmu Woody'ego Allena „Deconstructing Harry". „Deconstructing Qinwen Zeng", „Deconstructing Elise Mertens", „Deconstructing Maria Sakkari", „Deconstructing Diane Parry", „Deconstructing Anna Kalinska", „Deconstructing Diana Sznajder". Stąd łakomy kąsek dla niedzielnych choćby filozofów: nazwać Maję Chwalińską córką Derridy, filozofa, który nadał dekonstrukcji głębię i szlachectwo. Ujrzeć w niej intuicyjną derridianistkę uprawiającą zdekonstruowany, derridiański tenis. Czyli grę, gdzie podważa się zastałe schematy, neguje ich zasadność, wskazując, że ich prawa są ustanowione na fałszywych fundamentach.

Bo też odwołania do dawnego tenisa sprzed dekad jako wzoru dla Chwalińskiej nie do końca są trafne i nie całkiem wyczerpują stylistyczną osobność Mai. Jej istota leży w głębokim uwewnętrznieniu własnej inności i nie tylko w dekonstrukcji gry rywalek, rozwaleniu ich systemu, lecz także w przenicowaniu siebie samej w chwili śmiertelnego zagrożenia, by stanąć bezwarunkowo po stronie życia – bo nie na niszczeniu, a na afirmacji polega dekonstrukcja.

Analogia ta nie jest całkiem czcza i tylko dla zabawy. Chwalińska otwarcie opowiada o fatalnym okresie sprzed paru lat, kiedy przeżywała najcięższą depresję, graniczącą dosłownie ze śmiercią za życia. Przeżywała i przeżyła. „Przeżywanie jest życiem poza życiem – mówił Derrida w jednym z ostatnich wywiadów – bardziej życiem niż życie, i dyskurs, który podejmuję, nie jest strupieszały, a wręcz przeciwnie, jest afirmacją żyjącego, który woli żyć. A więc przeżyć śmierć, gdyż przeżycie nie jest po prostu tym, co pozostaje, przeciwnie, jest życiem możliwie najintensywniejszym" (przeł. P. Sadzik).

GIRLANDY WYKRZYKNIKÓW | W „Tygodniku Powszechnym" o tenisie Mai Chwalińskiej była już mowa cztery lata temu po turnieju wimbledońskim. Choć nie odniosła tam sukcesów, nazywano go poetyckim, hipnotycznym, magicznym i wyznawano nieograniczoną do niego, najwyższą w tenisie miłość. To były skromne, tęskliwe estetyczne westchnięcia na boku; teraz w rozmowę o Chwalińskiej wkroczyć musi socjologia.

Tak, socjologowie i psycholodzy społeczni mają pełne ręce roboty. Zapewne to akompaniament społeczny paryskich występów Chwalińskiej jest najciekawszy do zinterpretowania.

Ze wszech stron ruszyła wielka machina zbiorowej obróbki wydarzeń na Roland Garrosie, zwłaszcza od półfinału. Do boju rzuciła się chmara tweetowców, by pod własnym nazwiskiem powiedzieć to, co każdy dobrze wie i czuje na własny użytek. Z mocno głupawymi tweetami pośpieszył pan premier, który niestety jak Pan Jowialski uznaje każdy swój dowcip za tynfa wart. Chcelebryci (jak to pięknie określa Wojciech Śmieja) już pielgrzymują w stronę Mai po fotkę, na razie przedarli się przez pierwsze okopy do jej rodziców.

Komunały z girlandami wykrzykników wypełzły na pierwsze strony portali i na łona facebooków, sprowadzając Maję a to do pszczółki i innych maleństw, a to do Kopciuszka, upupiając ją, ile wlezie, odmieniając słowa „bajka", „baśń" i „sen" (w sobotę 6 czerwca „przerwany") i wpisując ją w słynny, lecz pusty jak purchawka i zbanalizowany do granic etos „bycia sobą". Czujna polska szajba kibicowska dostała długo wyczekiwanego paliwa, Okęcie tradycyjnie pękało w szwach, pieśni i skandowania znalazły wreszcie ujście, wiele lat po Małyszu i sporo czasu po pierwszych szlemach Igi Świątek. Maja, niezmiennie urocza i wdzięczna, pod względem wizerunku, który przykleja się do jej osoby, idealnie pasuje do nowego kultu. Majomania startuje równie mocno co małyszomania i mocniej niż igomania. No i teraz pół Polski już wie, czym jest dropszot.

JESTEŚMY LEPSI | Ale nie czas na kpiny i złośliwości. Nie tylko dlatego, że Maja zasłużyła na bukiety kwiatów czekające na lotnisku, skandowanie jej imienia i długie brawa, lecz dlatego, że dzięki niej doszło do zdarzenia społecznie wyjątkowego, i to nie tylko w naszej polskiej skali. Wystarczy choćby spojrzeć na filmik, nagrany przez anonimowego kibica na trybunach Roland Garrosa w chwilę po półfinałowej piłce meczowej. Kamerka patrzy na zebranych ludzi: stoją, krzyczą, unoszą triumfalnie ręce, niektórzy wycierają oczy. Francuzi. Tak, płaczą. Płaczą ludzie przed telewizorami, ci, co tenis oglądają często, i ci, którzy nie umieją odróżnić forhendu od bekhendu i nie wiedzą, co to znaczy, gdy sędzia mówi „deuce" albo „równowaga". Świadectw wzruszenia przychodzi zewsząd co niemiara. Sam, do licha, sięgnąłem po chusteczkę. Tak, Stasiu Tarkowski, spociły mi się oczy.

Skąd to uniesienie, te łzy, ta zbawienna histeria? Zbawienna, gdyż przyniosła na chwilę smak – ważę słowa – powszechnego dobra. A więc ono istnieje? Doprawdy? Coś się i w polskim, i również międzynarodowym mikroświecie tych, co Chwalińską oglądali, wydarzyło. Doszło do niekontrolowanej eksplozji. Do czegoś, czego nie dało się utrzymać pod racjonalnym dozorem, w średnich stanach emocjonalnych; nagle nasze życie zagęściło się i wywołało najwyższe doznania. Najprościej i chyba najlepiej wyraził to prowadzący amerykańskie studio tenisowe na Roland Garrosie Adam Lefkoe. W rozmowie kilku osób, wśród nich niegdyś długowłosego, a teraz łysego jak kolano i serdecznego jak brat łata An-

dre Agassiego, z Mają Chwalińską (bardzo dobrze mówiła) stwierdził na zakończenie: „Kiedy ludzie patrzą na twoją grę, stają się lepsi".

Nawet spokojnie rzecz biorąc, jest to zdanie fenomenalne. Nie tylko dlatego, że wyraża niewiarygodnie entuzjastyczną opinię. Również dlatego, że dostrzega w grze Mai fenomen, zjawisko, które wykracza daleko poza przestrzeń kortu i dotyka sedna „naszych ludzkich spraw". I dlatego, że patrzenie estetyczne przekuwa w spojrzenie etyczne.

Oczywiście nasze emocje ułatwiają sobie drogę, otaczając swoją życzliwą gorączką Dawidów walczących z Goliatami, dziewczynki z zapałkami (z rakietkami) wędrujące boso ulicami miasta. Serca miękną, te tak długo niesprzedane zapałki, te rakietki tak długo walące w piłkę na nieznaczących, prowincjonalnych turniejach. Lecz spod choćby łatwych emocji wydobywa się na jaw tyleż dziecinna, co bezwzględna potrzeba wspólnoty, naturalnej niewinności i sprawiedliwości – zapewne w dzisiejszych, plemiennych i wojennych czasach, czasach kolejnego wzmożonego kryzysu człowieczeństwa, tym bardziej wyrazista.



TIM CLAYTON / GETTY IMAGES

Ta lekcja tenisowego kunsztu promieniuje uniwersalnie. Doświadczenie paryskie każe wracać do odwiecznej refleksji nad naturą piękna.

PIĘKNO OCZYWISTE | Tak działa dzieło sztuki. Tyle że obrazy Vermeera, Van Gogha czy Rothko czynią nas „lepszymi" w samotności; wspólnota zakochanych w „Dziewczynie z perłami" jest rozproszona i w miejscu, i w czasie. Sport niekiedy zagęszcza je do granic, pozwala wielu na wspólne przeżycie epifanii.

W słynnym, fundamentalnym dla mówienia o sporcie tekście „Roger Federer jako doświadczenie religijne" David Foster Wallace wspominał właśnie o możliwości epifanicznego, wręcz mistycznego przeżywania tenisowych (czy ogólnie: sportowych) zmagań. Trudno o lepszy komentarz *post factum* do wyczynu Mai Chwalińskiej. Co ważniejsze, Wallace łączył owo doświadczenie z doznaniem piękna, które gra Federera wywoływała. „Piękno nie jest celem sportów wyczynowych, lecz sporty na wysokim poziomie tworzą najlepszą przestrzeń, w której wyraża się ludzkie piękno. Zależność ta jest z grubsza taka, jaka między odwagą a wojną. Ludzkie piękno, o którym mowa, jest pięknem szczególnym: można je nazwać pięknem kinetycznym. Jego siła i jego zew są uniwersalne. Nie ma ono nic wspólnego z seksem czy z kulturowymi normami. Ma natomiast wiele wspólnego z czymś innym, mianowicie z pogodzeniem się człowieka z faktem, że ma ciało".

Wspomniałem wyżej o występie Mai Chwalińskiej na Wimbledonie w roku 2022. Już wówczas wywarła ona ogromne wrażenie na paru komentatorach angielskich, choć nieistotne w świetle wielkich meczów wielkich gwiazd na korcie centralnym. Podczas obecnego turnieju paryskiego otrzymałem SMS od kumpla, świetnego, co tutaj istotne, literaturoznawcy i filozofa, tenisem kompletnie niezainteresowanego: „Jeśli nawet ja, a więc absolutny tenisowy laik, zobaczyłem tam piękno, to cóż, jest to piękno oczywiste".

W tym rzecz. Ta lekcja tenisowego kunsztu sięga dalej niż wysoki balon na koniec kortu; promieniuje uniwersalnie. Doświadczenie paryskie każe wracać do odwiecznej refleksji nad naturą piękna. O gustach się nie dyskutuje? Bynajmniej. Jeśli uznamy, że istnieje „piękno oczywiste", możliwe do powszechnego rozpoznania, jeśli przyjmiemy, że istnieje minimalny, podstawowy poziom zachwyconego doznania, dostępny dla wszystkich i bez względu na dziedzinę życia, w której go dostrzeżemy, bylibyśmy zbawieni. Moglibyśmy być zbawieni, gdyby na nim fundować świat. Nie będziemy, lecz dobrze jest pamiętać o możliwości takiej możliwości.

TRZYDZIEŚCI PROCENT POEZJI | Czas znowu zaczął płynąć. Turbokapitalizm będzie nadal kręcił swoje lody, także wokół Mai. Chciałoby się, żeby wycisnęła z niego jak najwięcej grosza, jak najmniej udzielając siebie rolexom, biżuteriom, kremom na buzię czy czemu tam jeszcze. I niekoniecznie pokazywała fotki tego, co zjadła dzisiaj na śniadanie, albo informowała *urbi et orbi* o tym, co napisał do niej Lewandowski albo jak się wabi jej pies, jeśli ma psa.

Wygląda na to, że da sobie radę. Zresztą należy się jej wszystko. Należy się jej menadżerowi, który włożył w jej karierę wiarę, własną odwagę i kasę. Łatwo zrozumieć, że chciał skakać ze szczęścia do Sekwany i gotów jest skoczyć do Tamizy. Polecamy jeszcze ocean obok Flushing Meadow (Wielki Szlem sierpniowy, US Open) i ocean w Melbourne (Wielki Szlem styczniowy, Australian Open). Jeśli jest rzeczywiście wielbicielem kąpieli, pozostaje też prysznic. Choćby i zimny.

Innymi słowy, jeszcze będzie wspaniale, jeszcze będzie przepięknie, ale nie zawsze, będzie też gorzej i średnio ślicznie. Maja Chwalińska sama o tym mówi; wie, że schody prowadzą to w górę, to w dół.

W górę, w dół, wszystko dobrze. Kiedy miała czternaście lat, o tenisie Rogera Federera mówiła, że to „poezja". Powtórzyła to dosłownie podczas jednej z konferencji prasowych w Paryżu. W roku 2024 Roger Federer otrzymał tytuł honorowego doktora nauk humanistycznych od Dartmouth College (w stanie New Hampshire). Z tej okazji wygłosił – z głowy, nie z kartki – fantastyczne, głęboko humanistyczne przemówienie do ówczesnych absolwentów uczelni. „Rozegrałem ponad 1500 meczów – powiedział w pewnej chwili – wygrałem z nich ponad 80 proc. Czy wiecie, jaki był procent wygranych przeze mnie piłek? – 54 proc.".

Wielki Roger Federer: 54 proc. wygranych piłek, ledwie 4 proc. więcej, niż wygrali przeciwnicy! On i reszta, prawie łeb w łeb. No ale „poezja". Niech Maja Chwalińska wygrywa dalej, ile się da, ale jeśli się nie da, to choćby 40 proc. piłek, choćby 30, nieważne. To mało – 30 czy 40 proc. poezji w naszym stuprocentowym życiu?

© MAREK BIEŃCZYK

ŚWIAT

SALWADOR: JAK RODZI SIĘ DYKTATURA

Świat uwierzył w cud: odkąd nastał prezydent Nayib Bukele, ulubieniec Trumpa, Salwador stał się krajem bezpiecznym. Liczba zabójstw spadła o 98 procent. Ale cena jest wysoka: zamiast przemocy gangów jest przemoc państwa.

JAN BLUZ Z SALWADORU I GWATEMALI



Napastnicy sponsorowani przez państwo mogą mieć na celowniku twój iPhone – gdy Claudia Palacios zobaczyła ten alert od firmy Apple, od razu pozbyła się swojego urządzenia. Nie chciała ryzykować. Jest dziennikarką, właśnie pracowała nad materiałem o korupcji w więziennictwie. Jej koleżanka, z którą razem drążyły temat, dostała podobne ostrzeżenie.

Apple wysyła takie alerty do użytkowników, gdy ma podejrzenie, że ich urządzenia zainfekował program szpiegowski typu Pegasus. Późniejsze analizy ośrodka The Citizen Lab z Kanady potwierdziły, że w czasie, gdy Claudia dostała ostrzeżenie od Apple'a, Pegasus śledził tu kilkudziesięciu dziennikarzy.

Wykonywanie tego zawodu w Salwadorze – niewielkim kraju Ameryki Środkowej (6,5 mln ludzi, wielkość województwa pomorskiego) – wymaga odwagi. Prezydent Nayib Bukele zwykł mawiać, że nieprzychylne mu media są na garnuszku Sorosa. Odwagi trzeba też, by walczyć z korupcją: bywa, że taki aktywista trafia do więzienia... pod zarzutem korupcji.

44-letni Bukele, który urząd objął w 2019 r., obiecując walkę z gangami – Salwador był wtedy najbardziej niebezpiecznym krajem obu Ameryk – istotnie zwalczył gangi. Ale potem zabrał się za demokrację. Dziś z uśmiechem mówi, że jest „najbardziej *cool* dyktatorem na świecie". Jak do tego doszło? Jak w wieku XXI demokracja zamienia się w dyktaturę?

Klimat paranoi

Rozmawiamy przy kawie w galerii handlowej na przedmieściu San Salwador, stolicy kraju. 32-letnia Claudia Palacios zapewnia, że nie chce opuszczać ojczyzny. Jeszcze nie. Jak dotychczas nikt jej nie aresztował, o nic nie oskarżył. Czuje się bezpiecznie. No, w miarę bezpiecznie. Claudia zawsze chciała zostać dziennikarką. Wspomina, jak oglądała z ojcem programy publicystyczne i potem rozmawiali o tym, co się dzieje w kraju. – Właśnie dlatego, że nasz kraj był tak niebezpieczny, chciałam wykonywać ten zawód, coś zmieniać – wspomina.

Na studia dziennikarskie wyjechała do sąsiedniej Gwatemali. Gdy wróciła, pracowała dla portalu informacyjnego, zajmowała się śledztwami. Redakcja utrzymywała się z grantów Kongresu USA. W 2025 r. ekipa Trumpa ucięła dofinansowanie. Wtedy przeszła do „La Prensa Gráfica", największego salwadorskiego dziennika.

Claudia uważa, że coraz ciężej być tu dziennikarzem (o ile nie pracujesz w mediach państwowych). Oraz że panuje klimat paranoi: rzadko kto jest gotów mówić głośno, co myśli. Nie tylko, gdy idzie o prezydenta. Także w błahych sprawach.

W tej atmosferze niektóre media stosują autocenzurę. Unikają nazwiska Bukele. Łagodzą ton. Nie poruszają pewnych



EL SALVADOR'S PRESIDENCY PRESS OFFICE / AFP / EAST NEWS

Prezydent Nayib Bukele (w środku) wizytuje nowo otwarte ciężkie więzienie w pobliżu miasta Tecoluca. Salwador, 1 lutego 2023 r.

tematów. Zwłaszcza radio i telewizja. Claudia trochę je rozumie: – Bo co mają zrobić, przecież potrzebują koncesji państwa, aby w ogóle działać.

„Agenci zagraniczni"

Nayib Bukele jest znany z niechęci do tradycyjnych mediów (gdzie tradycyjne to także np. portale internetowe). Gdy został prezydentem, początkowo przychodził na konferencje prasowe. Kiedy ktoś zadawał niewygodne pytanie, lubił wyśmiewać pytającego. – Zamiast odpowiadać, szydził i sugerował, że ta czy inna redakcja działa na zlecenie jakichś grup interesu – mówi Claudia Palacios.

Rolki z tych połajanek wrzucał do sieci, gdzie stawały się viralowe. Ale potem chyba i do tego stracił cierpliwość, bo konferencje prasowe zlikwidowano.

W 2025 r. jego rząd wprowadził za to ustawę o „agentach zagranicznych". Nakłada 30-procentowy podatek od środków otrzymanych z zagranicy przez media i pozarządowe instytucje. – Jak to bywa na całym świecie, w dużej mierze polegamy na finansowaniu od organizacji międzynarodowych – przyznaje Claudia.

Media i organizacje, które otrzymują fundusze z zagranicy, muszą też zarejestrować się jako „agenci zagraniczni" w MSW. Zeznania ze swych działań i projektów muszą składać do MSW i prokuratury. Ustawa stanowi przy tym, że nie można wykorzystać takich funduszy do prowadzenia działalności „zagrażającej suwerenności narodowej lub politycznej".

– Dziennikarstwo z natury jest działalnością polityczną. Może być w każdej chwili interpretowane jako działanie zagrażające ustalonemu porządkowi. Jeśli władzy ktoś się nie spodoba, ma gotowe narzędzie do oskarżenia – mówi Claudia.

Obóz Bukelego przejął też media publiczne. Dziś ich przekaz to propaganda sukcesu.

Trochę jak Trump

Przyznać trzeba, że w awersji do mediów Bukele jest konsekwentny. Od początku swej politycznej kariery – najpierw jako burmistrz miasta Nuevo Cuscatlán, potem burmistrz stolicy – stawiał przede wszystkim na obecność na TikToku, YouTube czy platformie X. Tworzył – trochę jak Donald Trump – własne, alternatywne drogi dotarcia do obywateli.

Taka komunikacja bezpośrednia wychodziła mu dobrze, tym bardziej że wyrobił sobie opinię polityka bezkompromisowego, który jest w stanie złamać duopol na władzę klasycznej lewicy i prawicy. A po tym, jak w 2019 r. wygrał wybory po raz pierwszy, z każdym rokiem jego retoryka przeciw krytycznym wobec niego mediom była coraz bardziej agresywna.

Wielu Salwadorczyków wierzy w jego propagandę. – Nawet rodzina pyta mnie, czy Soros nam płaci i kto nam dyktuje, co mamy pisać – przyznaje Claudia Palacios. ↦

Kraj w rękach gangów

↦ Nazwa „Salwador" oznacza dosłownie „Zbawiciel" i nawiązuje do postaci Chrystusa, patrona kraju (sięga wieku XVI, gdy hiszpańscy konkwistadorzy nazwali tak ten region; kiedy w 1821 r. uzyskano niepodległość, nazwa została). Nayib Bukele chyba trochę chciałby być właśnie zbawcą – narodu i kraju.

Pod jednym względem mu się to udało: w ciągu 7-letniej prezydentury sprawił, że w państwie w końcu jest (relatywnie) bezpiecznie. W tym celu w 2022 r. wprowadził stan wyjątkowy, który miał być, jak twierdził, wypowiedzeniem wojny brutalnej przestępczości.

Historia Salwadoru, najmniejszego kraju Ameryki Środkowej, to ciąg cierpienia związanego z wszechobecną przemocą – wojen, masakr, wyzysku. W latach 1979-92 miała tu miejsce wojna domowa między prawicowym rządem a lewicową partyzantką (to wówczas poniósł śmierć św. abp Óscar Romero). Potem, w kolejnych trzech dekadach, ta przemoc objawiała się w aktywności bezwzględnych *pandillas*, ulicznych gangów. Zwłaszcza dwóch: Mara Salvatrucha i Barrio 18.

Rywalizując ze sobą, gangi terroryzowały kraj – haraczami, przymusową rekrutacją. Handlowały narkotykami, kontrolowały prostytucję. Oraz zabijały: przez lata Salwador miał jeden z największych odsetków morderstw na świecie. W szczycie, w 2015 r., zabito 6656 ludzi (to tak, jakby w Polsce było 40 tys. morderstw), czyniąc kraj najbardziej brutalnym na zachodniej półkuli.

Hit wśród backpackersów

Gdy idę dziś ulicami San Salwador, wciąż większość aut ma przyciemniane szyby (to był taki odstraszacz na rabusiów: że niby nie wiadomo, czy kierowca też nie jest uzbrojony). Wiele sklepów spożywczych wciąż ma grube kraty na frontonach, przez które trzeba wskazać palcem, co chce się kupić. Przy prawie każdej większej firmie usługowej leniwie kręci się strażnik z shotgunem. Nawet ochroniarz w supermarkecie ma rewolwer przy pasie.

Ale to tylko ślady dawnych czasów. Teraz można czuć się bezpiecznie. Żadnych podejrzanych typów na ulicy. Wszędzie policja i wojsko. Nikt nie ostrzega, by po zmroku nie kręcić się po dzielnicy. Salwador stał się jednym z najbezpieczniejszych krajów Ameryki Łacińskiej. Hitem podróżniczym wśród backpackersów i surferów, którzy ciągną z całego świata, korzystają z uroków natury i niskich cen.

Stał się też wzorem do naśladowania. Ludzie z Meksyku, Wenezueli czy Hondurasu kiwają głową z aprobatą: „U nas też powinno się zrobić taki porządek!". Jest się z czego cieszyć: od 2015 r. do dziś liczba morderstw spadła o 98 procent.

Ku cool dyktaturze

Ale przywrócenie bezpieczeństwa to tylko połowa tej historii. Bukele zwany jest przecież „najbardziej *cool* dyktatorem świata". *Cool*, bo młody (choć dziś już raczej w średnim wieku) i przystojny. *Cool*, bo pozbył się gangów. *Cool*, bo zalegalizował bitcoina jako oficjalny środek płatniczy. No i wygląda na to, że faktycznie albo już jest, albo metodycznie zmierza w stronę, by zostać dyktatorem.

Już na początku urzędowania Bukele wkroczył teatralnie do parlamentu w obstawie żołnierzy. Do posłów zwrócił się o akceptację dla pożyczki na wydatki związane z bezpieczeństwem. Gdy ci patrzyli z konsternacją, stwierdził, że da im chwilę do namysłu, i poszedł się pomodlić do parlamentarnej kaplicy. Pożyczka została zaakceptowana.

– Nikt nie mógł uwierzyć, że niecałe 40 lat od zakończenia wojny domowej znów zobaczymy żołnierzy w parlamencie. To było nie do pomyślenia – wspomina Claudia.

Potem Bukele obsadził na nowo Sąd Najwyższy. Wybrani przez niego sędziowie, choć było to wbrew konstytucji, pozwolili mu kandydować drugi raz pod rząd. Pozbył się też niewygodnego prokuratora generalnego i zmienił prawo tak, by mógł (on lub jego podwładni) usuwać niższych rangą sędziów i prokuratorów. Z kolei w 2025 r. parlament, w którym większość ma jego partia, wydłużył mu kadencję z 5 do 6 lat oraz zlikwidował limit kadencji.

Czy tylko bandyci?

Głównym instrumentem jego władzy pozostaje *régimen de excepción* – stan wyjątkowy, zawieszający wiele praw i swobód obywatelskich, obowiązujący od 2022 r.

Oficjalnie była to odpowiedź prezydenta na ówczesną falę morderstw. Są jednak przesłanki, że do 2022 r. Bukele miał z *pandillas* cichy pakt, w którym ci drudzy zobowiązali się do niezabijania w zamian za lepsze warunki w więzieniach dla ich liderów. Pakt miał być zerwany po tym, jak władze nie wypełniły swoich zobowiązań.

W czasie stanu wyjątkowego Bukele zmiótł z ulic nie tylko *pandillas*. W ciągu ostatnich czterech lat aresztowano łącznie 91 tys. ludzi – Salwador stał się światowym rekordzistą, gdy idzie o odsetek więźniów. W szczycie aresztowań za kratami było około półtora procent populacji – w dużej części bez nakazów, spraw sądowych, wyroków.

W mediach zaczęły krążyć podejrzenia, że wielu zatrzymanych nie ma nic wspólnego z gangami. Że policja aresztuje, bo wyrabia normy. Albo że kogoś zatrzymano za wątpliwy tatuaż. Sporo było, jak słyszę, donosów na sąsiadów czy konkurencję, jakoby adwersarz był członkiem gangu. Wisienką na torcie jest „outsourcing", jaki Bukele zaoferował Trumpowi, przyjmując w więzieniach deportowanych z USA i gangsterów, i nielegalnych imigrantów.

Bukele twierdził, że tylko około procenta zatrzymanych było przez pomyłkę. Ale zwolniono dotąd 8 tys. osób, czyli bliżej 9 proc. zatrzymanych. Niezależne media twierdzą, że wciąż siedzi sporo niewinnych. Bukele ripostuje, że media chcą wypuszczenia morderców. Wielu obywateli patrzy na to przez palce. Przynajmniej ludzie nie giną na ulicach.

Ryzykowne pytania

Prawda jest też taka, że – oceniając według międzynarodowych standardów – w Salwadorze stworzono w istocie obozy odosobnienia, gdzie w horrendalnych warunkach stłoczono ludzi pozbawionych prawa do sprawiedliwego procesu. Tak to widzą Amnesty International i Human Rights Watch.

Owszem, skoro na ulicach jest w końcu bezpiecznie, to wielu aresztowanych musiało być w *pandillas*. To bez wątpienia. Tylko już teraz wiemy, że nie wszyscy – więc ilu naprawdę?

Oraz: co dalej? Winni dostaną szansę na resocjalizację i powrót do społeczeństwa? Czy mają zgnić na blaszanych kojach cel, bo wcielono ich przemocą do

gangu lub w młodości zostali zbałamuceni przez starszych kolegów? Brnijmy dalej w szczegóły: czy chłopiec na posyłki, formalnie będący w gangu, ma dostać dożywocie tak jak *sicario*, morderca na zlecenie? Oraz co teraz z demokracją?

Każdy, kto głośno zadaje te pytania, staje się wrogiem publicznym. Zwłaszcza dziennikarze i organizacje praw człowieka. Według APES, związku lokalnych mediów, już ok. 60 dziennikarzy wolało opuścić kraj. Największa lokalna organizacja praw człowieka, Cristosal, zamknęła biuro w Salwadorze i dziś działa z Gwatemali.

Demontaż demokracji

W stolicy Gwatemali spotykam się z prawnikiem z Cristosal. René Valiente ma 40 lat i kieruje działem researchu. Dorastał w czasie salwadorskiej wojny domowej. Studiował i pracował w czasach wszechmocy gangów. Twierdzi, że w najgorszych momentach nie przyszło mu przez myśl, by emigrować. Dopiero rządy Bukelego zmusiły go do tego.

René: – Emigracja kształtowała moją rodzinę. Moja ciotka emigrowała jeszcze przed moimi narodzinami. Uciekała przed wojną domową i problemami ekonomicznymi. Wychowywałem się z jej synami. Moi kuzyni w końcu też wyemigrowali. Zawsze wierzyłem, idąc za przykładem matki, że mogę zostać. Że mogę przyczynić się do lepszego Salwadoru.

Organizacja Cristosal działa od 26 lat. Założyli ją biskupi ewangeliccy, miała zająć się prawami człowieka i demokracją po wojnie domowej. Zajmowała się też korupcją, przemocą gangów, nielegalnymi eksmisjami. Odkąd rządzi Bukele, Cristosal ostrzega przed demontażem demokracji.

Gdy ponad rok temu USA deportowały kilkuset Wenezuelczyków, domniemanych gangsterów, Salwador przyjął ich w CECOT, owianym złą sławą więzieniu o podwyższonym rygorze. CECOT jest perłą w koronie propagandy Bukelego. Cristosal alarmował wtedy, że Salwador więzi obcokrajowców bez wyroków, aby podlizać się Trumpowi.

Schemat

– W maju 2025 r. policja wkroczyła do naszego biura, gdy odbywała się konferencja prasowa dotycząca Wenezuelczyków deportowanych z USA – mówi René.



ARCHIWUM PRYWATNE

MÓNICA RODRÍGUEZ *relacjonowała w mediach protest przeciw Bukelemu. Ostrzeżona, że interesuje się nią policja, uciekła do Gwatemali.*



JAN BLUŹ

CLAUDIA PALACIOS *dostała alert, że jej iPhone jest na podsłuchu. Później potwierdzono, że Pegasus śledził wielu dziennikarzy z Salwadoru.*



JAN BLUŹ

RENÉ VALIENTE *wskazuje na schemat: kto występuje tu przeciw władzy, ten musi liczyć się z oskarżeniem np. o związki z gangami.*

Tydzień później aresztowano Ruth López, szefową wydziału ds. zwalczania korupcji w Cristosal. Zarzut: defraudacja, potem zmieniony na nielegalne wzbogacenie w czasie, gdy López pracowała w Najwyższym Trybunale Wyborczym (instytucji odpowiadającej za wybory). Siedzi do dziś. Jej sprawa została utajniona, jej prawnicy nie mają pełnego dostępu do akt. Amnesty International ogłosiło ją więźniem sumienia.

Po tym Cristosal ewakuowało wszystkich pracowników do Gwatemali. – Pozostanie w kraju było zbyt ryzykowne. Bardziej jesteśmy przydatni naszym siostrom i braciom, którzy są więźniami politycznymi, gdy możemy działać z zagranicy – mówi René.

Takich przypadków jak Ruth López jest więcej. Widać tu schemat: gdy ktoś występuje przeciw władzy, prędzej czy później jest oskarżony o delikt finansowy lub związki z gangami.

Prawnik Enrique Anaya w telewizji krytykuje prezydenta – dwa dni później jest aresztowany i oskarżony o pranie pieniędzy. Prawniczka Ivania Cruz na konferencji w Europie mówi o Salwadorze – trzy dni później jest oskarżona o udział w grupie przestępczej, policja wystawia za nią notę Interpolu (Cruz nie wraca, dostaje azyl w Hiszpanii). Rdzenny aktywista Óscar Iglesias sprzeciwia się budowie lotniska (bo to oznacza przesiedlenie jego społeczności) – jest aresztowany pod zarzutem powiązań z gangami.

Ostatnio Cristosal zajmuje się też niewyjaśnionymi zgonami zatrzymanych podczas stanu wyjątkowego. Od 2022 r. ponad 500 osób miało w takich okolicznościach umrzeć w więzieniach. – Reżim zastąpił przemoc gangów przemocą państwową – mówi René.

Przez zieloną granicę

Także w maju 2025 r. rodziny zagrożone eksmisją – na miejscu ich domów miała powstać autostrada – protestowały przed domem Bukelego. Policja je rozgoniła. Protest relacjonowała dziennikarka Mónica Rodríguez z lokalnego serwisu Balsamo RTV.

Tydzień potem dostała sygnał, że interesuje się nią policja. Insiderski. – Koleżanka, także dziennikarka, napisała mi, że policja prowadzi śledztwo. Twierdziła, ↦

↦ że poinformował ją o tym ktoś z administracji więziennej. Osoba ta powiedziała koleżance, że najlepiej będzie, jeśli opuszczę kraj, na wszelki wypadek – wspomina Mónica.

Z 40-letnią Mónicą spotykam się w Ciudad de Guatemala. Nie czekała, aż po nią przyjdą, uciekła wraz z partnerem Steve'em Magaña, też dziennikarzem. Przez zieloną granicę, bo nie mieli paszportów.

Mónica zaczęła pracę dziennikarki w 2009 r., w telewizji publicznej Canal 10. Miała program „Memoria viva" („Żywa pamięć"), o spuściźnie wojny domowej. Została zwolniona po tym, jak kontrolę nad stacją przejęła administracja Bukelego. – Nie umiałam się dostosować. Oficjalnie zwolnili mnie z powodu utraty zaufania do mnie – wyjaśnia.

Ma łzy w oczach, gdy opowiada, jak tęskni za mamą, siostrą i siostrzenicą. – Nie sądziłam, że Salwador zaliczy taki regres. Że znów, jak podczas wojny domowej, dziennikarze i działacze będą musieli iść na wygnanie – mówi.

Mónica przebywa w Gwatemali jako turystka. Nie wie, co dalej. Oficjalnie nie ma wobec niej śledztwa. Zastanawia się nawet nad powrotem, głównie z tęsknoty za rodziną.

Dwa sondaże

Niedawny sondaż Gallupa mówi, że 74 proc. Salwadorczyków boi się publicznie wyrażać swoje zdanie. Gdy zagadywałem przypadkowych ludzi o sytuację, istotnie nie byli wylewni. – No tak, nie ma już gangów, chociaż to. Jest z pewnością bezpieczniej – odpowiadali krótko. Po czym zapadała cisza lub zmieniano temat.

Z drugiej strony prorządowe media informują, że w ich sondażu Nayib Bukele ma w społeczeństwie 94 proc. poparcia. To więcej niż na Białorusi ma mieć Alaksandr Łukaszenka. Bliżej Kim Dzong Una, którego ma popierać 99 proc. obywateli Korei Północnej.

Dość to niechlubne grono. Ale Nayib Bukele na pewno dźwignie to brzemię. Chodzi przecież o zbawienie Salwadoru. © JAN BLUZ

Pożegnanie z Afryką (Południową)

TADEUSZ MICHROWSKI

RPA | Kiedyś kraj „tęczowej nacji" i Nelsona Mandeli, dziś jest w czołówce najbardziej ksenofobicznych społeczeństw na całym kontynencie. Do końca czerwca obcy mają się wynieść. Jak do tego doszło?

Przełom kwietnia i maja w Południowej Afryce nie upłynął pod znakiem świętowania 32. rocznicy wolnych wyborów ani Dnia Pracy, choć oba święta obchodzi się tu z uwagą. Przykryły je masowe marsze w największych miastach, które przeciągnęły się na kolejne tygodnie. Ich hasło jest proste: „Precz z migrantami".

Liderzy antyimigranckich ruchów Operation Dudula oraz March and March powtórzyli też wyznaczony już pod koniec 2025 r. termin. Oto do 30 czerwca br. niezalegalizowani migranci mieliby opuścić kraj. W międzyczasie rozeszła się dezinformacja, jakoby rząd usankcjonował tę datę.

To nie czcze groźby: co roku przemoc skierowana wobec migrantów przynosi w RPA ofiary śmiertelne. Na przestrzeni ostatnich lat to setki oficjalnie zarejestrowanych zgonów. Kilka osób zginęło także w wyniku ostatnich wystąpień.

Z sondaży wynika, że siedmiu na dziesięciu obywateli RPA uważa, iż migranci mają zły wpływ na gospodarkę; ośmiu, że rząd powinien ograniczyć napływ migrantów poszukujących pracy, a więcej niż jedna trzecia, że należy zakazać takiej migracji całkowicie.

Południowa Afryka, kraj „tęczowej nacji" i Nelsona Mandeli, ojczyzna humanistycznej ideologii Ubuntu (zakładającej, że całą ludzkość łączy uniwersalna więź), jest dziś w czołówce najbardziej ksenofobicznych społeczeństw na całym kontynencie.

NA LEGALU | Grudzień 2025 r. Choć centrum przedłużania wiz w Kapsztadzie ma biuro na ósmym piętrze, to kolejka zaczyna się już na parterze. Mija kilkanaście minut, zanim strażnik zawoła do wind i razem z grupką ludzi dostanę się na niewielki korytarz osiem poziomów wyżej.

Brak ławek i krzeseł. Raz na jakiś czas pracownik wychodzi i rozdziela czekających na dwie grupy. Europejski turysta, który chce przedłużyć wycieczkę o kilka dni, stoi tu obok małżeństwa z Ameryki Południowej, które ubiega się o przedłużenie pozwolenia na pracę, oraz dwójki agentów. Ci ostatni – zawodowi „załatwiacze" wiz – narzekają najbardziej. Proces jest uciążliwy, „urzędnicy" utrudniają go na każdym kroku.W zasadzie jedynym sposobem na uzyskanie wizy w RPA jest posiadanie zawodu z listy tzw. *critical skills*, np. lekarza czy inżyniera. Inni muszą dowieść, że ich zadań nie może wykonać obywatel RPA. Niezależnie od sytuacji, proces trwa niemniej niż kilkanaście miesięcy.

System jest krytycznie nietolerancyjny: między rokiem 2014 a 2021 tylko 9,5 tys. osób ubiegało się o zwykłą wizę pracowniczą (istnieje jeszcze opcja wizy korporacyjnej oraz dla pracowników firm międzynarodowych). Dostała je połowa z nich.

WIELE WIĘCEJ | VFS Global, międzynarodowa firma, która zarządza procesem wizowym w imieniu rządu RPA, wielokrotnie była oskarżana o wyłudzanie pieniędzy i złe traktowanie aplikantów z biedniejszych państw. Rzeczywiście, opłata za samą wizytę to w przeliczeniu kilkaset złotych. I jak okazuje się po kilku godzinach czekania, w moim przypadku system jej nie zarejestrował. Małżeństwo zza Atlantyku też wraca z kwitkiem, mąż lada moment będzie tu nielegalnie.



RAJESH JANTILAL / AFP / EAST NEWS

W ostatnich tygodniach w całej RPA odbywały się marsze przeciwko imigrantom. Na zdjęciu: demonstracja zorganizowana przez ruchy Operation Dudula i March and March. Durban, 20 maja 2026 r.

Dostęp do wiz pracowniczych w RPA jest tak ograniczony, że jedyną szansą jest dostanie się do kraju nielegalnie, albo nielegalne przedłużenie pobytu w ramach innej wizyty: turystycznej lub dla azylantów. W efekcie pojawiają się nadużycia, jak problem „fałszywych uchodźców" i niechęć społeczeństwa do całej grupy. Coraz głośniej wybrzmiewa wezwanie do walki z migracją.

Gdy stoję w kolejce w centrum Kapsztadu, zuluski aktor i działacz antymigracyjny, Phakamile Ndabandaba, po raz pierwszy daje ultimatum: do 30 czerwca migranci mają zniknąć, albo kraj czeka strajk. Teraz, gdy termin się zbliża, coraz więcej Południowoafrykańczyków mówi, że może wydarzyć się o wiele więcej.

OPOWIEŚĆ Z RPA | W odpowiedzi na te groźby, Ghana zdecydowała się na repatriację ponad 800 swoich obywateli. Jak donosiło później BBC, byli wśród nich ludzie, którzy spędzili w RPA długie lata, w tym właściciele biznesów.

Z kolei nigeryjska policja ostrzegła swoich obywateli, by nie dokonywali odwetu na Południowoafrykańczykach żyjących w Nigerii, i ogłosiła, że pracuje nad zapewnieniem im bezpieczeństwa. Tyle że obywateli RPA w Nigerii jest niewielu, a o żadnych atakach nie było dotąd mowy. Pozostaje pytanie: czy to troska, czy element dyplomatycznej gry i ostrzeżenie.

W każdym razie sprawa nie dotyczy już tylko jednego kraju – zaangażowała ona cały afrykański kontynent.

Stereotyp Nigeryjczyków-przestępców jest w RPA tak silny, że już lata temu znalazł wyraz w kulturze masowej. „Dystrykt 9", filmowy *blockbuster* SF z 2009 r., ukazuje nigeryjskich gangsterów rządzących dzielnicami nędzy pod Johannesburgiem.

Film ten wpisuje się też w czołową antymigracyjną opowieść z Południowej Afryki. W jej myśl to zwłaszcza obcy odpowiadają za jedną z największych przestępczości na świecie. To oni „kradną" pracę w kraju, gdzie jedna trzecia dorosłych i ponad połowa młodych jej nie ma. To oni mają obciążać upadające usługi publiczne.

WYGODNY WINNY | RPA jest najbogatszym krajem Afryki. Skoro jest tak dobrze, to czemu jest tak źle? Bo, mówiąc najkrócej, zamiast mierzyć się z dziedzictwem apartheidu i niedostatkami demokracji, z problemami systemowymi, które nie mają wspólnej twarzy, z bezrobociem – łatwiej jest wskazać na imigrantów. Oni są wygodnym winnym. Wedle oficjalnych liczb są ich nieco ponad dwa miliony (na 65 mln ludności), choć pojawiają się szacunki ponad dwukrotnie większe. Gdyby te ostatnie były prawdziwe, w RPA przebywałoby więcej osób bez dokumentów, niż liczy jej biała populacja.

Dzisiejsza imigracja ma wiele twarzy. Zdecydowana większość to ludzie z Afryki. Według parytetu siły nabywczej, RPA jest dziesięciokrotnie bogatsza od sąsiednich Mozambiku i Malawi, pięciokrotnie od Lesotho i ponad dwukrotnie od Zimbabwe.

Dalej: kilka procent spośród imigrantów to przybysze z Azji, a blisko pięć procent z Europy i USA. Południowa Afryka ściąga ich znakomitymi uniwersytetami, piękną przyrodą i – dla bogatych – zachodnim poziomem infrastruktury i medycyny. Gdy więc świat dowiadywał się, że biali „uchodźcy" z RPA zostaną przyjęci w Stanach, w tym samym czasie kolejni milionerzy z Zachodu nabywali wille w Kapsztadzie. ↦

↦ Statystyki pokazują, że to przede wszystkim ubożsi i zarabiający poniżej średniej obywatele RPA najbardziej zaostrzyli swoje postawy w ostatnich latach. Słychać głosy, że RPA stała się krajem nie dla swoich obywateli, lecz dla przyjezdnych: ubogich i bogatych (tych ostatnich znakomicie chroni policja i tysiące firm ochroniarskich).

OD APARTHEIDU... | Tylko kto w tym kraju jest tak naprawdę u siebie? Bo niewiele państw ma bardziej skomplikowaną strukturę – i historię – migracji niż Południowa Afryka.

„Sklejona" z szeregu wieloetnicznych regionów i zróżnicowanej kolonizacji europejskiej, która wspomagała się niewolnikami ściąganymi z całej Azji, dziś RPA jest domem dla milionów ludzi, którzy korzeni mogą szukać wszędzie. Gdzie indziej potomkowie hugenotów – francuskich ewangelików, którzy musieli uciekać z ojczyzny – żyją od tak dawna jak Indusi? Koloredzi to z kolei potomkowie niewolników sprowadzanych do pracy z całego świata, Afrykanerzy mają swój Wielki Trek (migrację wewnętrzną z pierwszej połowy XIX w., pod presją brytyjską) i republiki, które założyli, uciekając przed Anglikami. Miliony obywateli z ludu Xhosa kilka razy w roku pokonują setki kilometrów, by odwiedzić krewnych we wsiach, w których sami pewnego dnia planują spędzić emeryturę.

Odkąd istnieje Południowa Afryka, migracja była jej częścią. Także po tym, jak w 1931 r. ogłoszono jej niepodległość od Wielkiej Brytanii. Przez kolejne dekady władze kraju, w którym panował apartheid – system dyskryminacji kolorowych – ściągały białych z całego świata, ale też pracowników do kopalń z krajów Afryki. Jednocześnie prowadząc ostrą politykę ochrony granic i wyrzucając niechcianych oraz tych, którzy przestawali być potrzebni.

...DO NIENAWIŚCI | Gdy na początku lat 90. XX w. zlikwidowano apartheid, RPA zachowała większość starych przepisów o migracji. Modyfikacje miały uwzględniać prawa człowieka, ale i tego szybko zaniechano. Wraz z kryzysami politycznymi końcówki pierwszej dekady wieku XXI, postawy wobec migrantów się zaostrzyły. Tak w ustawach, jak na ulicach.

Władze RPA miotają się między ochroną praworządności a rosnącą falą niechęci do imigrantów, która przechwyciła już **główny nurt w społeczeństwie.**

W okolicach pandemii powstały nieformalne grupy, które głosiły postulat wyrzucenia „nielegalnych". Choć ich nienawiść uderzała we wszystkich afrykańskich obcych, także tych przebywających tu legalnie. Przemoc wobec najbiedniejszych nieobywateli stała się powszechna. Think tank Uniwersytetu w Stellenbosch podejrzewał, że jej przesłanie wspierają rosyjskie konta w sieci.

Afrykański Kongres Narodowy, partia rządząca, starał się – i dalej się stara – z tymi emocjami walczyć. Ale ma na to coraz mniej przestrzeni. W koalicji rządowej po 2024 r. ministrem sportu został Gayton McKenzie – kaznodzieja, biznesmen i były więzień. McKenzie próbował wyrzucić ze swojego resortu wszystkich pracowników, którzy nie urodzili się w RPA (decyzję zablokował sąd konstytucyjny).

Z kolei Leon Schreiber, minister spraw wewnętrznych pochodzący z liberalnej ekonomicznie głównej partii koalicyjnej, regularnie chwali się deportacjami. Deportował blisko 110 tys. ludzi przez ostatnie dwa lata.

SOUTH AFRICA FIRST | W efekcie władze w RPA miotają się pomiędzy ochroną praworządności w kraju oraz jego wizerunku na arenie międzynarodowej a rosnącą falą niechęci, która przechwyciła już główny nurt w społeczeństwie.

Wszystko to wybrzmiało w niedawnej czerwcowej odezwie prezydenta do narodu. Była to odezwa ważna, bo w tle kryje się coś więcej niż spór o migrację: państwo traci jedną z najważniejszych prerogatyw – zdolność egzekwowania prawa.

Gdy samozwańcze grupy legitymują i przepytują ludzi na ulicy, atakują ich biznesy i stawiają ultimata, *de facto* pogłębiają proces, o który oskarżają migrantów: erozję zaufania i bezsilność państwa.

Nawet ujęta w hasła mające brzmieć pozytywnie – jak *South Africa First* – ksenofobia wciąż niesie to samo przesłanie: migranci zabierają pracę i są niebezpieczni. A jeśli sami czują się zagrożeni, to powinni wyjechać. Koło się zamyka.

POLITYCZNY MŁOT | Dziennikarka panafrykańskiego pisma „The Continent" zebrała niedawno badania, z których wynika, że największe fale antymigracyjnego pobudzenia miały miejsce w okresie ostrych walk wewnątrz Afrykańskiego Kongresu Narodowego. Gdy w partii było spokojnie, również na ulicach mniej grzmiano oburzeniem na obcych. To tylko korelacja. Ale pozostaje podejrzenie, że politycy Kongresu mogli wykorzystywać mobilizację antymigracyjną do walk w partii. W szczytowym okresie blisko 2,5 proc. mieszkańców RPA było opłacającymi składki członkami AKN. Lata skandali ujawniły powiązania polityków z kartelami taksówkowymi i organizacjami przestępczymi. Podmiotami, które potrafiły wyprowadzać miliony Południowoafrykańczyków na ulice i sterować emocjami.

Dopisuje to wcześniejszy rozdział do tego, co wydarza się dziś. Gdy polityka krajowa przestała być wewnętrzną sprawą jednej partii, rola migracji jako wielkiego politycznego młotka, po który może sięgnąć każdy, wzrosła. Młotek ten zaczął ważyć więcej.

ROCZNY ZAKAZ | Moja wizyta w centrum wizowym w Kapsztadzie kończy się porażką. Podobnie rozmowy telefoniczne i maile do pracowników VFS Global. Sprawa ma finał na lotnisku w Johannesburgu. Urzędniczka nie czeka, aż pokażę oficjalne zaproszenie rządu RPA na konferencję w tym kraju – wbija do paszportu pieczątkę. Zakaz wjazdu na rok.

Tego samego dnia piszę odwołanie: uiściłem wszystkie opłaty, zaprosiło mnie ministerstwo, to błąd systemu uniemożliwił mi przedłużenie pobytu. Ale wiele wskazuje na to, że mój roczny „ban" minie, zanim ktokolwiek rozpatrzy odwołanie.

RPA stara się pozować na państwo jednakowo surowe wobec wszystkich. Mimo wszystko, jestem w uprzywilejowanej pozycji – ogłaszając wobec imigrantów swoje ultimatum, Phakamile Ndabandaba nie mówił do mnie.

© TADEUSZ MICHROWSKI

Korupcja w Białym Domu

MARTA ZDZIEBORSKA

USA | Trump, świeżo upieczony 80-latek, zawsze traktował państwo jak skarbonkę. Dziś demokracja w Stanach okazuje się bezradna wobec prezydenta, który całe życie obchodził prawo dla swoich korzyści – i robi to nadal.

Przyzwyczajony do oklasków, tuż przed swoimi urodzinami, które przypadły na niedzielę 14 czerwca, Donald Trump doznał terapii szokowej. Nie dość, że kolejni artyści nie chcą być z nim kojarzeni i rezygnują z udziału w koncertach na 250-lecie powstania USA, to jeszcze został wygwizdany podczas finału NBA w Nowym Jorku.

Trump musi przełknąć także to, że Kongres nie chce dać mu pieniędzy na budowę sali balowej, która miałaby powstać w miejscu zburzonego wschodniego skrzydła Białego Domu. Jeszcze w połowie maja prezydent zabiegał o te fundusze. Oprowadzając reporterów po placu budowy, pokazywał wizualizację sali, inspirowanej architekturą starożytnej Grecji i Rzymu. Obiecywał, że nacieszy ona oko i będzie odporna na zagrożenie ze strony dronów.

„Nie lubię używać słowa »snajperzy«, ale ten budynek powstanie również z myślą o nich. Mówię nie o snajperach wroga, ale o naszych. Ze względu na wysokość konstrukcji, będzie się stąd rozpościerać doskonały widok na cały Waszyngton" – rozprawiał, przekonując, że wszystko będzie najwspanialsze i największe. Podobnie jak kwota, jaką chciał wyprowadzić z budżetu.

Obsesja sali balowej

Mowa o miliardzie dolarów, który prezydent próbował zdobyć w ramach podpisanej właśnie przez niego ustawy finansującej działania służb imigracyjnych.

W tej na pozór niepasującej do siebie parze kaloszy diabeł tkwi w szczególe. Służby imigracyjne podlegają Departamentowi Bezpieczeństwa Wewnętrznego, a jego częścią jest Secret Service – służba odpowiedzialna za ochronę najważniejszych osób w państwie. Według logiki Trumpa łączyło się to z zakupem dodatkowych zabezpieczeń wspierających pracę Secret Service, jak m.in. kuloodporne szyby czy systemy wykrywania dronów oraz zagrożeń chemicznych.

Ostatecznie, ze względów proceduralnych, a także w wyniku oporu ze strony senatorów, także tych z Partii Republikańskiej, propozycję wyrzucono do kosza. To stawia pod znakiem zapytania ambitne plany Trumpa. Podobnie jak trwająca w sądzie federalnym batalia. Rozstrzygnie ona, czy prezydent może ↦

Donald Trump na placu budowy sali balowej przy Białym Domu. Waszyngton, 19 maja 2026 r.



KENT NISHIMURA / AFP / EAST NEWS

KENT NISHIMURA / AFP / EAST NEWS



Projekt banknotu o nominale 250 dolarów z wizerunkiem Donalda Trumpa przygotowywany na 250-lecie powstania USA. Waszyngton, 28 maja 2026 r.

↦ w ogóle kontynuować budowę sali balowej (sprawa jest w apelacji).

Roosevelt zbudował, Trump zburzył

Trump nie daje za wygraną, choć z sondaży wynika, że większość Amerykanów jest przeciwna temu projektowi.

Aby zrealizować swoją *idée fixe*, prezydent kazał wyburzyć wschodnie skrzydło Białego Domu – bez konsultacji z komisją federalną, która nadzoruje projekty dotyczące budynków rządowych. Postawiono je na początku XX w. za prezydentury Theodore'a Roosevelta, a rozbudowano za rządów Franklina D. Roosevelta.

Biały Dom wykorzystał tu lukę prawną. Według przepisów federalnych z 1966 r. nie trzeba bowiem konsultować przeróbek budowlanych dotyczących trzech budynków w Waszyngtonie: Kapitolu, Sądu Najwyższego oraz właśnie Białego Domu. Choć tak mówią przepisy, prezydenci dotąd zgłaszali swoje plany odpowiednim komisjom.

Trump zignorował tę tradycję i w 2025 r. kazał zrównać z ziemią wschodnie skrzydło. Zrobił to, choć chwilę wcześniej obiecywał, że budowa sali balowej nie naruszy architektury Białego Domu.

Obiecywał też, że projekt będzie finansowany tylko z datków od darczyńców (m.in. big techów i firm kryptowalutowych), a koszt budowy wyniesie 200 mln dolarów. Dziś mowa jest o kwocie dwukrotnie wyższej, a pomysłodawca wyciąga rękę po pieniądze podatników.

Ugoda z własnym rządem

Nic nie wzburzyło jednak ostatnio opinii publicznej tak, jak najnowszy pomysł prezydenta, czyli opiewający na niemal 1,8 mld dolarów fundusz rekompensat dla osób, które uważają, że zostały niesłusznie potraktowane przez rząd federalny.

Trudno tego nie odebrać jako zabiegu, który miałby zapewnić sowite wypłaty dla sojuszników Trumpa – ludzi, wobec których toczyły się federalne śledztwa lub którzy zostali skazani np. za udział w szturmie na Kapitol 6 stycznia 2021 r. Ostatecznie, wobec fali krytyki oraz decyzji sądu tymczasowo blokującej fundusz, administracja przynajmniej na razie ogłosiła wycofanie się z projektu.

Kontrowersje budzą także okoliczności utworzenia funduszu, który miał powstać w wyniku ugody Trumpa z urzędem skarbowym. Jednym słowem: prezydent dogadał się z własnym rządem po tym, jak wcześniej pozwał go, żądając 10 mld dolarów odszkodowania za to, że pewien urzędnik skarbówki przekazał mediom jego zeznania podatkowe (urzędnik został zresztą namierzony, trafił przed sąd i został skazany).

Immunitet dla familii

W ramach tej ugody prezydent uzyskał też coś znacznie dla siebie ważniejszego. Mianowicie skarbówka dostała bezterminowy zakaz prowadzenia audytów dotychczasowych zeznań podatkowych Trumpa, członków jego rodziny i jego firmy Trump Organization. Krótko mówiąc: rząd USA chroni swojego szefa i jego rodzinę przed potencjalnymi karami.

Dla Trumpa to ważna rzecz, jako że znany jest on z kombinowania, co pokazały choćby udowodnione w sądzie oszustwa finansowe jego firmy deweloperskiej. Gdy zaś sześć lat temu dziennik „New York Times" prześledził jego zeznania podatkowe (te, które wyciekły do prasy), okazało się, że Trump przez lata raportował fiskusowi wyższe straty niż zyski – po to, by uniknąć federalnego podatku dochodowego lub płacić tylko symboliczne kwoty.

Trump miał uzyskiwać taki efekt dzięki umiejętnemu „rozłożeniu" na kolejne lata dużych strat poniesionych w gorszych czasach – wykorzystując tu lukę w prawie podatkowym.

Dwa lata temu jeden z synów Trumpa, Eric, przyznał w rozmowie z „New York Timesem", że skarbówka wciąż prowadzi wobec jego ojca audyt. Jeśli dotąd nie został on zakończony, to za ogrywanie fiskusa – konkretnie: za dwukrotne odliczenie tych samych strat – prezydentowi mogła grozić kara co najmniej 100 mln dolarów.

Prezydent na giełdzie

Ugoda ze skarbówką to najbardziej jaskrawy przykład tego, jak Trump robi ze Stanów własną skarbonkę. Ale dalece nie jedyny: prezydent nie ma skrupułów, aby zarabiać na akcjach firm, których kondycja finansowa zależy bezpośrednio od polityki Białego Domu.

Jak wynika z oświadczenia Trumpa, upublicznionego w połowie maja, tylko w pierwszym kwartale 2026 r. przeprowadził on ponad 3,7 tys. transakcji giełdowych o wartości szacowanej między 220 a 750 mln dolarów. Inwestował m.in. w banki oraz spółki z branży big tech, w tym Nvidię – firmę produkującą chipy.

Trump kupił akcje tej firmy niedługo przed tym, jak jego rząd wydał zgodę na eksport zaawansowanych chipów AI do Chin, co wywindowało notowania giełdowe Nvidii. Innym razem w imieniu Trumpa kupowano akcje firm z branży energetycznej – dokładnie w dniu, w którym odszedł on od gróźb ataku na irańskie elektrownie i ogłosił przedłużenie rozejmu z Teheranem.

Firma Trump Organization twierdzi, że wszystkie decyzje inwestycyjne podejmują niezależne instytucje finansowe i że ani prezydent, ani jego rodzina, ani kierownictwo firmy nie mają nad tym kontroli.

Co komu przystoi

Bez względu na to, gdzie leży prawda, Donald Trump po raz kolejny łamie przyjętą tradycję w amerykańskiej polityce. Choć prawo nie zakazuje prezydentom obracania akcjami, to zazwyczaj na czas rządów przekazywali oni swoje aktywa niezależnemu funduszowi powierniczemu, tak aby nie być posądzonym o konflikt interesów.

Co do zasady, głowę państwa obowiązują mniejsze obostrzenia niż pracowników rządowych. Trump może więc przyjąć od prezesa firmy Apple szklany dysk na podstawie pokrytej 24-karatowym złotem, ale urzędnik z jego administracji – już nie. Prawo zakazuje urzędnikom przyjmowania prezentów od firm, których działalność zależy od polityki ich departamentu.

Dlaczego tak jest? W Stanach od lat trwa dyskusja, czy Kongres ma konstytucyjne prawo, by objąć prezydenta tymi samymi restrykcjami, co resztę egzekutywy. Niektórzy argumentują, że taki ruch mógłby utrudnić mu sprawowanie władzy. Prezydent, podobnie jak inni pracownicy rządowi, musiałby unikać angażowania się w sprawy, które mogą mu przynieść jakiekolwiek korzyści finansowe

Teraz, na fali wątpliwych etycznie posunięć Trumpa, odżywają głosy, aby prezydentów i wiceprezydentów objąć tymi samymi obostrzeniami. Od lat wraca też projekt, aby prezydentowi i kongresmenom zakazać obracania akcjami na giełdzie.

Kryptozłoto

Matt Lewis, który w książce „Filthy Rich Politicians" opisał korupcję wśród polityków w USA, od prawa do lewa, twierdzi, że w zestawieniu z Trumpem poczynania innych to jak „kradzież długopisów". „Nikt, kogo krytykowałem (...), nie dorównuje nawet w najmniejszym stopniu tej maszynie do zarabiania pieniędzy na skalę przemysłową, jaką jest druga kadencja Trumpa" – pisze Lewis w serwisie The Hill.

Według analizy „Forbesa" z marca, majątek Trumpa w ciągu roku od objęcia urzędu urósł o 1,4 mld dolarów (i wynosi dziś 6,5 mld). Wzrost ten Trump zawdzięcza głównie kryptowalutom. „Wall Street Journal" wylicza, że firma World Liberty Financial (WLF), utworzona na finiszu kampanii w 2024 r., w ciągu 16 miesięcy przysporzyła tyle samo gotówki, co imperium deweloperskie Trumpa przez osiem lat (mowa o okresie 2010-17).

Kryptowalutowy biznes kręci się, bo tokeny, które sprzedaje World Liberty Financial, bywają traktowane jak „danina" przez tych, którzy chcą uzyskać coś od rządu. Według „New York Timesa" tokeny kupili np. inwestorzy z Izraela i Hongkongu oraz Justin Sun, chiński przedsiębiorca kryptowalutowy, oskarżony w USA o manipulacje na giełdzie.

Uwadze mediów nie umknęła też sekwencja zdarzeń wokół przejęcia 49 proc. udziałów w WLF. Najpierw emiracki szejk Tahnoon bin Zayed Al Nahyan kupił je za pół miliarda dolarów, a kilka miesięcy później rząd USA zezwolił na sprzedaż zaawansowanych chipów AI do Zjednoczonych Emiratów Arabskich.

Ziarnko do ziarnka

Trump zarabia na władzy także dzięki projektom deweloperskim za granicą. Prowadzona przez jego synów Trump Organization korzysta na tym, że inwestorzy lgną do marki Trump, a rządy różnych krajów nie chcą robić problemu z wydaniem zgód na budowę, aby nie zadrzeć z Białym Domem.

Maszynką do robienia pieniędzy są także rzeczy na pozór drobniejsze – jak wysokie opłaty członkowskie w klubie Mar-a-Lago i klubach golfowych, które mają pomóc lobbystom i szefom korporacji w zdobyciu przychylności prezydenta.

Zastrzykiem gotówki dla niego stały się też ugody sądowe. Pozywając stacje telewizyjne i platformy społecznościowe (te drugie, bo blokowały jego konta w social mediach po szturmie na Kapitol), Trump uzyskał w 2025 r. co najmniej 90 mln dolarów.

W przeddzień jubileuszu

No i są jeszcze hojne prezenty od zagranicznych rządów (odrzutowiec od Kataru, złoty zegar od Szwajcarów). Oraz projekty, które Trump wymyśla, by karmić swoje ego, jak budowa łuku triumfalnego w Waszyngtonie, propozycja wydrukowania banknotów 250-dolarowych z własnym wizerunkiem, a teraz huczne 80. urodziny, które miały pochłonąć 60 mln dolarów.

W przeddzień 250-lecia powstania USA, który przypada 4 lipca, Trump wykazuje co i rusz, że amerykańska demokracja okazuje się nieprzygotowana na prezydenta, który całe życie wykorzystywał luki prawne, czyniąc z tego *modus operandi*.

Wygląda na to, że prawo w USA wymaga gruntownej reformy. Bez tego Trump będzie mógł dalej działać, a teoretycznie patrzący mu na ręce kongresmeni – będą mogli bogacić się na giełdzie.

© MARTA ZDZIEBORSKA

Tekst ukończono 11 czerwca

Autorka jest dziennikarką „Press". Stale współpracuje z „TP".

REKLAMA



Ponury, smutny, zły.
Czy tacy naprawdę jesteśmy?

znak TYGODNIK POWSZECHNY

ZUZANNA

Radzik: *Gdy Kościół myśli „poród”*



W sobotę na lekko: książka, telefon, butelka z wodą. Samotne godziny w pociągach z lekturą, przerywaną patrzeniem przez okno. Płynna przesiadka, choć oko dyskretnie odnotowuje, że Czechowice-Dziedzice są dobrze przygotowane na podróż z wózkiem. Matka na gigancie, ale ta wiedza o windach na stacji może się kiedyś okazać drogocenna. Tymczasem kierunek: festiwal literacki w Wiśle. Cel: posłuchać, dorzucić swoje teologiczne trzy grosze w panelu. Albo dorzucić cudze centy, bo tak wyszło, że ciągle cytowałam nową książkę Tiny Beattie, która próbuje osadzić teologię w doświadczeniu rodzącej kobiety. Matka na gigancie, ale i tak gada o matkach.

W niedzielę już w swoim zwykłym wcieleniu. Już nie na lekko, oj nie. Książka i gazeta głęboko w bagażu, wiadomo, że się nie przydadzą. Za to wózkowy tobół, ten niby na pieluchy, wypchany wszystkim: przekąskami, awaryjnym sweterkiem, książkami, klockami, lekami przeciwbólowymi, gdyby rosnące zęby dały o sobie znać. Tobół niedopięty, ciężki i nieforemny. Do tego wspólny bagaż w plecaku, wózek, i z dzieckiem na ręku wsiadamy do wciąż najbardziej luksusowego polskiego pociągu.

„Tu nie ma miejsca na bagaż” – to pierwsze słowa, które słyszę. Tylko że ręce mam zajęte. Fakt, trzy salonikowe przedziały zbudowane wyraźnie dla ludzi biznesu, oddano dzieciom do lat sześciu. Nie ma w nich niemal żadnej przestrzeni na bagaże, jest za to wieszak na marynarkę i wąska przestrzeń, w której upycham tobół. Miejsca nie ma jednak i w korytarzu na półkach na bagaże, bo połowę zajmuje kolejowa restauracja swoimi skrzynkami, by stąd wygodnie obsłużyć wagon pierwszej klasy.

To nie jest tak, że szukam zaczepki. Nie ma, to nie ma. Bagaż mam nieduży, wrzucam, gdzie się wciśnie. Wózek mały, na cudzą walizkę. Nie będziemy robić scen. Chwilę później przybywa mi jednak sąsiadka z dwulatką i większym wózkiem. Ten nigdzie się już nie mieści, przegoniona spod półki z bagażami stawia go gdzie indziej. Chwilę później pojawia się kelner z pretensją, że stoi na zakręcie jego serwisowego wózka, że trzeba zanieść do innego wagonu, że inni sobie radzą, że jego kobieta umie w tym pociągu sobie poradzić sama z dzieckiem. No tak, nie szukałam zaczepki, zaczepka znajduje mnie. „Pani nigdzie nie będzie chodzić, po żadnych innych wagonach” – stawiam się w imieniu sąsiadki. Tak zawsze łatwiej niż we własnym.

Wszystko kończy się negocjacjami z kierownikiem pociągu, jakimś kompromisem i zgodą, że panowie zajmą się relokacją naszych wózków. Jest jednak wspólny mianownik między moim poprzednim dniem, gdy relacjonowałam, jak teologia nie radzi sobie z narodzinami, a dniem, w którym odkrywam, że kolej nie radzi sobie z faktem, że dzieci do lat sześciu podróżują z wózkami. Wspólnym mianownikiem jest niestety to, że świat nie jest gotowy na matki i dzieci, choć i teologicznie, i demograficznie je do istnienia zachęca. W każdym razie nie na ten rodzaj nowej matki – może w moim przypadku po prostu starszej wiekiem – która oczekuje nieco szacunku, komfortu i godności.

Zostawmy kolej, wróćmy na chwilę do teologii, bo to akurat bardzo ciekawa sprawa. W dość charakterystyczny dla siebie sposób, Kościół katolicki ma więcej ideologii macierzyństwa niż teologii macierzyństwa. Jeśli chodzi o ciążę, najczęściej interesuje go ona ze względu na aborcję, albo na Matkę Bożą. Niewiele pomiędzy. Jeśli chodzi o matki, to myśli o nich w sposób wyidealizowany, raczej nie z perspektywy matek prawdziwych, ale ich synów, którzy stali się księżmi i teologami. Zatem gdy Kościół mówi o sobie, że jest jak matka (słynne od starożytności *Mater Ecclesiae*), mówi z perspektywy dziecka, nie osoby, która matką jest. Czyli nie jak matka, która cieszy się, że jednak dziecko dziś poszło z sukcesem do żłobka i trochę się emancypuje. Nie jak matka, która chce być też kimś jeszcze.

Gdy zaś Kościół myśli: poród, to... jak pokazuje w „A theology of becoming” wspomniana brytyjska teolożka Tina Beattie, wtedy Kościół nic nie myśli. To znaczy nie ma na to teologii i nie ma wiele metodologii, jak sobie z faktem rodzenia poradzić. Rodzenie nie tylko teologia, ale także filozofia uważały za naturalne jak wschody słońca, niewymagające namysłu. Nawet filozofki i teolożki feministyczne z początku wolały nie zajmować się czymś tak biologicznym i fizjologicznym, pewnie dlatego, że przez całą historię kobieta widziana była właśnie jako ciało, zatrzaśnięte w swojej biologii i konieczności reprodukcji. Dopiero teraz teolożki zaczynają mówić: Hej, słuchajcie, tu się dzieje coś dzikiego, pięknego i ważnego! Jesteśmy religią Wcielenia, Boga, który rodzi się człowiekiem, może powinno nas to obchodzić? Może to ważne miejsce, z którego można myśleć o Bogu? ©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościoła kobiet”.

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY „TP” 25/2026



POLSKA I NIEMCY: 35 LAT PÓŹNIEJ

Inwestycja w przyszłość

BASIL KERSKI

Polsko-niemiecki traktat z czerwca 1991 r. nie jest dokumentem wyłącznie historycznym. Przypomina nam dziś, że polityka może być sztuką budowania zaufania, a nie jedynie zarządzania konfliktami.

Są w historii dokumenty, które porządkują relacje między państwami, oraz takie, które wyznaczają początek nowej epoki. Podpisany 17 czerwca 1991 r. w Bonn przez kanclerza Helmuta Kohla i premiera Jana Krzysztofa Bieleckiego Traktat o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy należy do tej drugiej kategorii.

Nie był on jedynie aktem dyplomatycznym, regulującym stosunki dwóch sąsiadów po rewolucyjnych przemianach roku '89. Polsko-niemiecki traktat stał się fundamentem nowego myślenia o relacjach obu państw oraz o politycznej przyszłości postkomunistycznej Europy. Porozumienie z 1991 r. jest także jednym z najważniejszych świadectw pojednania między narodami w historii naszego kontynentu.

Rok 1991: groźny czas

Podpisując ten traktat, zjednoczone Niemcy zadeklarowały wsparcie dla wyjścia Polski z obszaru wpływów imperium sowieckiego. Rząd Kohla obiecał wesprzeć ją w drodze do sojuszy państw Zachodu.

Ta nowa „polsko-niemiecka wspólnota wartości i interesów" – jak tę współpracę czasu przełomu nazwał ówczesny szef polskiej dyplomacji Krzysztof Skubiszewski – powstawała w wyjątkowym momencie. Po upadku komunizmu Polska przechodziła proces demokratyzacji i wprowadzała gospodarkę wolnorynkową, a zjednoczone w 1990 r. Niemcy łączyły dwa odmienne systemy polityczne i ekonomiczne. Polskę czekała jeszcze długa i uciążliwa droga – do struktur NATO i Unii Europejskiej, która wówczas funkcjonowała jeszcze jako Europejska Wspólnota Gospodarcza (EWG).

Dla Polski był to też czas niebezpieczny. Młoda demokracja, dziecko rewolucji Solidarności, znajdowała się w nieskonsolidowanej politycznie przestrzeni między Zachodem a istniejącym jeszcze Związkiem Sowieckim. Gdy podpisywano traktat, w Polsce i Niemczech nadal stacjonowały wojska sowieckie, a w Moskwie wielu przedstawicieli partii komunistycznej, KGB i wojska marzyło, aby falę demokracji zatrzymać przemocą – tak jak w czerwcu 1989 r. uczynili w Pekinie chińscy towarzysze.

Zanim nastał traktat

35 lat temu traktat polsko-niemiecki był wyrazem politycznej wizji i odwagi. Jednak jego znaczenia nie da się zrozumieć bez przypomnienia wcześniejszych polsko-niemieckich inicjatyw dialogu i pojednania.

Traktat nie pojawił się nagle. Stanowił zwieńczenie długiego procesu budowania zaufania przez odważnych Polaków i Niemców przed 1989 r., katolików i protestantów, antykomunistycznych opozycjonistów, intelektualistów i artystów, Solidarności i zachodnioniemieckich związkowców, polską emigrację i polityków z Niemiec Zachodnich.

W tym procesie szczególne miejsce zajmuje list biskupów polskich do biskupów niemieckich z 1965 r. ze słowami „udzielamy wybaczenia i prosimy o nie". Odważna inicjatywa Kościoła, którą szef PZPR Władysław Gomułka wykorzystał do nagonki przeciw biskupom, znalazła wsparcie w środowiskach „Tygodnika Powszechnego", „Znaku" i „Więzi". Także krytyczny zazwyczaj wobec Kościoła zespół paryskiej „Kultury" z entuzjazmem poparł list biskupów („Kultura" już krótko po 1945 r. stała się pierwszym forum dialogu polsko-niemieckiego).

Przed 1989 r. ważną rolę w zbliżeniu obu narodów odegrały też środowiska opozycji antykomunistycznej, które zakwestionowały antyniemieckie stereotypy w polskim myśleniu politycznym i dostrzegły w Republice Federalnej potencjalnego sojusznika dla przyszłej demokratycznej Polski.

Podstawy partnerstwa

Traktat z 1991 r. był więc politycznym potwierdzeniem zmiany, która dokonywała się wcześniej w świadomości społecznej. Można odczytać ten dokument także jako świadectwo woli powrotu Polski, porwanej przez Sowietów, do rodzinnej Europy.

Traktat stworzył trwałe podstawy partnerstwa między dwoma narodami, których relacje przez większą część wieku XX były naznaczone wojną, okupacją, przemocą i nieufnością. Po raz pierwszy Polska i Niemcy mogły budować swoje stosunki jako demokratyczni partnerzy, a nie przeciwnicy lub państwa funkcjonujące w różnych strefach politycznych.

Jednocześnie traktat ten wykraczał poza tradycyjną dyplomację. Jego autorzy rozumieli, że pojednanie nie może ograniczać się do kontaktów między rządami. Dlatego przewidywał on rozwój współpracy samorządów, instytucji kultury, uczelni, organizacji społecznych i środowisk młodzieżowych. Symbolem tej filozofii stała się Polsko-Niemiecka Współpraca Młodzieży (PNWM), dzięki której miliony młodych ludzi mogły poznać swoich sąsiadów. Osobiste doświadczenie spotkania miało przełamać stereotypy, budować więzi.

Wizja nowej Europy

Była to inwestycja w przyszłość. Autorzy traktatu wiedzieli, że prawdziwe pojednanie nie dokonuje się podczas uroczystych ceremonii, ale w codziennych kontaktach między ludźmi. Że zaufanie między narodami buduje się przez lata, przez rozmowy, edukację, współpracę. W tym sensie traktat był nie tylko dokumentem politycznym, ale także projektem społecznym.



MICHAEL JUNG / DPA / PAP

35 lat temu Niemcy zadeklarowały wsparcie dla Polski w jej drodze do struktur Zachodu. Na zdjęciu: premier Jan Krzysztof Bielecki i kanclerz Helmut Kohl po podpisaniu traktatu. Bonn, 17 czerwca 1991 r.

Nie można również pominąć jego znaczenia dla integracji europejskiej. Niemcy stały się jednym z najważniejszych partnerów wspierających polskie aspiracje do członkostwa w zachodnich strukturach politycznych i gospodarczych. Traktat z 1991 r. stworzył fundament strategicznego partnerstwa, które pomogło Polsce odnaleźć swoje miejsce w sojuszu państw demokratycznych.

Jednak najważniejszym jego przesłaniem było coś więcej niż współpraca dwustronna. Traktat wyrażał wizję Europy opartej na dialogu, odpowiedzialności i zdolności do przezwyciężania historycznych konfliktów. Relacje polsko-niemieckie stały się jednym z najważniejszych przykładów tego, że nawet najtrudniejsza przeszłość nie musi przesądzać o przyszłości.

Pomimo różnic

Czy przesłanie traktatu jest dziś nadal aktualne? Myślę, że tak. Główne jego idee mogą służyć europejskim demokratom także i dzisiaj – jako kierunkowskaz.

Europa doświadcza obecnie wstrząsów geopolitycznych, wojny prowadzonej przez Rosję przeciw Ukrainie, wzrostu populizmu i pogłębiających się napięć społecznych. W takich warunkach łatwo powracają uproszczenia, stereotypy i narodowe resentymenty. Również w relacjach polsko-niemieckich nie brakowało w ostatnich latach kryzysów. Dyskusje dotyczące polityki energetycznej, migracyjnej, przyszłości Unii Europejskiej czy kwestii historycznych wielokrotnie prowadziły do napięć w relacjach politycznych.

Jednak właśnie w tej trudnej polsko-niemieckiej codzienności ujawnia się znaczenie traktatu. Nie miał on stworzyć relacji wolnej od konfliktów. Jego celem było zbudowanie trwałych mechanizmów współpracy, które pozwalają rozwiązywać spory bez podważania fundamentów sojuszu.

To jedna z najważniejszych lekcji płynących z doświadczenia polsko-niemieckiego. Dobre sąsiedztwo nie oznacza braku różnic. Oznacza zdolność do prowadzenia dialogu pomimo różnic. Demokracja opiera się nie na jednomyślności, lecz na umiejętności pokojowego rozwiązywania konfliktów. Podobnie jest z relacjami między państwami.

Historia to nie wyrok

Szczególnie ważne pozostaje także pytanie o pamięć historyczną. Traktat z 1991 r. przypomina, że pamięć nie musi prowadzić do konfliktu. Może stać się źródłem solidarności i wspólnej odpowiedzialności. Nie proponuje zapomnienia o historii, lecz jej twórcze przepracowanie. Pokazuje, że świadomość tragicznej przeszłości może być fundamentem współpracy, a nie wyłącznie źródłem wzajemnych oskarżeń.

Wojna w Ukrainie nadała temu przesłaniu nowy wymiar. Polska i Niemcy, mimo różnych doświadczeń historycznych i odmiennych perspektyw politycznych, razem odpowiadają dziś za bezpieczeństwo Europy. Odkrywają na nowo znaczenie solidarności, współpracy i wspólnej obrony wartości demokratycznych.

W tym kontekście traktat z 1991 r. przestaje być jedynie dokumentem dwustronnym – staje się częścią szerszej odpowiedzi na pytanie o przyszłość europejskiej wspólnoty. A jego wartością jest również przekonanie, że historia nie jest wyrokiem. Kiedyś, w czasach, gdy nasz kontynent dzieliła żelazna kurtyna, wielu Europejczyków mogło uważać polsko-niemiecką wspólnotę wartości i interesów za nierealne marzenie. Doświadczenia XX w. dostarczały wielu argumentów za sceptycyzmem.

A jednak udało się – po zwycięstwie antykomunistycznych rewolucji – stworzyć jeden z najbardziej udanych procesów pojednania w Europie.

Dla przyszłości

Polsko-niemiecki traktat z 1991 r. nie jest więc dokumentem wyłącznie historycznym. Przypomina nam dziś, że polityka może być sztuką budowania zaufania, a nie jedynie zarządzania konfliktami.

W obecnym świecie, gdy coraz więcej politycznej dezorientacji, warto pamiętać także o tym przesłaniu. Bo dialog, odpowiedzialność i solidarność pozostają warunkami nie tylko dobrego, pokojowego sąsiedztwa między Polakami a Niemcami, lecz także przyszłości całej Europy. ©

BASIL KERSKI jest od stycznia 2026 r. prezydentem Domu Historii Nadrenii Północnej-Westfalii w Düsseldorfie, wcześniej był dyrektorem Europejskiego Centrum Solidarności w Gdańsku.



GREGOR FISCHER / DPA / PAP

W punkcie zero

PIOTR BURAS

Współpraca Polski i Niemiec to warunek rozwiązania dylematów Europy. W tym budowy europejskiej obrony wobec niepewności co do polityki Trumpa. Czy jest to jednak możliwe?

Najpierw dwa głośne wydarzenia z ostatnich tygodni. Pierwsze: 3 czerwca, głosowanie w Zgromadzeniu Ogólnym Narodów Zjednoczonych. Na agendzie wybór dwóch niestałych członków Rady Bezpieczeństwa, najważniejszego gremium ONZ. Wśród kandydatów Austria, Portugalia i Niemcy. Wynik głosowania: Niemcy odpadają. W Berlinie konsternacja. Prasa pisze o kompromitacji i karze za arogancję – oto dwa europejskie „średniaki" utarły nosa krajowi, który uchodzi za hegemona Starego Kontynentu.

Druga historia: 29 maja, w odpowiedzi na decyzję prezydenta Zełenskiego o nadaniu ukraińskiej brygadzie imienia „Bohaterów UPA" Karol Nawrocki grozi odebraniem mu Orderu Orła Białego, a w Polsce wybucha polityczna burza. Powracają argumenty, że Ukraina z Banderą do Unii nie wejdzie. Premier Tusk podkreśla, że w obronie pamięci polskich ofiar nie damy się podzielić. Decyzja Zełenskiego jest celowo wymierzona w Polskę, piszą komentatorzy.

Te dwa wydarzenia tylko z pozoru nie mają ze sobą wiele wspólnego. Dotyczą różnych spraw, budzą różne emocje. Ale ich wspólnym mianownikiem jest to, że mogą ilustrować problem, który dziś – w 35. rocznicę historycznego traktatu między Polską a Niemcami – kładzie się cieniem na relacji obu tych krajów.

Na zdjęciu:
Olga, uciekinierka z Ukrainy, czeka wraz z innymi uchodźcami przed Urzędem ds. Migracji w Hamburgu. Marzec 2022 r.

Reset utknął

Tamten traktat już w pierwszym artykule podkreślał „świadomość odpowiedzialności europejskiej" jako najważniejsze wspólne zobowiązanie obu krajów. Wtedy jej wyrazem było dążenie do włączenia Polski do struktur europejskich, a Niemcy wsparły ten cel.

Jednak po akcesji Polski do NATO (1999 r.) i Unii (2004 r.) ambicje uczynienia z partnerstwa polsko-niemieckiego nowego koła zamachowego integracji, zgodnie z duchem traktatu i deklaracjami polityków, nie zostały zrealizowane. Nigdy nie było po temu sprzyjających warunków. Przeszkadzały spór o wypędzonych, asymetria sił, budowa gazociągu Nord Stream, głębokie różnice w podejściu wobec Rosji, antyniemieckość PiS-u.

Wyjątkowo korzystna, mogłoby się wydawać, konstelacja pojawiła się dopiero w końcu roku 2023. Niemcy stały już pod znakiem *Zeitenwende* – głębokiej reorientacji w polityce bezpieczeństwa i wobec Rosji, spowodowanej jej inwazją na Ukrainę. Zaczęły inwestować na potęgę w wojsko i odcięły się od Putina. W Polsce zaś po ośmiu latach znów do władzy doszedł Donald Tusk, deklarujący „powrót do Europy".

Ale polsko-niemiecki reset utknął w pół drogi. Przyczyn tego można doszukiwać się w nierozwiązanych sporach o odszkodowania, reparacje i pomniki, w polskiej nadwrażliwości i niemieckim poczuciu wyższości. Jednak meandry polsko-niemieckiego sąsiedztwa trudno zrozumieć, nie uwzględniając także ich szerszego kontekstu. Jego wyrazem są wspomniane wcześniej dwa wydarzenia.

Muskuły i kulisy

Symbolizują one bowiem kryzys polityki zagranicznej, który dotyka oba kraje – choć tu i tam skrywany jest nadmiarowym wypinaniem piersi i okresowym prężeniem muskułów.

Wprawdzie jest faktem, że Berlin zapowiada budowę największej armii w Europie, kanclerz Merz deklaruje gotowość do przywództwa europejskiego, Niemcy zaś z marudera stały się głównym sojusznikiem wspierającym Ukrainę w jej wojnie obronnej z Rosją. A Polska? Czyż nie wchodzi do G-20, grona największych gospodarek świata, i nie spodziewa się – jako najlepszy sojusznik USA – dodatkowych żołnierzy, może nawet ich stałej bazy? Czy jej wysiłki zbrojeniowe nie budzą uznania na świecie?

Jednak za kulisami tych sukcesów i ambicji kryją się niepewność i dezorientacja – i w Polsce, i w Niemczech. Dotychczasowe pewniki przestały obowiązywać, podczas gdy zręby nowych pomysłów wykuwają się w bólach. Polityka zagraniczna w obu krajach jest w stanie rozedrgania i przypomina stąpanie po lodzie.

Zarówno Niemcy, jak też Polska szukają (muszą szukać) nowego pomysłu na siebie w nowej i groźnej konstelacji geopolitycznej. Od tego, czy w tych poszukiwaniach znajdą formułę pozwalającą im na bliższą współpracę, opartą na zaufaniu, zależy bardzo wiele.

Bo to właśnie współpraca polsko-niemiecka jest dziś warunkiem rozwiązania kluczowych dylematów kontynentu: budowy obrony europejskiej wobec niepewności co do polityki Trumpa, przyszłego porozumienia pokojowego w Ukrainie i rozszerzenia integracji europejskiej na Ukrainę.

Niemieckie „punkty zero"

Niemcy znalazły się na wirażu, bo runęły podwaliny świata, w którym radziły sobie lepiej od innych. „Niemiecki niepokój bierze się w istocie stąd, że nasz pozytywny autowizerunek, który wykształcił się w powojennych dekadach i potwierdzony został po zjednoczeniu, został wystawiony na szereg wstrząsów wynikających ze zmienionej rzeczywistości" – pisze Jörg Lau, znany komentator tygodnika „Die Zeit" i autor wydanej w tym roku książki „Der Westen sind jetzt wir" (pol. To my jesteśmy teraz Zachodem).

Na czym opierał się tamten dawny świat? Otóż po roku 1990 Niemcy były awangardą postnarodowego porządku zglobalizowanego świata. Ich tożsamość polityczna i model gospodarczy idealnie pasowały do reguł wolnego handlu, integracji, pokojowej współpracy i budowania współzależności gwarantujących stabilność i bezpieczeństwo.

Jörg Lau pisze o czterech „punktach zero", w jakich znalazła się niemiecka polityka zagraniczna w ostatnich latach.

Świat postamerykański

Pierwszy dotyczy relacji atlantyckich. USA wycofują się z roli strażnika, który tak dobrze służył Niemcom (i całej Europie). Więcej, pod wodzą Trumpa i jego potencjalnego następcy Vance'a Stany uznają, że filary tego porządku są sprzeczne z ich interesami i są gotowe je burzyć.

Choć w Polsce częste jest przekonanie o silnym antyamerykanizmie Niemców, to emocji tych nie należy mylić z celowym dążeniem do wyparcia USA z Europy lub zrywania więzów atlantyckich. Ameryka odegrała ogromną rolę w ukształtowaniu powojennych Niemiec, ich kultury politycznej i polityki zagranicznej. Dlatego szok spowodowany wizją postamerykańskiej Europy jest w Niemczech niemniejszy niż w Polsce.

Obecny kanclerz Merz już w dniu wygranych przez siebie wyborów zapowiadał, że budowa Europy bardziej niezależnej od Stanów będzie jednym z jego priorytetów. Wielu przyjęło to z zaskoczeniem. Przez całą wcześniejszą dekadę Niemcy – nie inaczej niż Polska – nie chciały słyszeć o (francuskich) pomysłach suwerenności europejskiej. Wolały oddawać się iluzjom, że pierwsza prezydentura Trumpa była tylko wypadkiem przy pracy.

W ten sposób nasi zachodni sąsiedzi znaleźli się w „punkcie zero" i dziś stoją przed pytaniem: co zrobić, aby uratować choćby okruchy porządku opartego na regułach i instytucjach?

Między Putinem a Gazą

Osiągnięcie drugiego „punktu zero" nastąpiło w momencie pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę w lutym 2022 r. W gruzach legła niemiecka *Ostpolitik* i towarzyszące jej przekonanie o szczególnej roli, jaką Niemcy mogą odegrać w modernizacji i westernizacji Rosji, oplatając ją siecią współzależności i współpracy.

Stało się odwrotnie – to Niemcy znalazły się w matni własnych iluzji, skompromitowane w oczach partnerów (w tym Polski) i wystawione na energetyczny szantaż Putina, czemu, owszem, były w stanie stawić czoło, ale ogromnym kosztem.

Jednak jakby tego było mało, niemal w tym samym czasie stało się oczywiste, że tradycyjne podejście niemieckiej polityki zderza się ze ścianą także w innym wymiarze. Ze względu na historyczną odpowiedzialność wobec narodu żydowskiego Niemcy zawsze kierowały się przekonaniem, że „Izrael jest niemiecką racją stanu". Berlin unikał za wszelką cenę sytuacji, w której mógłby znaleźć się po drugiej stronie politycznej barykady niż Izrael.

W trakcie wojny w Gazie to bezwarunkowe poparcie przestało być oczywiste. Stało się moralnym i politycznym obciążeniem. Czy lojalność wobec Izraela miała zamknąć Niemcom usta w obliczu zbrodni, które armia izraelska popełniała na ludności cywilnej Gazy?

Niemcy – deklarujące, że stoją na straży polityki kierującej się wartościami, prawami człowieka i prawem międzynarodowym – nie były w stanie rozwiązać tego dylematu, wikłając się w sprzeczności i narażając na krytykę.

Chiński szok

Wreszcie ostatni „punkt zero", czyli Chiny. Niemcy bardziej niż jakikolwiek inny kraj przeżywają dziś tzw. drugi szok chiński.

Pierwszy, na początku tego tysiąclecia, wiązał się z otwarciem rynku światowego na Państwo Środka oraz z jego błyskawiczną ekspansją, polegającą na staniu się zapleczem produkcyjnym dla gospodarek zachodnich. Wtedy z Niemiec i Europy zaczęły uciekać tanie miejsca pracy, a z Chin masowo napływać tandetne produkty.

Obecny, drugi szok grozi podstawom przemysłu europejskiego: Chiny zalewają rynek efektami swojej suto ↦

↦ subsydiowanej nadprodukcji, i to w najbardziej zaawansowanych technologicznie sektorach, od których zależy dobrobyt i konkurencyjność Europy.

Podczas gdy Unia szuka odpowiedzi na to fundamentalne zagrożenie, Niemcy siedzą okrakiem. Z jednej strony są na celowniku chińskiej strategii, obliczonej na pełną dominację w kluczowych obszarach (np. przemysł samochodowy). Z drugiej, ich rozległe inwestycje w Chinach i zależność niemieckich firm od chińskiego rynku zbytu powodują, że Berlinowi z trudem przychodzi przestawienie się na bardziej konfrontacyjną politykę wobec Pekinu.

Ugłaskiwać czy krytykować?

Przyznać trzeba, że Niemcy robią wiele, by odbić się od swoich „punktów zero". Jednak ich polityka nie zawsze jest konsekwentna, a potrzeba też czasu, by zbudować do niej zaufanie.

Odwrót od Rosji jest autentyczny i głęboki: Berlin odciął się od rosyjskich surowców, pomaga Ukrainie, jak tylko może, był gotów skonfiskować na ten cel aktywa rosyjskiego banku centralnego, a największe firmy wycofały się z Rosji i nie zamierzają tam wracać.

Jednak najsilniejszą (w sondażach) partią jest dziś Alternatywa dla Niemiec, która stawia ten kierunek pod znakiem zapytania, a jej politycy odwiedzają Putina. W sprawie Stanów kanclerz Merz długo nie mógł się zdecydować, czy chce ugłaskiwać Trumpa (np. bagatelizując początkowo atak na Iran), czy też stawiać mu czoło (późniejsza krytyka wojny z Iranem).

Wynik głosowania nad niemiecką kandydaturą do Rady Bezpieczeństwa był w dużej mierze konsekwencją tyleż dystansu do Niemiec w krajach Globalnego Południa (dla nich kwestia Gazy jest kluczowa), co też niepewności co do trwałości i kierunku ich obecnej polityki spod znaku *Zeitenwende*.

Straszak „Czwartej Rzeszy"

Ta niepewność jest widoczna także w polskim nastawieniu do Niemiec. Czy niemiecki zwrot w kwestii Rosji będzie trwały? Czy na Niemcy można stawiać jako na partnera w polityce bezpieczeństwa? A przede wszystkim: jak przeciwstawić się cynicznej antyniemieckości polskiej prawicy, która na te uzasadnione pytania i wątpliwości ma jedną tylko odpowiedź – wymachiwanie straszakiem „Czwartej Rzeszy" i „niemieckiego kolonializmu"?

Niemożność ułożenia konstruktywnej relacji z naszym zachodnim sąsiadem, który – czy tego chcemy, czy nie – będzie nadal odgrywać kluczową rolę w Europie, jest sama w sobie ważnym elementem kryzysu polskiej polityki zagranicznej.

Nie byłaby nią w takim stopniu, gdyby nie fakt, że także relacje z – nie mniej ważną dla nas – Ukrainą są dysfunkcjonalne (patrz spór o jednostkę imienia „Bohaterów UPA"). A to wszystko w kontekście autentycznego zagrożenia ze strony Rosji i redefinicji zaangażowania USA w Europie, które mają dla nas dalekosiężne konsekwencje. I to całkiem niezależnie od tego, ilu żołnierzy amerykańskich ostatecznie się w Polsce znajdzie.

Przede wszystkim zaś polska dyplomacja pozostaje zakładnikiem trawiącego nasz kraj konfliktu politycznego i coraz częściej jest sparaliżowana jego wszechogarniającym cieniem.

Umowa zamiast traktatu

Konsekwencje widać jak na dłoni. W rocznicę traktatu z 1991 r. podpisujemy z Niemcami – naszym najważniejszym sojusznikiem w NATO – tylko umowę między oboma resortami obrony. Umowę ważną (reguluje współpracę wojskową w ramach Sojuszu), ale jednak nieobejmującą wzajemnych gwarancji bezpieczeństwa. Nie ma ona tak doniosłego charakteru, jak zawarty w 2025 r. traktat z Francją czy niedawny traktat z Wielką Brytanią.

Powód? Prezydent Nawrocki odmówiłby zapewne ratyfikacji traktatu z Niemcami, a na awantury z antyniemiecką prawicą nikt nie ma ochoty.

Inny przykład: to Niemcy wyszły z propozycją nowego ułożenia relacji między Ukrainą a Unią Europejską, które byłyby kompromisem między koniecznością jej specjalnego potraktowania (ze względu na jej rolę dla bezpieczeństwa Unii) a ograniczeniami wynikającymi z kryteriów akcesyjnych. Cokolwiek by o tym pomyśle nie sądzić, Polska w tej kwestii milczy – bo temat ukraiński stał się u nas w kraju najwyraźniej zbyt toksyczny, by wystawiać się na ryzyko debaty politycznej na temat niekonwencjonalnych pomysłów.

Po obu stronach

Poobijane kryzysami w polityce zagranicznej i osłabione turbulencjami w polityce wewnętrznej, rządy Polski i Niemiec nie są dziś w stanie stanąć na wysokości zadania, gdy idzie o zapisaną w traktacie z 1991 r. „świadomość europejskiej odpowiedzialności" jako wytyczną do wspólnego działania.

To smutna konstatacja, bo lepszych warunków do pogłębionej współpracy w polityce obronnej, polityce rozszerzenia czy w sprawach bilateralnych trudno się spodziewać.

Jednak tamto wspólne zobowiązanie pozostaje w mocy. Być może jego realizacja wymagałaby od polskich i niemieckich decydentów uznania, że także polsko-niemieckie relacje znalazły się w swoistym „punkcie zero". Oraz że konieczna jest – po obu stronach – głęboka rewizja dotychczasowych założeń i oczekiwań.

© PIOTR BURAS

Autor jest dyrektorem think tanku ECFR w Warszawie. W jego dorobku są książki i opracowania o relacjach polsko-niemieckich. Ostatnio wydał raport „Zmiana przez wojnę: Niemcy wobec Rosji po 2022 roku".

WYDAWCA
Fundacja Tygodnika Powszechnego

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 25/2026
REDAKCJA: Wojciech Pięciak, Jacek Stawiski
PROJ. GRAF.: Marek Zalejski | TP TYPOGRAFIA: Agnieszka Cynarska-Taran
FOTOEDYCJA: Katarzyna Bułtowicz, Grażyna Makara
OKŁADKA: Most łączący Polskę i Niemcy, Frankfurt nad Odrą, październik 2021 r. // FOT. JÖRG CARSTENSEN / DPA / PAP

PARTNERZY DODATKU:
TYGODNIK POWSZECHNY
STIFTUNG HAUS DER GESCHICHTE NORDRHEIN-WESTFALEN

DOFINANSOWANIE PROJEKTU
FUNDACJA WSPÓŁPRACY POLSKO-NIEMIECKIEJ STIFTUNG FÜR DEUTSCH-POLNISCHE ZUSAMMENARBEIT

Dodatek ukazuje się z finansowym wsparciem Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej. Herausgegeben mit finanzieller Unterstützung der Stiftung für deutsch-polnische Zusammenarbeit

Za wsparcie projektu dziękujemy Adalbert-Stiftung Krefeld
ADALBERT STIFTUNG



SOEREN STACHE / DPA / PAP

Niemieckie systemy obrony przeciwlotniczej rozmieszczone pod Zamościem dla wsparcia polskich przeciwlotników. Lipiec 2023 r.

Czy niemiecki sojusznik jest wiarygodny?

CARLO MASALA, PROFESOR UNIWERSYTETU BUNDESWEHRY:

Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, będziemy mieć w Niemczech silną armię, która – gdyby doszło do wojny z Rosją – będzie bronić Polski, ramię w ramię z polskimi żołnierzami.

JACEK STAWISKI: Śledzi Pan jako naukowiec i komentator wojnę Putina i politykę obronną w Europie. Czy Polska i Niemcy mogą wypracować wspólne podejście do zagrożenia ze strony Rosji, a także niepewności co do przyszłości NATO?

CARLO MASALA: Relacje polsko-niemieckie w sferze obronności nie są tak złe, jak się je często przedstawia. To jedno. Drugie: uważam, że należy bardziej systematycznie włączać Polskę do tego, co nazwałbym konfiguracją europejskiego przywództwa. Dotąd próby przewodzenia Europie koncentrują się zbyt mocno na relacji Niemcy–Francja, często z udziałem Wielkiej Brytanii. Powinno się włączyć do tego Polskę i Włochy.

Dlaczego?

Po 2022 r. układ sił uległ zmianie. Wcześniej można było argumentować, że cokolwiek dotyczy bezpieczeństwa i obrony, Europa ma trzy potęgi militarne: Wielką Brytanię, Francję i Niemcy. Teraz w sensie politycznym, a także gdy idzie o zdolności obronne, środek ciężkości przesunął się na wschód NATO i Unii. Dlatego opowiadam się za systematycznym włączaniem Polski we wszelkie inicjatywy dotyczące europejskiej obronności.

Czy w Niemczech obecna jest świadomość, że Polska jest w istocie pierwszą linią obrony także dla Niemiec?

Z moich obserwacji wynika, że ci, którzy myślą strategicznie, są tego w pełni świadomi. Jeśli dojdzie do konfliktu z Rosją, kraje bałtyckie i Polska są pierwszą linią obrony. Problem w tym, że w Niemczech dyskurs o Polsce nie jest zdominowany przez myślenie strategiczne. Dlatego nie jestem pewien, jak wielu zwykłych polityków, niespecjalizujących się w tematyce obronności, patrzy w kategoriach geostrategicznych: że jeśli Polska upadnie, będziemy mieć Rosjan na granicy.

Utrzymanie Rosjan na granicy białorusko-polskiej to strategiczny imperatyw także dla Niemiec, a Polska odgrywa tu kluczową rolę.

Pamiętam, że gdy w 1999 r. Polska wchodziła do NATO, ówcześni niemieccy przywódcy, popierając rozszerzenie Sojuszu, argumentowali ↦

↦ **strategicznie: że 70 km na wschód od Berlina nie powinno być żadnej szarej strefy, ani tym bardziej strefy wpływów Rosji. Ale później Niemcy kładły coraz większy nacisk na relacje z Rosją.**

Tak, w połowie lat 90. XX w., zanim NATO zaczęło się rozszerzać, była taka dyskusja, ale potem o niej zapomniano. Polska weszła do NATO i Unii, i w pewnym sensie uznano, że misja jest wykonana. Pojawiło się myślenie: utrzymujmy coraz lepsze stosunki z Rosjanami. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, z czym mamy do czynienia, gdy idzie o Rosję Putina.

A Trójkąt Weimarski, polsko-niemiecko-francuski?

On miał bardziej funkcję symboliczną niż realną, polityczną. Trójkąt Weimarski cierpiał również z tego powodu, że moim zdaniem Francuzi nigdy nie patrzyli na wschód w taki sposób, w jaki patrzyli na ten region Niemcy.

Przed 24 lutego 2022 r. myślenie o Polsce jako linii obrony NATO i Europy zostało więc w dużej mierze zapomniane. Teraz na linii Europa–Rosja mamy stan ciągłego kryzysu i wojny hybrydowej. Czy Niemcy są gotowe wypełnić wszelkie zobowiązania sojusznicze? Będą bronić wschodniej flanki i Polski?

Rozróżniłbym rząd Niemiec od części społeczeństwa Niemiec. Nie mam wątpliwości, że rząd dotrzyma swoich zobowiązań. Także dlatego, że gdyby nie dotrzymał, miałoby to ogromne skutki również dla bezpieczeństwa Niemiec. Nie mogę jednak pominąć faktu, że mamy w Niemczech, nazwijmy to tak, bardzo głośną mniejszość, co do której wątpię, czy ona poparłaby taką decyzję rządu. Oceniam ją na około 25 proc. Niemców. Jest taki podział, temu nie da się zaprzeczyć. Ale gdy idzie o zachowanie rządu, nie mam żadnych wątpliwości.

Klasycy powtarzają, że to słabość prowokuje agresję, a nie siła. Podczas zimnej wojny Niemcy Zachodnie miały silną armię, potem ją mocno redukowano. Dziś Niemcy znów się zbroją. Co to oznacza dla Polski?

Że jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, będziemy mieć w Niemczech silną armię konwencjonalną, która – gdyby doszło do wojny z Rosją – będzie bronić Polski, walcząc ramię w ramię z polskimi żołnierzami. To jedno.

Druga rzecz: otwiera się wiele możliwości współpracy wojskowej między Polską a Niemcami. Spójrzmy na Szczecin, gdzie już ściśle współpracujemy. Poszedłbym dalej i spróbowałbym ustalić z polskim MON-em, gdzie jest wartość dodana jeszcze bliższej współpracy między polskim i niemieckim lotnictwem, marynarką, armią lądową. Gdzie jest wartość dodana w zaopatrzeniu, szkoleniu, rozmieszczeniu jednostek.

Gdzie są słabości i zagrożenia dla tego planu zbrojeń?

Największą słabością jest kwestia personelu. Obiecaliśmy NATO, że będziemy mieć 260 tys. aktywnych żołnierzy i 200 tys. rezerwistów, ale nadal trzymamy się systemu ochotniczego. Ryzyko jest takie, że na koniec dnia będziemy mieć wszystkie systemy uzbrojenia, piękne i nowe, ale nie będziemy mieć ludzi, którzy mogliby je obsługiwać.

Drugie największe niebezpieczeństwo ma charakter polityczny. Obawiam się, że jeśli na Ukrainie dojdzie do rozejmu, i jeśli Rosja będzie np. przez rok siedzieć cicho, nie zagrozi żadnemu sąsiadowi ani reszcie Ukrainy, to wtedy w Niemczech na pewno uaktywnią się siły, które zaczną wołać: czy musimy wydawać aż tyle na obronę, skoro Rosja już nie kontynuuje wojny? Czy dalej mamy ciąć wydatki na zdrowie, emerytury, edukację, aby kupować broń?

Zawieszenie broni, którego przecież wszyscy pragniemy, może być rodzajem pułapki?

Dokładnie. Jeśli Rosjanie zachowają się sprytnie i nie będą kontynuować wojny zaraz następnego dnia po zawarciu rozejmu, to będziemy mieć taką debatę. Pojawią się głosy: przeznaczmy więcej pieniędzy na system opieki zdrowotnej, na cokolwiek, byle nie na nowe czołgi, samoloty i drony.

Skoro o dronach mowa: natura wojny bardzo się zmienia. Widzimy to na Ukrainie, w Zatoce Perskiej, Izraelu. Jak program zbrojeń Niemiec dostosowuje się do tej zmiany?

Ponieważ jesteśmy częścią zintegrowanego planowania obronnego, nie chodzi o to, jak zareagowałaby armia polska czy niemiecka, lecz jak zareagowałoby NATO. Czyli: musimy zadać sobie pytanie, czy NATO ma właściwy obraz tego, jak w przyszłości będzie działać obrona? Po drugie, powiedziałbym, że jesteśmy na dobrej drodze do wyciągnięcia właściwych wniosków z Ukrainy, gdy idzie o nasze zamówienia i wdrażanie.

Konkretnie: jakie to wnioski?

Nie jest tak, jak twierdzą niektórzy, że teraz potrzebne są jedynie drony, drony i drony, a inne systemy nie odgrywają już roli. Prawdziwa lekcja jest taka, że trzeba włączyć drony do każdej jednostki. Czy to artyleria, czy piechota, żadna jednostka nie powinna wyruszyć do boju bez dronów obserwacyjnych, szturmowych i obronnych. W tym kierunku zmierzają nasze zamówienia. Myślę, że wyciągamy właściwą lekcję.

Ile mamy na to czasu?

Mamy debatę, która skupia się na dwóch datach. Jedna to rok 2029, ta tajemnicza data, kiedy to Rosjanie mogą mieć odbudowaną armię i będą mogli atakować. Druga skupia się na roku 2032, kiedy to obiecaliśmy w ramach NATO dostarczyć określony sprzęt. Moim zdaniem musimy się spodziewać, że jeśli Rosjanie zaatakują, to jeszcze przed rokiem 2029.

Co wtedy zrobimy?

Będziemy musieli wykorzystać te siły, które mamy. Przy czym uważam, że Polacy postępują lepiej niż my. W Niemczech jesteśmy skoncentrowani na systemach o możliwościach 150 proc. w stosunku do tego, co mamy dziś.

Może Pan to doprecyzować?

Ujmijmy to tak. Najnowszy Leopard 2 to najlepszy czołg, ma 150 proc. możliwości czołgów, jakie są obecnie dostępne na świecie. Tyle że dziś trzeba kupować gotowe już rozwiązania. Objechać Europę, świat, sprawdzić, co jest dostępne, i po prostu kupować. Co z tego, że gotowe dziś systemy mają mniejsze możliwości w porównaniu z systemami na 150 proc., skoro one są, a te drugie to kwestia przyszłości. Ukraina używa wielu starszych systemów, które spełniają swoje zadanie. Wasza decyzja o zakupie czołgów z Korei Południowej zmierza właśnie w tym kierunku.

Opóźnienie czasowe to wyzwanie dla całej polityki zbrojeniowej w Europie.

Dokładnie. Wszystkie nowe systemy muszą zostać wyprodukowane i w zależności od tego, jaki system kupisz, zajmie to od dwóch do sześciu lat.

Pierwsze miejsce w sondażach zajmuje dziś w Niemczech AfD, która sprzeciwia się wspieraniu Ukrainy, eksponuje nacjonalizm i kwestionuje podstawy relacji polsko-niemieckich. Można hipotetycznie zapytać: co, jeśli powstanie rząd Alternatywy dla Niemiec?

Dziś Bundeswehra jest silnie zintegrowana w strukturach NATO. Jeśli powstałby rząd AfD, i gdyby AfD chciała to zmienić, musieliby wycofać się więc z całej zintegrowanej machiny NATO. To byłoby bardzo trudne do zrobienia. Przede wszystkim jednak: AfD ma w sondażach 27 proc. poparcia i jest daleka od samodzielnej większości, a wszystkie inne partie deklarują, że nie wejdą z nią w koalicję. Uważam, że AfD nie dojdzie u nas nigdy do władzy na szczeblu federalnym, w ostateczności wszyscy pozostali utworzą przeciwko niej koalicję.

Traktat międzynarodowy z 1990 r. o warunkach zjednoczenia zakazał Niemcom posiadania broni atomowej. To się może zmienić?

Nie ma żadnej ważnej siły politycznej, która chciałaby, aby Niemcy miały broń atomową. Jesteśmy krajem z największą liczbą ludzi w Europie, potęgą gospodarczą. Gdybyśmy zbudowali jedną z największych armii konwencjonalnych i do tego pozyskali broń jądrową, zniszczyłoby to europejską równowagę sił. Dlatego współpracujemy z Francuzami i próbujemy rozgryźć, jak moglibyśmy znaleźć się pod ich parasolem nuklearnym.

Ekipa Trumpa podtrzymuje, że parasol atomowy USA nad Europą jest w mocy. Ale amerykański komponent wojskowy w Europie się zmniejsza. Jak widzą to Niemcy?

Właśnie dlatego słuszna jest ta ograniczona francuska propozycja rozszerzenia parasola nuklearnego na Europę: aby uzupełnić amerykańską ochronę, ale nie po to, by ją zastąpić.



SUPERBASS / CC BY-SA 4.0 / WIKIMEDIA

CARLO MASALA (ur. 1968 w Kolonii; jego rodzice byli gastarbeiterami: ojciec Austriakiem, matka Włoszką) jest niemieckim politologiem, profesorem stosunków międzynarodowych na Uniwersytecie Bundeswehry w Monachium, gdzie kieruje uczelnianym Instytutem Strategii i Planowania. Doradca niemieckiego resortu obrony. Od 2025 r. jest też członkiem Centralnego Komitetu Niemieckich Katolików (głównej organizacji laikatu). W Polsce niedawno ukazała się jego książka pt. „Jeśli Rosja wygra. Scenariusz".

Problem, który może wkrótce zaistnieć, to tak naprawdę stary problem NATO, sięgający lat 50. i 60. XX w.: dlaczego USA miałyby ryzykować zniszczenie Nowego Jorku dla ochrony kiedyś Berlina, a dziś Gdańska? Im bardziej Stany wycofują się konwencjonalnie z Europy, tym mniej wiarygodne jest strategiczne odstraszanie – to oczywiste. Dlatego teraz dodajemy ten element francuski: sprawia on, że strategiczne odstraszanie jest bardziej wiarygodne.

W czerwcu resorty obrony Polski i Niemiec podpiszą nową umowę o współpracy. Nie będzie zawierać nowych gwarancji bezpieczeństwa, bo są już gwarancje wynikające z traktatu o NATO. Co Pana zdaniem jest potrzebne, aby współpraca Polski i Niemiec w sferze obrony była lepsza?

Powinniśmy w Niemczech zmienić język, jakim mówimy o naszych zbrojeniach. Stale powtarzam, że mówienie, iż dążymy do tego, by mieć najsilniejszą konwencjonalną armię w Europie, to zła formuła, bo tworzy sztuczną rywalizację. Zresztą jak zmierzyć, że niemiecka armia jest silniejsza lub słabsza niż polska? Wystarczy powiedzieć, że chcemy mieć jedną z najnowocześniejszych armii w Europie.

Druga sprawa: istotnie, nie potrzebujemy nowych gwarancji bezpieczeństwa, bo jesteśmy członkami NATO i Unii, z odpowiednimi klauzulami. Natomiast ważne jest, aby kanclerz Friedrich Merz powtórzył w Warszawie zdanie, które powiedział już, będąc w krajów bałtyckich: „Jesteśmy gotowi bronić każdego centymetra terytorium NATO".

Trzecia rzecz, którą wskazałbym, a która dotyczy obu stron: spróbujmy ustalić na poziomie mikro, gdzie są obszary, w których jedna strona może wnieść wartość dodaną dla drugiej. Na przykład jakiś czas temu krytykowałem decyzję o umieszczeniu centrum dowodzenia NATO w Rostocku, a nie w Polsce, skoro Polska przedstawiła opcję, aby to centrum było u was. To rywalizacja, którą trzeba zakończyć. Skupmy się na tym, gdzie możemy uzyskać wartość dodaną dla obu krajów, dla obu sił zbrojnych. Określmy konkretnie takie obszary.

Wielu Polaków może obawiać się, że przy silnej armii i ożywionej gospodarce w Niemczech pojawi się pokusa, by grać w wyższej lidze, niż życzą sobie tego sąsiedzi, np. w jednej lidze z USA, Chinami i Rosją. Widzi Pan takie niebezpieczeństwo?

Nie, nie i jeszcze raz nie. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, na koniec będziemy mieć stałą armię liczącą 260 tys. żołnierzy. To mieści się w ramach europejskich. Ale w skali globalnej to jest nic. Nie będziemy mieć też broni jądrowej. Niemiecka siła polityczna polega na tym, że jesteśmy w środku Europy. Możemy być jednym z największych graczy w Unii, ale z ograniczeniami, których się trzymamy. Niemcy nie chcą od tego odejść.

Co więc powiedziałby Pan Polakom?

Zaniepokojonym o niemieckie zbrojenia mówię: wyluzujcie. Przecież tych 260 tys. żołnierzy i 200 tys. rezerwistów nie obronią samodzielnie Niemiec. W razie czego potrzebowalibyśmy na ratunek żołnierzy polskich, francuskich. Gdybyśmy przyjęli postawę: „jesteśmy światową potęgą, a wy, Polacy i Francuzi, idźcie do diabła", w momencie, gdy bylibyśmy zagrożeni, to by się w efekcie obróciło przeciwko nam.

©℗ Rozmawiał JACEK STAWISKI

Nocnym do Berlina

MAREK RABIJ

Dla polskiej gospodarki jej zachodni sąsiad jest jak starszy brat. Wkurza, czasem wykorzystuje, ale pomaga i można uczyć się na jego błędach. Oto podróż w czasie przez ostatnie 35 lat.



ŁUKASZ GĄGULSKI / PAP

Otwarcie nowych hal produkcyjnych MAN Trucks w Niepołomicach, 16 maja 2023 r.

Było to ponad 30 lat temu. W nocnym pociągu z Krakowa do Berlina regularnie budził mnie stukot kontrabandy, upychanej między dachem wagonu a sufitami przedziałów. Gdy tylko nabrało się pewności, że to nie złodzieje, lecz handlarze, którzy dogadali się z konduktorami i ukrywają sztangi polskich fajek, które za kilka godzin spieniężą z pięciokrotną przebitką przy Potsdamer Platz, można było znów osunąć się w objęcia kolejowego Morfeusza.

Pociąg wlókł się nieprzyzwoicie. Dwa razy w tygodniu, w niedzielę i piątek, podróżowałem nim do oraz z rodzinnego domu na studia. Ta rutyna pozwalała wyłapywać pewne prawidłowości.

Na przykład to, że złodzieje preferują składy wracające do Polski bardziej niż pociągi, które dopiero jadą do Berlina. Ci od papierosów w dachu wieźli przecież w drugą stronę grube pliki bundesmarek. Złodzieje najczęściej wsiadali na wysokości Opola. Bezradna obsługa pociągu przy sprawdzaniu biletów czasem ostrzegała, aby nie spać, bo zaraz zaczną kraść. Słowem: początek lat 90. XX w. w pełnej krasie.

Gra w „jumę"

Drugim typem podróżnych, charakterystycznym w tych latach, byli młodzieńcy w kolorowych i szeleszczących dresach. Ich znakiem rozpoznawczym był również brak bagażu, dość zaskakujący, zważywszy na wybitnie towarowo-pieniężną orientację pasażerów nocnego pociągu do Berlina.

O tym, co gna ich za Odrę, wiedziałem aż za dobrze od rówieśników z rodzinnego miasta, z którymi regularnie mijałem się na peronie, wysiadając o czwartej nad ranem, podczas gdy oni ruszali w drogę. Grę, którą uprawiali w niemieckich sklepach, nazywano w okolicy „jumaniem", od pociągu relacji Zielona Góra–Berlin Zachodni, który wyruszał w trasę o 15.10, czyli dokładnie jak westernowy „3:10 do Yumy".

Pierwotnie polegała ona na wchodzeniu do przymierzalni z rzeczami wziętymi z półki, szybkim przebraniu się ze starej garderoby w nową i opuszczeniu sklepu bez przystanku przy kasie. Niemiecki personel szybko to rozpracował, co wymusiło ewolucję metody w bardziej brutalną stronę. „Wchodzisz schowany za plecami jakiegoś szkopa, wyp...dalasz z buta dwa stojaki, robi się zamieszanie, zwijasz, co wpadnie w rękę, i uciekasz" – tłumaczyli koledzy.

Z bagażem, który wiązałby ręce i utrudniał szybki odwrót, „juma" była znacznie trudniejsza. Niemożliwa – jak dziś myślę – byłaby jednak bez poczucia niesprawiedliwości, płynącego z przekonania, że ten lepszy świat zza Odry nigdy nie stanie się naszym doświadczeniem.

Nasze i ich portfele

Cofnijmy się do stycznia 1993 r. W moim liceum trwają właśnie ostatnie przygotowania do studniówki, na którą wybiorę się we fraku wypożyczonym na tę okazję z wrocławskiego teatru i spryskany pierwszą w życiu zachodnią wodą toaletową „Obsession", którą sprezentuje mi chrzestna.

Ciocia wyruszyła po nią oczywiście do „Erefenu". W Berlinie Zachodnim sprzedała coś, za co kupiła mi perfumy. Kosztowały 68 marek. Na polskie złote sprzed denominacji – jakieś 750 tysięcy. Chrzestnej, która wtedy niedawno przeszła na emeryturę po prawie 40 latach pracy, listonosz co miesiąc przynosił nieco ponad milion złotych z ZUS. Siła nabywcza cioci w Berlinie w 1993 r. perfekcyjnie oddawała więc i stan naszej gospodarki, i jej wielkość w relacji do zachodniego sąsiada.

W tamtym czasie polski PKB w przeliczeniu na mieszkańca był dwanaście razy mniejszy od niemieckiego. Porównanie średnich pensji? Jakie porównanie? Statystyczny Niemiec w 30 dni zarabiał tyle, ile Polak przez rok i trzy miesiące. Bez zaciskania pasa i kombinowania mógł więc pozwolić sobie i na perfumy droższe od moich, i słynną niemiecką „chemię", co działa ponoć lepiej od polskiej. I na co tylko sobie zamarzył.

Ku naszemu zadowoleniu niemieckie towary z każdym rokiem wlewały się na szczęście coraz szerszym strumieniem do Polski. Za nimi zaś kapitał, z podobnym kredytem zaufania co niemieckie Omo czy Vizir, że działa cuda, nada więc rodzimej gospodarce nową jakość i wprowadzi ją za rączkę do Europy.

50 miliardów

Ponad 30 lat później te nadzieje w części się ziściły. Według danych NBP wartość niemieckich bezpośrednich inwesty-

cji w Polsce dobija do 50 mld euro. Na liście krajów, z których przypłynęło nad Wisłę najwięcej kapitału, Niemcy wyprzedza wprawdzie Holandia, a depcze im po piętach Luksemburg. Ale oba te państwa często pełnią tylko funkcję bazy logistycznej dla inwestycji z innych krajów, w tym niemieckich.

Większość ekonomistów skłania się dziś ku ocenie, że najważniejszym katalizatorem rozwoju polskiej gospodarki po 1989 r. był kapitał naszych zachodnich sąsiadów.

Przy okazji otrzymaliśmy cenną, acz bolesną czasem lekcję. Inwestycje nie były pomocą dla biednego sąsiada. Miały się zwrócić. Gdy kilka lat po przejściu mojej cioci na emeryturę jej były zakład pracy przejęła niemiecka spółka, w garstce ocalałych pracowników zabłysła iskierka nadziei, że stara cukrownia z maszynami z XIX w. złapie wiatr w żagle. Nowy właściciel miał jednak inne plany. Kupił zakład, żeby go zamknąć i zrobić na rynku miejsce dla swoich produktów. Cukier w okolicznych sklepach pochodzi teraz z Kujaw, czasem przyjeżdża nawet z Rumunii. To ta mniej słodka, skądinąd, strona globalizacji.

Na drugiej szalce wagi można jednak położyć tysiące polskich firm, które pracują niemal na wyłączność dla niemieckich odbiorców, zatrudniając blisko pół miliona osób. W miejsce cukrowni, którą w międzyczasie rozebrano, wyrósł nowoczesny zakład przetwórstwa tworzyw sztucznych, który zaopatruje m.in. niemieckie dyskonty.

Sieć zależności

Gdyby spojrzeć na tę relację wyłącznie przez pryzmat liczb, nie jest dziś dobrze. W pierwszym półroczu 2025 r. sprzedaliśmy Niemcom towary i usługi za 40,6 mld euro, jednocześnie importując je zza Odry na kwotę o 8,8 mld euro wyższą.

Polski deficyt w handlu z zachodnim sąsiadem wynika jednak głównie z tego, że importujemy produkty wysoko przetworzone, do których sami dostarczamy – jako eksporterzy – tańsze składniki i półprodukty. Ujmując to obrazowo: niemieckie auta składają się z polskich foteli, tapicerek, śrub i blach, ale to nie wina (ani tym bardziej antypolski spisek) bawarskiego lobby przemysłowego. Polska gospodarka po latach rozwoju jako relatywnie tani poddostawca musi wymyślić siebie w nowej roli.

Kryzys niemieckiego przemysłu, któremu bokiem wychodzi teraz zbyt ścisła współpraca z Chinami, podkreśla jedynie pilność tego wyzwania.

Ale daje też szanse. PKB Polski to już nie jedna dziesiąta, ale jedna czwarta PKB Niemiec. Przez lata naszą debatą publiczną rządziła obawa, że wykupi nas kapitał zza Odry. Czemu nie mielibyśmy teraz wyeksportować do Niemiec również jej? ©℗

35 lat później

HOLGER MAHNICKE

Traktat o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy między Rzecząpospolitą Polską a Republiką Federalną Niemiec z 17 czerwca 1991 r. położył fundamenty pod intensywny dialog polityczny oraz kontakty między społeczeństwami Polski i Niemiec.

W 2026 r. obchodzimy 35. rocznicę podpisania Traktatu o dobrym sąsiedztwie. Punktem kulminacyjnym obchodów jubileuszowych będzie tegoroczne Forum Polsko-Niemieckie, które odbędzie się 17 czerwca w Ministerstwie Spraw Zagranicznych Niemiec z udziałem ministrów spraw zagranicznych Niemiec i Polski – Johanna Wadephula i Radosława Sikorskiego, połączone z wręczeniem Nagrody Polsko-Niemieckiej.

Traktat dobrosąsiedzki dał początek wielu instytucjom polsko-niemieckim, które do dziś wspierają wymianę społeczną i wraz z ponad pięciuset partnerstwami miast stanowią ważny filar przyjaźni polsko-niemieckiej. Do partnerstw miast dołączyły partnerstwa regionów, m.in. partnerstwo między Krajem Saary i województwem podkarpackim, między województwem małopolskim i Turyngią, które w 2027 r. obchodzić będzie jubileusz 30-lecia. W tym roku 35-lecie partnerstwa świętują Kraków i Frankfurt nad Menem.

Kluczową instytucją promującą stosunki polsko-niemieckie jest Fundacja Współpracy Polsko-Niemieckiej (FWPN), powołana do życia przez rządy obu krajów w 1991 r. W ciągu 35 lat FWPN sfinansowała ponad 17 tys. wspólnych projektów, umacniając w ten sposób fundamenty wzajemnego zrozumienia.

Odpowiedzialne podejście do przeszłości stanowi podstawę stosunków polsko-niemieckich. Dotyczy to przede wszystkim uznania przez Niemcy winy za cierpienia Polaków podczas II wojny światowej. W ramach naszej kultury pamięci kluczową rolę odgrywa Międzynarodowy Dom Spotkań Młodzieży (MDSM) w Oświęcimiu, który w grudniu obchodzić będzie 40. rocznicę powstania.

Ustanowiona w 1991 r. Polsko-Niemiecka Współpraca Młodzieży (PNWM) w ramach bilateralnych programów wymiany połączyła ponad trzy miliony młodych ludzi, zbliżając do siebie nasze kraje. Dzięki PNWM i MDSM po obu stronach Odry dorasta nowe pokolenie, które identyfikuje się ze wspólną europejską tożsamością i które w przyszłości z powodzeniem będzie kształtować stosunki między naszymi krajami. ©



KAY NIETFELD / DPA / PAP

HOLGER MAHNICKE jest konsulem generalnym Niemiec w Krakowie.



DZIĘKI UPRZEJMOŚCI ARTYSTY

WIARA

KIEDY DUSZA MA ŁASKOTKI

RYSZARD KOZIOŁEK:

Dlaczego chrześcijaństwo „żre”?
Bo przekaz ewangeliczny jest nadal bezkonkurencyjny. Nie ma równie radykalnego wezwania etycznego jak to o bezwarunkowej miłości bliźniego.

MICHAŁ OKOŃSKI: Chciałbym chyba zacząć od babci.

RYSZARD KOZIOŁEK: Były dwie, i zawsze w parze. Długo nie zdawałem sobie sprawy, jak ważna była ich współobecność. Pan wie, że człowiek jest zawsze spóźniony wobec swojego doświadczenia?

W „Ćwiczeniach z wyobraźni teologicznej” przeczytałem, że całe chrześcijaństwo jest religią spóźnionych, skoro większość świadków najważniejszych momentów Wcielenia zaspała, a reszta urodziła się już w świecie opuszczonym.

I ja tak miałem z moimi babciami.

Pamiętam, jak z typowym kompleksem prowincjusza czytałem „W poszukiwaniu straconego czasu” i myśląc o wyborze stron, przed jakimi stawał Marcel – strony Mèsèglise i strony Guermantes – odkryłem, że przecież ja też miałem takie strony, reprezentowane przez babcie Helę i Milkę. Babcia protestancka i babcia katolicka trochę mnie sobie wydzierały, szmuglując na stronę swoich wyznań, przy okazji budując we mnie mocny, uczuciowy związek z luteranizmem i z katolicyzmem. Nieco schizofreniczny, trzeba przyznać.

Zbigniew Micherdziński, „Stworzenie aniołów”, obraz malowany na szkle. Śląsk Żywiecki, 2023 r.

Czyli?

Hela, luteranka, była chłopką. Od wiosny do jesieni w pole chodziła boso, mimo że nie było już żadnych problemów z obuwiem, i karmiła mnie tranem, który stał w wielkim oślizgłym słoju przy jej łóżku. Była potwornie pracowita, oszczędna do skąpstwa i bardzo pobożna. A Milka była katoliczką, miała sporą nadwagę, bo kochała jedzenie. Równie mocno, co Sienkiewicza i koncerty noworoczne z Wiednia. Wybaczała mi wszystko.

W ich relacji dopiero teraz widzę unikalną wartość i czerpię nadzieję na przemianę naszej sceny publicznej...

O, jaki przeskok...

...jako że były dowodem, że codziennie mogą się spotykać w przyjaźni osoby, które są przekonane, że ta druga pójdzie do piekła.

Dziś zamknęlibyśmy je w bańkach wyznaniowych i wyalienowanych biografiach. Jedna pracowała na roli, druga w zakładzie przemysłowym. Jedną mąż porzucił bardzo wcześnie z dwójką dzieci, druga z kolei żyła ze swoim w jakiejś dziwnej separacji, porozumiewając się monosylabami. Miały za sobą kawał bolesnego i bogatego w doświadczenia życia, ale – jak każdy w moim wieku – byłem zbyt głupi i skupiony na sobie, żeby je o to zapytać. A potem było za późno.

Babcie też mają płeć, a jak czytam Pana książkę, wydaje mi się to bardzo ważna kategoria.

Na Śląsku Cieszyńskim byłem wychowywany głównie przez kobiety. Ojciec, dziadek, wujkowie byli od innych spraw – jak sport, motocykle i takie tam oczywistości. Normy zachowania, wolności i powinności, miały dla mnie kobiecy głos i twarz. A na Górnym Śląsku, już dzięki rodzinie żony, zobaczyłem jeszcze ostrzej coś, co można by nazwać konserwatywnym feminizmem. Kobiety, spełniające tradycyjne role kulturowe, jednocześnie podejmowały wszystkie ważne decyzje dotyczące rodziny i domu, w tym zwłaszcza ekonomiczne. Jakby wykonywanie tradycyjnych funkcji wychowywania dzieci, gotowania, prania dawało im władzę.

W „Ćwiczeniach...” napisał Pan: „Im bliżej krzyża, tym mniej mężczyzn”.

To dość banalne rozpoznanie, że naszymi udręczonymi ciałami, chorymi i wymagającymi pomocy, zajmują się kobiece ręce. Tak, troska o bolące ciało ma płeć, i to jest płeć kobiet.

Chyba chodzi o coś więcej niż troska. „Wyobrażam sobie, że chrześcijaństwo jest dziełem Marii, która przechwyciła i sprywatyzowała ↦

↦ **żydowską opowieść o Mesjaszu, aby uchronić siebie i swoje nieślubne dziecko przed pralnią Magdaleny"...**

Myślę czasem, jak wyglądałoby chrześcijaństwo, gdyby opracowała je teologicznie Maria, a nie Paweł. Oczywiście, jest w tej idei perwersja luteranina, łasego na pierwiastek kobiecy w maskulinistycznym protestantyzmie. Za to lubię polski katolicyzm, że daje przestrzeń na takie myślenie.

Wyobraża pan sobie sytuację, w której to ona staje się twórczynią przesłania ewangelicznego?

Uważa Pan, że to przesłanie by się zmieniło?

Na pewno. Ścierałyby się w nim doświadczenie macierzyństwa, niepojmowalne dla mężczyzn, i doświadczenie widoku śmierci swojego dziecka, czego nikt nie był w stanie z nią podzielić. Kto wie, jaka teologia zrodziłaby się z tego starcia. Prawdopodobnie mniej abstrakcyjna, rzucająca wyzwanie cierpieniu, a nie godząca się z nim w pokorze; bardziej cielesna.

To się jakoś zgadza ze współczesnymi potrzebami. Clarissa Pinkola Estés, autorka kultowej w wielu kręgach „Biegnącej z wilkami", napisała też „Oswobodzenie silnej kobiety", poświęcone właśnie archetypowi Maryi.

Potrzebami współczesnymi albo odwiecznymi, z którymi Kościół miewał kłopoty i które nazywał herezjami. Pojechałem kiedyś do Pelplina, gdzie w jednej ze stall tamtejszej bazyliki Duch Święty jest wyrzeźbiony nie tylko pod postacią gołębicy, ale ma także kobiecą twarz. Zabawne, że ksiądz kustosz od razu nas do niej poprowadził – widać, czego ludzie szukają.

Dla mnie zebrane w „Ćwiczeniach..." teksty z „Tygodnika" zawsze były rodzajem poligonu: sprawdzamy, co z dawnych symboli działa, co uwiera, inspiruje, a co odchodzi w przeszłość. Zapisał Pan taką scenę z Uffizich, gdzie nauczycielka objaśnia nastolatkom „Zwiastowanie", ale wykład nie dotyczy wartości estetycznej obrazu, tylko tego, co się na nim dzieje i kim są te dziwne postaci.

Chantal Delsol twierdzi, że na naszych oczach kończy się pewien model cywilizacji, w którym chrześcijaństwo było fundamentem zarówno porządku etycznego, jak języka symbolicznego. Mówiąc wprost: zapominamy ten język.

Nie ma się co oburzać. Język biblijnych symboli przechodzi w porządek erudycji; nie wywodzi się już z uczestnictwa w kulturze, co jeszcze dla naszego pokolenia było w miarę oczywiste.

Dla ludzi naszego pokolenia doświadczenie wzrastania w tej kulturze było też zderzeniem z poczuciem winy, obsesją grzechu z jednej strony, a z drugiej np. z dojmującym okrucieństwem obrazów i opisów Pasji. Może niektórzy chcieli tego oszczędzić swoim dzieciom.

Jak babcia była na mnie wkurzona, to mówiła, że ma ze mną „krzyż pański". Rozumiałem, że jest w tym metaforyczna przesada, ale i sens był dla mnie jasny, dzięki lekcjom religii i wszechobecności motywów pasyjnych. To właśnie mija. Być może jednak – jak twierdzi Delsol – chrześcijaństwo dokona inwersji i przeszmuguje swoje treści pod przykrywką świeckiej kultury.

A może wcale nie trzeba szmuglować, bo to wszystko cały czas jest?

Jak w „Bohaterze o tysiącu twarzach" Campbella? Chrystusa odnajdowaliśmy u Tolkiena, u Lewisa, u Camusa, i będziemy odnajdywać dalej? Nawet jeśli my ten język zapomnimy w jego literalnym brzmieniu, nawet jeśli będziemy chodzić z wnukami do Uffizich i będziemy tłumaczyć im, kim jest ten mężczyzna na krzyżu, to przekaz ewangeliczny i tak zostanie przekazany.

Tylko co z niego zostanie? Bo jakbym miał teraz mówić jak redaktor do autora, to bym chciał zamówić tekst o tym, że Delsol nie ma racji, bo chrześcijaństwo – jak by powiedziały nasze dzieci – „żre". Trump i jego otoczenie nie umieją się bez niego obyć, tak samo jak technomiliarderzy z Doliny Krzemowej – tyle że kompletnie wypaczają jego przesłanie.

Pyta pan, dlaczego chrześcijaństwo „żre"? Bo przekaz ewangeliczny jest nadal bezkonkurencyjny. Nie ma równie radykalnego wezwania etycznego jak to o bezwarunkowej miłości bliźniego. Nawet w buddyjskich nakazach o szacunku dla każdego życia jest melancholia, wynikająca ze zgody na powszechność cierpienia. A chrześcijaństwo tej zgody nie ma: chce interweniować w świat, nie zostawia go Bogu i naturze, tylko przepełnia etyką buntu i niezgody na krzywdę, zwłaszcza krzywdę biednego i najsłabszego.

No więc ja myślę, że ten rodzaj „żarcia", czyli głodu odpowiedzi, która we mnie powstaje z niezgody na niesprawiedliwość, pod taką czy inną postacią przywoła Jezusa.

Tylko czy on musi być muskularnym modelem z obrazków propagandy MAGA?

Nie musi oczywiście. I proszę zwrócić uwagę na oburzenie, jakie wywołał Trump, przerabiając w mediach społecznościowych swój wizerunek na podobieństwo Jezusa. Niby przekroczyliśmy już wszelkie granice, a nawet ludzie niekościelni mówili, że tak nie można.

„To gipsowe dzieciątko dziś się narodziło i dziś umarło. Za mało jest tu oddechów, żeby je ogrzać i powołać do życia"...

Różewicz.

Może jednak wciąż są te oddechy?

Moim zdaniem literatura i w ogóle sztuka zrobiły kolosalną robotę dla transmisji przesłania ewangelicznego. Mam na myśli sztukę z zamierzenia niereligijną, jaką jest poezja Różewicza. Tak się zresztą dzieje od początku kultury chrześcijańskiej, której towarzyszy kontrkultura artystyczna.

Przykładów jest mnóstwo. Jeśli Stasiuk ciągnie nas do tego przybytku kiczu religijnego, jakim jest Licheń, uczy nas też, żeby nie poprzestawać na zewnętrzności i zastanowić się nad tęsknotami pielgrzymów, których porusza ta estetyka ogromu.

Licheń to świetny przykład. Z jednej strony za potęgą sanktuarium stoi koncept przedsiębiorczego kustosza, który chciał zbudować sobie wieżę aż do nieba, zmyślił wiele szczegółów związanych z lokalnym kultem, a na końcu okazał się seksualnym drapieżnikiem – z drugiej zaś będąc

tam, nie ma się wątpliwości, że jest się w miejscu mocy. I że ta moc ufundowana jest na wierze pielgrzymów. Sam pan widzi.

Te światy się łączą? Trudno się nie zgodzić z diagnozą, że chrześcijaństwo jest ożywiane przez ludzi kultury, którzy wciąż opowiadają je nam na nowo, ale z drugiej strony mamy żywe doświadczenie chodzącej boso babci i licheńskich pielgrzymów. Gdzie nie o gipsową figurkę chodzi, tylko o Boga żywego.

Moje doświadczenie kulturowo-religijne jest dwojakie. Z jednej strony imperatyw wolności, wpisany w luteranizm, którego gestem założycielskim było wypowiedzenie posłuszeństwa papieżowi i odkrycie, że jedyną powinnością chrześcijanina jest obowiązek samodzielnej troski o zbawienie, m.in. przez czytanie Biblii (czasem się śmieję, że jeśli szukasz motywacji do czytania, to nie znajdziesz lepszej niż ortodoksyjnie luterańska, czyli że jak nie będziesz czytał, to pójdziesz do piekła).

Ale konsekwencją indywidualnej lektury jest wolność spekulowania, z powodu czego zresztą Luter nie był w stanie utrzymać spoistości swojej doktryny, która się rozmnożyła w liczne wyznania. Nic dziwnego: skoro spuszczasz ludzi z dogmatycznej smyczy i czynisz odpowiedzialnymi za ich własne zbawienie, a drogą do tego zbawienia ma być samodzielne rozważanie tekstu – no to przecież nie ma możliwości, żeby ich inwencję teologiczną utrzymać w ryzach.

A drugi element tego doświadczenia?

Żyjąc z katolikami w domu i zagrodzie, przyglądałem się sile rytuałów porządkujących chaos egzystencji codziennej. Zwłaszcza nawiedzające niemal każdego: niepewność, niepokój czy lęk – bez określonego źródła. To, co uważałem za dość powszechną bigoterię w wypełnianiu formalnych zasad religijnych, objawiało mi się co rusz jako ład hamujący entropię życia indywidualnego i społecznego. Mówiąc wprost, nie tylko ze strachu, oportunizmu lub z racji przyzwyczajenia kulturowego ludzie odbywają praktyki religijne. Im bardziej słabnie instytucjonalna władza Kościoła, tym bardziej będzie się ujawniać rzeczywista potrzeba tego ładu, ponieważ katolicy nie przejmują się już tak bardzo tym, co powie ksiądz. Odmowa praktyk religijnych nie wymaga specjalnego heroizmu nawet w małych społecznościach. Jak proboszcz powie, że nie ochrzci dziecka, to się pójdzie do innej parafii.



GRAŻYNA MAKARA

PROF. RYSZARD KOZIOŁEK jest literaturoznawcą i eseistą, rektorem Uniwersytetu Śląskiego. Autor wielu książek, za „Ciała Sienkiewicza. Studia o płci i przemocy" otrzymał Nagrodę Literacką Gdynia. „Ćwiczenia z wyobraźni teologicznej" to zbiór tekstów, które w ogromnej większości ukazały się na łamach „Tygodnika Powszechnego", z którym stale współpracuje.

Więc może Delsol nie ma racji i to jest dobry moment w historii chrześcijaństwa?

Pod warunkiem, że te dwie siły – wolność indywidualna i przynależność do wspólnoty – nauczą się współpracować we współczesnym Kościele. Mnie jako literaturoznawcę interesuje ta współpraca w obrębie języka literackiego, który afirmuje wolność jednostkowej wyobraźni, szukając jednak porozumienia z jak największą liczbą czytelników. Nie chodzi tu jedynie o eksplorację tradycji chrześcijańskiej, ale witalistyczną moc tej symboliki, niesłusznie sprowadzanej wyłącznie do megasymbolu, jakim jest krzyż.

W jednym z ostatnich tekstów próbuje Pan cofnąć taśmę, żeby ten film nie kończył się na krzyżu (zmartwychwstanie, faktycznie, się trudno filmuje).

Zawdzięczam to trzem niedoszłym pastorom: Hölderlinowi, Schellingowi i Heglowi. Przez pewien czas mieszkali razem na stancji w Tybindze i spekulowali – zwłaszcza Hölderlin – o świecie, w którym śmiertelnym ludziom towarzyszył nieśmiertelny Bóg, fizycznie obecny. Myśl, której wciąż nie poświęciliśmy dostatecznie wiele uwagi, zdecydowanie wyzywająca wyobraźnię.

À propos wyzwań, jakie daje wyobraźnia religijna: Pan widzi możliwość, że Jezus pyta Maryję, kto jest jego prawdziwym ojcem, a nawet możliwość dokonania przez nią aborcji.

Rozmawialiśmy niedawno ze studentami o zdolności człowieka do śmiania się z rzeczy najstraszniejszych. Figurą tej niepojętej umiejętności jest dla mnie biblijny Izaak, czyli „ten, który się śmieje". Kierkegaard zastanawiał się, co właściwie myślał Izaak, widząc ojca, który próbuje go zabić, a co myślał Abraham. A ja lubię wyobrażać sobie, co było potem. Wracają do domu i Sara pyta: „Hej, chłopaki, jak tam było?". Być może Izaak odpowiedział: „A wiesz, ojciec próbował mnie zabić". Mógł się przy tym śmiać, jednocześnie będąc najgłębiej przerażony tym, co go spotkało.

Ale od czego wyszliśmy? Jakie było pytanie?

Nie zadałem pytania.

Wielkość sztuki polega na tym, że nas bierze za rękę i robi to, co potrafi niewielu psychoanalityków. To znaczy mówi: pójdę z tobą do otchłani, pokażę ci jakąś możliwość, która jest tylko możliwością, choć może kiedyś się ziściła albo może się ziścić – ale cię stamtąd wyprowadzę. Jak w finale „Hamneta" Chloé Zhao, gdzie matka widzi na scenie opowiedzianą śmierć swojego syna, i się uśmiecha, a my rozumiemy, dlaczego jest w stanie to zrobić. Wciąż nie mogę się po tym filmie otrząsnąć, bo mam wrażenie, że poczułem dokładnie to, co wyraża postać na ekranie. To niepojęte, ale się wydarza dzięki cudowi sztuki.

Dzisiejszy świat zna jednak inną opowieść – taką, w której właściwie na współczesnym indeksie ksiąg zakazanych powinna się znaleźć Biblia, a fakt, że rektor wyższej uczelni ↦

wydaje książkę o chrześcijaństwie, jest skrajnie niepoprawny. Wyobrażam sobie Pana deklarację: „zależy mi na przyszłości ewangelii” wypowiedzianą na amerykańskim kampusie.

Pod tym względem cieszę się oczywiście, że nie rozmawiamy na amerykańskim *woke* kampusie. Bo jeśli mam na coś alergię, to na próby nakazania mi, co czytać, a czego nie.

Szkoda, że czytelnicy nie zobaczą teraz Pańskiej mowy ciała.

Oj, to mnie rzeczywiście usztywnia.

Kiedyś to Kościół mówił.

Tak, a teraz biblioteki amerykańskie wyrzucają książki i budzi to moją głęboką odrazę...

Biblia jest przede wszystkim fantastyczną szkołą języka, stylów i barw. Jeśli ktoś jest wielbicielem kina katastroficznego, ma tu prototypy wszystkich klasycznych fabuł – potopy, trzęsienia ziemi, plagi egipskie. Jest w niej najgłębsza liryka i wspaniały erotyzm. Jako nauczyciel czytania literatury na pytanie, czy warto czytać Biblię, odpowiadam: „Tak, bo to kapitalny poligon kompetencji literackich. Nie bójcie się, że was zdogmatyzuje. Raczej wyostrzy wam smak”.

To jak będzie z tą przyszłością Ewangelii, na której Panu zależy?

Chrześcijaństwo jest religią w drodze. Zgodnie zresztą z naturą Jezusa, który nie siedzi w domu. Nie jest profesorem wyższej uczelni, nie rozkminia pism – chodzi po miastach i wsiach, rozmawia w ogrodach, nad rzekami i jeziorami. Jest w ruchu. A mógł zrobić świetną karierę rabiniczną. Genialny nastolatek, który pokazuje uczonym w piśmie, że też tak potrafi, ale że go to nie interesuje. Bo znaczenie Ewangelii nie jest efektem badania tekstu.

Swoje teksty pisał patykiem na piasku.

Chrystus to rozstrzygające dobro, które jest aktem działania i współuczestnictwa. Nie interpretacji.

Co to znaczy „współuczestnictwa”?

Że jest z ludźmi. Siada, je, pije, wędruje. Nie przyjmuje w lecznicy albo w gabinecie terapeutycznym, nie prowadzi seminarium na akademii. Nie jest też kaznodzieją, choć bywa.

Wracam do tego komponentu chrześcijaństwa jako kultury. Gdyby to była wyłącznie religia instytucji, byłaby martwa już dawno, nawet mimo potęgi oferowanych przez nią rytuałów. Siłę daje jej współuczestniczenie i naśladowanie przez postaci prawdziwe i fikcyjne, które – jak np. Rieux u Camusa – towarzyszą ludziom w ich biedach.

Cytuje Pan wiersz Wojciecha Bonowicza, „Medium”: „Wiem co jest święte. / Nie wiem / co jest grane”. Wrócę do niego za chwilę, ale najpierw powiem, że Pana książka prosi się o zrobienie towarzyszącej lekturze playlisty, od Sinatry, przez rapera Nas, Monty Pythona, Emmylou Harris, Dylana, Janerkę, po Bacha.

Muzyka jest jednym z powodów, dla których ten świat powinien przetrwać, a nasz gatunek częściowo odkupia swoje winy.

To co jest święte?

(Cisza)

Bezczelne pytanie.

„Wiem co jest święte” to bezczelna deklaracja.

To Bonowicza deklaracja, jego proszę pytać.

Nie bez powodu ją Pan zacytował.

Uchylę się od odpowiedzi, ale nie do końca. W wierszu „Trochę o duszy” Szymborska pisze, że duszę się miewa; że nikt nie ma jej bez przerwy i na zawsze. Jeśli coś mnie dotyka, powołując mi do aktywności duszę, to część tego nazwałbym świętością. Trochę jak z łaskotkami, na które nie mogę nie zareagować.

Pan Profesor powiedział, że „część tego”, a ja sobie pomyślałem, że reszta jest w ciszy, która wypełniła ten gabinet przed chwilą.

I niech tam zostanie.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ OKOŃSKI

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



Zrozumieć sikha

PATRYCJA BUKALSKA
Z WIELKIEJ BRYTANII

RELIGIE | Brytyjscy sikhowie, uważani za modelowy przykład zintegrowanej mniejszości, wstrząśnięci są tragiczną śmiercią Henry'ego Nowaka. Teraz to oni stali się celem ataków.



STEFAN ROUSSEAU / DPA / PAP

Członkowie społeczności sikhijskiej. Londyn, 19 czerwca 2022 r.

Akhand Paath w języku pendżabskim oznacza „nieprzerwane czytanie" i odnosi się do lektury wszystkich 1430 stron świętej księgi wyznawców sikhizmu, „Sri Guru Granth Sahib".

Czytanie, a właściwie melodyjna recytacja trwa godzinami, dzień i noc, bez przerwy. W ubiegły weekend zorganizowano ją w największej sikhijskiej świątyni w Wielkiej Brytanii, w gurdwarze Sri Guru Singh Sabha w Southall – jako wyraz współczucia i solidarności z rodziną 18-letniego Henry'ego Nowaka, który zginął z ręki sikha Vickruma Digwy w grudniu ubiegłego roku w Southampton. Na początku czerwca Digwa został skazany na dożywocie (o przedterminowe zwolnienie może ubiegać się po 21 latach).

Modlitwa w Southall trwała 48 godzin – w tym czasie dołączały do niej setki osób. Spotkanie modlitewne ma się też odbyć w gurdwarze w Leeds. „Morderstwa Henry'ego Nowaka dopuściła się jedna osoba i jej czyny nie powinny być wykorzystywane do osądzania całej społeczności sikhijskiej" – takie oświadczenie wydali sikhowie z Bristolu.

Tym, co się stało w Southampton, sikhowie są zszokowani tak samo jak inni Brytyjczycy. Ale zbrodnia Digwy odbija się na całej ich społeczności: spotykają się z wrogością i pogróżkami, są obrażani, opluwani. Wielu mówi, że przestało czuć się bezpiecznie.

Mówią też, że są ludźmi pokoju. Żyją w Wielkiej Brytanii od ponad stu lat i nigdy nie byli źródłem problemów. Liderzy ich społeczności potępili czyn Digwy, podkreślając, że był całkowicie sprzeczny z zasadami ich religii. Co więcej, sprzeciwiają się określaniu noża, którym Nowak został śmiertelnie zraniony, jako *kirpan* (ceremonialny nóż sikhów). W rzeczywistości był to perski sztylet zwany *pesh kabz*, który nie ma żadnego związku z sikhizmem (ostrze kirpanu jest zakrzywione, a nóż Digwy był prosty). Federacja Sikhów chce, by publiczne dochodzenie badające okoliczności śmierci Nowaka położyło kres rozpowszechnianiu tej, w ich opinii, mylnej informacji, która jedynie zaognia i tak trudną sytuację.

Kirpan to jeden z tzw. 5K – najważniejszych atrybutów praktykującego sikha. Noszą go miliony wyznawców tej religii na całym świecie. Pozostałe cztery to: *kesh* (niestrzyżone włosy, zwykle osłonięte turbanem), *kangha* (mały, drewniany grzebień), *kachhera* (krótkie szorty noszone pod ubraniem) oraz *kara* (stalowa bransoletka).

Wszystkie mają dla sikhów olbrzymie znaczenie, a ich historia sięga XVII w.

– Turban i 5K miały stworzyć jasną, zdyscyplinowaną i widoczną tożsamość opartą na równości, odwadze i odpowiedzialności – wyjaśnia mi prof. Jasjit Singh z Wydziału Filozofii, Religii i Historii Nauki Uniwersytetu w Leeds. – Turban jest symbolem godności i równości. W czasach, gdy jedynie władcy mogli nosić turbany, sikhijscy guru ustanowili to prawem i obowiązkiem sikhów. Nadal symbolizuje on szacunek do samego siebie i moralną odpowiedzialność.

Również *kirpan* wpisuje się w historyczny kontekst ucisku politycznego – wskazuje na obowiązek przeciwstawiania się niesprawiedliwości i ochrony słabszych. – Nigdy nie miał być bronią służącą do agresji. Wręcz przeciwnie, jest symbolem etycznej odpowiedzialności, powściągliwości, sprawiedliwości – podkreśla prof. Singh. – A co najważniejsze, znaczenie zależy od sposobu użycia. Jeśli ktoś używa kirpanu, by kogoś skrzywdzić, to przestaje on być kirpanem. W takiej chwili nie pełni on już swojej uświęconej roli, ale staje się po prostu bronią.

To rozróżnienie, dodaje profesor, jest dla sikhów kluczowe.

W Wielkiej Brytanii w miejscu publicznym można mieć przy sobie jedynie składany scyzoryk o ostrzu nie dłuższym niż 7,62 cm. Kary za złamanie przepisów są surowe – nawet do czterech lat więzienia. Ale są też wyjątki – np. „dobry powód", gdy ktoś potrzebuje noża do pracy lub biwakowania. Albo jest sikhem – bo ta grupa ze względu na przekonania religijne może nosić kirpany w miejscach publicznych. ↦

↦ Ale jest to temat gorący i upolityczniony, ze względu na wzrost liczby przestępstw popełnionych z użyciem noża w ostatnich latach. Po tragedii w Southampton pojawiły się głosy, że należałoby sikhom cofnąć ten przywilej.

– *Kirpan* to wyjątek, bo jest uznawany za przedmiot kultu religijnego. Ale chodzi też o długą historię sikhijskiej obecności i odpowiedzialnego zachowania, w tym służby w szeregach brytyjskiej armii w czasie obydwóch wojen światowych – mówi prof. Singh.

Swoją drogą podobnym przywilejem cieszą się też Szkoci, którzy w tradycyjnym stroju z kiltem mogą nosić *sgian dubh* – mały sztylet wsunięty w skarpetę.

Historia sikhijskiego osadnictwa w Wielkiej Brytanii ma około 160 lat i jest często podawana jako przykład modelowej integracji. Pierwszym sikhem, który zamieszkał na Wyspach, był maharadża Duleep Singh – ostatni maharadża Imperium Sikhów, państwa powstałego pod koniec XVIII w. na terenie Pendżabu. Do Anglii przypłynął w 1854 r., po tym, jak jego kraj stał się brytyjskim protektoratem, a on wygnańcem. Później przybywali kolejni, najwięcej po II wojnie światowej, gdy brytyjska gospodarka potrzebowała rąk do pracy. Szybko wyrobili sobie opinię ludzi uczciwych i pracowitych. – Sikhizm oznacza „ścieżkę nauki poprzez życiowe doświadczenie" – mówi prof. Singh.

– Gdy zrodził się w XV w., dzięki nauczaniu guru Nanaka, kładł nacisk na takie wartości, jak równość, sprawiedliwość i zaangażowanie w sprawy świata. Sikhizm odrzuca społeczne podziały i wzywa ludzi do prowadzenia etycznego życia poprzez czyny, a nie tylko wiarę – wyjaśnia. Profesor wymienia podstawowe idee sikhów, jak *Seva* (bezinteresowna służba innym), *Sarbat da Bhala* (praca dla dobra ogółu) i *Miri-Piri* (łączenie zaangażowania duchowego i odpowiedzialności społecznej), które zachęcają sikhów do działania na rzecz innych, gdziekolwiek by się nie znaleźli.

Dla niektórych ważne są tradycyjne praktyki, jak odwiedzanie gurdwary, dla innych noszenie widocznych symboli, jak turban, jeszcze inni wyrażają swoją sikhijskość poprzez aktywność społeczną.

– W Wielkiej Brytanii jest to na przykład bezpłatna kuchnia otwarta dla wszystkich bez względu na to, kim są i skąd pochodzą. A także inne działania charytatywne – mówi prof. Singh. Dodaje, że „Dobra reputacja sikhów nie jest przypadkowa".

W Wielkiej Brytanii żyje około pół miliona sikhów (czwarte największe wyznanie). Najwięcej jest ich w Anglii, ale są też w Walii czy Szkocji – tam zarejestrowali nawet swój własny wzór tartanu.

Prof. Singh podkreśla, że sikhizm uczy, by żyć będąc widocznym w swej tożsamości, a jednocześnie by być odpowiedzialnym i angażować się w działania na rzecz wspólnego dobra.

– Nie chodzi o „dopasowanie się", ale o pozostanie wiernym sobie, a zarazem o wkład w społeczeństwo – mówi.

Zaznacza też, że młodzi sikhowie wyrażają swoją tożsamość w bardziej zróżnicowany sposób niż poprzednie pokolenia.

– Dla niektórych nadal ważne są tradycyjne praktyki, jak odwiedzanie gurdwary, dla innych noszenie widocznych symboli, jak turban, jeszcze inni wyrażają swoją sikhijskość poprzez aktywność społeczną lub na platformach cyfrowych – wyjaśnia profesor i przypomina, jak podczas pandemii młodzi sikhowie angażowali się w dystrybucję posiłków dla potrzebujących. Widać ich zresztą podczas wielu akcji pomocy humanitarnej. – Młodzi ludzie mocno identyfikują się z podstawowymi wartościami sikhizmu – równością, sprawiedliwością i służbą – nawet jeśli nie manifestują swej wiary na zewnątrz.

Liczba wyznawców sikhizmu w Wielkiej Brytanii znacząco rośnie (w Anglii i Walii między 2011 a 2021 rokiem o 24 proc.).

Obecne napięcia nie są pierwszym takim doświadczeniem w historii tej mniejszości. Sam prof. Jasjit Singh wspomina, jak po zamachu na World Trade Center z 11 września 2001 r. wołano za nim „Bin Laden".

„Nie miało to nic wspólnego z moimi przekonaniami. Chodziło o uproszczone publiczne poczucie zagrożenia" – pisał Singh w jednym z artykułów, pytając, jak przynależność do angielskiej tożsamości jest realizowana w codziennym życiu, jak „obywatele dzieleni są na kategorie i kto musi się tłumaczyć, zanim zostanie zaakceptowanym".

Brytyjscy sikhowie są przecież także Brytyjczykami: ich rodziny żyją tu od pokoleń, wnoszą wkład w życie całego społeczeństwa. Potępili czyn, którego dopuścił się Vickrum Digwa, organizują uroczystości upamiętniające Henry'ego Nowaka i nie powinni – ich zdaniem – za tę zbrodnię odpowiadać.

© PATRYCJA BUKALSKA

POŻEGNANIE

Maria Gilewiczówna Perkowska

ze Starego Sambora,
urodzona 14 października 1929 r. we Lwowie,
po pełnym miłości i wielkiego męstwa życiu,
opatrzona wiatykiem, zmarła 4 czerwca 2026 r.
w rodzinnym domu w Opolu.

O modlitwę w intencji Nieboszczki proszą pogrążeni w żałobie

Jan, Agnieszka, Magdalena, Tadeusz, synowa Renata,
wnuki Adrian i Zuzanna

Pogrzeb oraz Msza Św. odbyły się na komunalnym cmentarzu
w Opolu-Półwsi w środę 10 czerwca 2026 r.

O. WACŁAW

Oszajca:
Nie wyręczaj się Bogiem



Jeremiasz miał tysiąc powodów do narzekania. Jako zdecydowany reformator religijno-polityczny nie bał się konfliktów zarówno z establishmentem polityczno-religijnym, jak też z rodakami. Z tego powodu torturowany, więziony, deportowany, zmuszany do ukrywania się i konspirowania, na koniec został ukamienowany. Tym, co pozwoliło mu w tym wszystkim „zachować duszę", było wypływające z wiary przekonanie, że wszystko, co go spotyka, to nie zrządzenie ślepego losu. Nie za karę znalazł się tu, a nie gdzie indziej, ale został posłany, żeby tym, którzy odeszli od Boga, przypomnieć, że Bóg pozostał im wierny. Dlatego nie poszedł z innymi do Babilonu, został w kraju z garstką niedobitków, którzy mu za tę wierność odpłacili, jak odpłacili.

Jeremiasz nie był narcyzem oczarowującym siebie wydumanymi sukcesami. W sprawach istotnych dla kraju twardo stał przy swoim zdaniu, ale nie unikał kompromisów. Mylił się, ale za błędy słono płacił. Godząc się na coś, czemuś się sprzeciwiając, pozostając czy uciekając, nie szukał wygodniejszego miejsca do życia. Robił to, co w świetle swego rozeznania uznał za konieczne, gdyż zgodne z wolą Boga. Wszystko po to, żeby wiedzieli, że „jest prorok w Izraelu". Dlatego prześladowanym radzi już na zapas, jakby awansem: „Śpiewajcie Panu, wysławiajcie Pana! Uratował bowiem życie ubogiego z ręki złoczyńców". Bywa jednak, że największym „złoczyńcą", krzywdzicielem dla człowieka jest on sam, a nie kto inny.

Co by nie powiedzieć o tym miejscu, w którym żyjemy, to „walcząc ze złem, nie opieraliśmy się aż do krwi", może więc dajmy spokój ze skarżeniem się Bogu: „Przemień, o Jezu, smutny ten czas, / O Jezu, pociesz nas". I nie pchajmy się „do niebios bram", bo jak na razie Bóg chce nas mieć tutaj, gdzie jesteśmy. Nie po to, by „wytrwać mężnie prób ziemskich czas", ale by tam, gdzie zło, działo się dobro. Ostrożnie też z tymi „próbami". Z opowiadania o Abrahamie i Izaaku wiemy, że Pan Bóg nie przeprowadza na ludziach eksperymentów, przecież zna nas na wylot. Eksperymentowanie na ludziach jest nieludzkie, a więc i nieboskie. Dlatego i my nie eksperymentujmy na Bogu. Idąc za radą Izajasza, wbijmy sobie do głowy pytanie, które Bóg stawia każdemu z ludzi: „Kogo mam posłać i kto Nam pójdzie?". I odpowiedzmy: „Oto jestem! Poślij mnie!". ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Małe jest wielkie



Liturgię słowa w Uroczystość Najświętszego Serca Pana Jezusa otwierało czytanie z Księgi Powtórzonego Prawa: „Mojżesz mówił do ludu: Pan wybrał was i znalazł upodobanie w was nie dlatego, że liczebnie przewyższacie wszystkie narody, gdyż ze wszystkich narodów jesteście najmniejszym, lecz ponieważ Pan was umiłował i chce dochować przysięgi danej waszym przodkom" (zob. Pwt 7, 6-11). Mamy prawo być zdumieni: czyż obietnica dana Izraelowi nie mówiła o tym, że będzie niezliczony?! W samej księdze Powtórzonego Prawa jest trzykrotnie mowa o tym, że Izraelici mają być tak liczni, jak gwiazdy! „Nie potrzebujesz być liczny, aby być wielki. Czego potrzebujesz, to otwarcia na moc większą niż Ty sam" – zauważa rabbi Jonathan Sacks w swoim komentarzu do Deuteronomium.

A więc: małość, która otwiera na wielkość, ale taką, która daleko przekracza moje możliwości! Sacks przypomina w tym kontekście historię z Księgi Sędziów, kiedy Jozue nie był w stanie wygrać wojny z Madianitami, mając przy sobie armię składającą się z 32 tysięcy żołnierzy, ale był w stanie zwyciężyć, zostając z trzystoma ludźmi (zob. Sdz 6-7).

W jak głębokiej syntezie ta prawda pozostaje z nauczaniem encykliki papieża Leona „Magnifica Humanitas"! Nie znam się na AI, ale wiem, że jest to jeden z najlepszych dokumentów papieskich o człowieku – o jego postawach (także pokusach), które odsłania m.in. sztuczna inteligencja. Zmagał się z nimi człowiek w czasach biblijnych, zmaga się dziś, i – śmiem twierdzić – będzie się zmagał w następnych pokoleniach. Jedną z tych postaw jest pożądanie mocy i wielkości; kompletne niezrozumienie i odrzucenie kruchości, maleńkości, ograniczeń. Kilka zdań papieża: „Niezdolność, choroba, starość, cierpienie, podatność na zranienia [jawi się nam] jako defekt, który należy skorygować, a nie jako przestrzeń, w której człowiek dojrzewa i otwiera się na relacje (...) Kiedy skończoność zostaje przyjęta w prawdzie, nie zubaża istoty ludzkiej, lecz otwiera na rozpoznanie oblicza Boga i drugiego człowieka". Jeden człowiek – w swej „maleńkości" otwarty na moc Boga – może skutecznie zmieniać świat (Martin Luther King, Matka Teresa). Nie potrafią tego robić zadufane w swoją liczbę tłumy. To właśnie jest wybór – mówi papież – między „cywilizacją miłości" a „kulturą potęgi". ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

ELIZA

Kącka: *Wyzwolenie kuchni*



Wilanów, dermatologia, wizyta kontrolna. Czekam na korytarzu. Obok dwójka młodych, para starszych i mężczyzna z obandażowaną skronią i policzkiem. Starsza do mnie: „Widzi pani ten regał?”. „Aha”. „Tam są próbki darmowe. Kremy wzięłam”. Uśmiecham się. „Pani jest zakaźna?”. „?”. „A bo różne trypry ludzie mają”. „Nie”. „Mąż był”. Mąż jękliwie: „Już przestań”. „On tego nie honoruje, ale miał wysyp”. „Już przestań”. „Jakby więcej wychodził, to bym miała podejrzenia... Ale co? W domu siedzi, pilnuję”. Mąż na skrępowaniu: „Yyy”. „No co ykasz? Oboje wiemy, jak było”. „Już...”. „Zawsze była jakaś w horyzoncie. Znamię wyskoczyło, skończył zaloty. Skończyły się spacerki do warzywniaka”. „Sama mi dawałaś listę”. „Mogłeś kupić w markecie”. „Nie lubię”. „Nie lubisz, bo w warzywniaku Alinka”. „Twoja Alinka”. „Moja, bo by mi powiedziała, jakbyś miał zamiary”. „Nie miałem”. „Miałeś, dlatego musiałam cię do niej posyłać”. „A nie do marketu?”. „Nie kombinuj!”. Do mnie: „I widzi pani, zawsze kombinował. Dlaczego ja na ten przykład nie mam żadnych zmian? Bo ja nie kombinuję”. Milczymy chwilę. Do mnie: „A u pani jaki charakter problemu?”.

Wisła, wczesny ranek, z kwaterunku i przed siebie: Marii Konopnickiej, obiekty sportowe, amfiteatr. Park Przygód, tu chciałam trafić. Świt, plamy mgły na wzgórzach, rosa. I makiety. Przy jednej gość na krzesełku wędkarskim, z termosem, w kapeluszu słomkowym. „Pani tu pierwszy raz?”. „A tak”. „Skąd?”. „Z Warszawy”. „Znajdzie tu pani obiekty warszawskie”. Rozglądamy się. On: „To jest magiczne miejsce”. „Aha”. „Ale serio, wracam tu. Mam przymus powrotu”. „Bo?”. „Bo mi się śnią. Pewnie się za dużo w te mozaiki gapię”. „No cóż, narkotyczne kolory”. „Owszem, ale to nie to. Wie pani, kiedy byłem mały, tatuś zrobił mi makietę zamku. To miał być niby Książ, mieszkaliśmy w Wałbrzychu. Wie pani, do dziś mi się śni. Miesiąc temu wyciągnąłem makietę z piwnicy. Szok, że taka mała. Zdawała mi się potężna”. „Aha, dziecięca perspektywa”. „Przede wszystkim senna. Do dziś ta makieta ma dla mnie mieszkańców”. Wstał, powiódł ręką w powietrzu: „Te też. W snach mam tu kolegów. Głupie, nie?”. „Ależ skąd. Mnie się w ten sposób śniły niektóre obiekty na terenie lecznicy weterynaryjnej, gdzie mieszkałam. I w ogródku dziadka. Przy kurniku zmontowałam taki mały wigwam, dziadek służył sznurkiem. W snach spotykałam się tam z Indianami, innymi”. „To znaczy?”. „Byli bladzi, wielkości skrzata i dużo płakali. Myli ręce we łzach i szli do lecznicy, umyć mojemu ojcu narzędzia, żeby udawały mu się operacje”. Spojrzał na mnie zdziwiony: „Nono, a myślałem, że to ja mam dziwnych znajomych”. „Haha, po roku śnienia odeszli i już nie wrócili”. „A widzi pani, moi z makiet ciągle żyją, ostatnio zaludnili Wawel”. „Ba, być panem na Wawelu”. „Czekam na smoka. Musi się pojawić nad Wisłą”.

Autobus 180, jazda w kierunku Sielc. Tuż obok babcia z wnuczkiem. Mały: „Babcia, a dlaczego to święto nazywa się Boże Ciało?”. „Bo to jest ciało Pana Jezusa”. Pauza. „A dlaczego idziemy w procesji?”. „Bo Pan Jezus wychodzi na ulicę”. Znów pauza. Mały: „Chyba szedł w tej procesji, co mama”. „Idzie w każdej procesji”. „W naszej też? To się schował”. „Schował się w monstrancji, którą niósł ksiądz”. „Bał się?”. „Bał?! Co za gadanie!”. „Ja się chowam w przedszkolu, jak się boję”. „On się nie boi, on przebywa w Najświętszym Sakramencie”. „Ciasno ma”. „Co ty wygadujesz! Muszę z mamą porozmawiać”. „No ale ten opłatek taki malutki”. „To nie opłatek! To ciało!”. Mały z zatroskaniem: „To chyba Mu odcięli kawałek...”. „Odcięli? To cały Pan Jezus!”. „Taki malutki? Będzie miał źle w przedszkolu”.

Pociąg do Wrocławia, dwie w wieku licealnym. „Wierzysz w duchy?”. „W sensie?”. „No, normalnie”. „Ale w dusze czy w strachy?”. „Nie no, że po śmierci ciągle tu krążymy”. „Jeju, to już wolę strachy”. „No nie, słuchaj, obejrzałyśmy z matką wszystko z Netflixa. W tym coś musi być”. „W czym?”. „Że są domy, w których, wiesz, siedzi czyjś duch. Są takie specjalne brygady, z psychologami...”. „Anka, to ściema”. „No nie wiem, nagrywają komentarze specjalistów”. „Dziewczyno, nie ma żadnych duchów”. „Ale są, słuchaj, widać je w promieniowaniu, jakoś tak. No normalnie: siedzą ludzie w naszym wieku z kamerami i na kogoś wskakuje”. „Co?”. „Nie widać”. „Boj, daj spokój”. „Nie, bo potem zespół dostaje wiadomość, że dobrze poszło”. „Co poszło?”. „Wyzwolenie kuchni”. „Żartujesz?!”. „W ostatnim domu duch przejął szafki, walił, ale jak. Sprowadzili medium i się okazało, że to gwałciciel”. „Szafek?”. „Nie, głupia, nastolatek”. „I co z tym medium?”. „To była kobieta. Rozpoznała, gdzie jest centrum”. „W zlewie?”. „Nie, w schowku, tam kiedyś był gwałt, bo dom był przebudowywany”. „I co, wypędziła go?”. „Tak, ale musiała tam mieszkać i walczyć dwa tygodnie”. „Dobra. To moja babcia pewnie mieszka w maszynie do szycia”. „Nie nabijaj się! Może odeszła”. „Ojciec twierdzi, że siedzi w czyśćcu”. „Ale to chyba bzdury ten czyściec?”. „Czy ja wiem? Bardziej mnie przeraża schowek na ducha”.

Dzwoni staruszka od ciśnienia: „Pani Elizo, czy wszyscy zwariowali?”. „Niewykluczone. A konkretnie?”. „Niekonkretnie. Z czego wniosek, że wszyscy powariowali”. „?”. „Już nie wiem, kogo wskazać, a jestem pewna diagnozy”. „Heh, czyli że my też”. „Wypraszam sobie. »Wszyscy« to nigdy nie są wszyscy”. ©

Eliza Kącka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu” i „Idiomy”. Ostatnio wydała w Karakterze „Wczoraj byłaś zła na zielono”.



POZNAŃSKI CZERWIEC

SIEDEMDZIESIĄT LAT PAMIĘCI

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 25/2026



Pierwszy wyłom

PIOTR GRZELCZAK, HISTORYK:

Po wojnie w Poznaniu zachowała się ciągłość pokoleniowa i społeczna. Czasem pojawia się pytanie, czy Czerwiec wywołały dzieci powstańców wielkopolskich – coś w tym jest.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Czym właściwie był Poznański Czerwiec? Powstaniem, buntem robotniczym, miejską rewoltą?

PIOTR GRZELCZAK: Spór o to, jakiej nazwy powinniśmy używać, toczy się niemalże od samego początku – czyli od 70 lat. Nawet jeśli odłożymy na bok język propagandy, który miał Czerwiec pomniejszać i deprecjonować, wciąż zostaje pytanie o historyczną kwalifikację tych wydarzeń.

Ważnym momentem był rok 1981. Wtedy prof. Lech Trzeciakowski, recenzując w „Kwartalniku Historycznym" słynną książkę „Poznański Czerwiec 1956" wydaną pod redakcją Jarosława Maciejewskiego i Zofii Trojanowiczowej, nazwał Czerwiec „powstaniem robotników poznańskich". Dla władzy i partyjnych historyków było to określenie nie do przyjęcia. Ale właśnie wtedy zaczęła się poważniejsza publiczna debata.

To element sporu o pamięć o Czerwcu?

W jakiejś mierze tak. Jedni historycy bronią określenia „powstanie", inni wolą mówić o strajku, czasem o strajku powszechnym, proteście robotniczym albo o buncie społecznym. Z całą pewnością nie był to tylko strajk, choć od niego wszystko się zaczęło. Nie było to jednak również pełne powstanie, mimo że pewne jego elementy oczywiście można tu znaleźć.

Według mnie najlepsze określenie to rewolta, czyli znacznie więcej niż uliczny protest i nieco mniej niż powstanie. Niewiele bowiem wskazuje na to, że były to wydarzenia zorganizowane, skoordynowane i przeprowadzone pod wspólnym kierownictwem. Same się napędzały, działał tutaj efekt kuli śniegowej, niemniej w dużej mierze był to ruch spontaniczny.

Z czasem rzeczywiście Czerwiec rozwijał się w kierunku powstania: były ataki na gmachy publiczne, walki z wojskiem i ubecją. Ale został szybko stłumiony i nie rozprzestrzenił się poza Poznań oraz jego najbliższe okolice. Dlatego, niejako ucinając terminologiczną przepychankę, trzymałbym się najbezpieczniejszego i najpojemniejszego określenia: Poznański Czerwiec 1956.

Czyli – w ogromnym skrócie – co się właściwie wtedy wydarzyło?

Prof. Edmund Makowski nazwał Czerwiec 1956 pierwszym buntem społeczeństwa w PRL. I to jest jego fenomen. To nie jest już powojenny opór zbrojny, to nie są „wyklęci" z lasu. To nie jest też jednorazowy strajk, zamknięty w jednym zakładzie pracy. Tylko właśnie bunt społeczeństwa, nabierający cech ulicznej rewolty.

Najpierw strajk powszechny, a potem sytuacja, w której duże miasto *de facto* wypowiada posłuszeństwo władzy. Społeczeństwo Poznania i okolic kontestuje system, w którym przyszło mu żyć po wojnie. Dlatego Czerwiec bywa nazywany pierwszym z Polskich Miesięcy, początkiem długiej drogi do Solidarności, jej kamieniem węgielnym. Sama Solidarność później wpisała go w ten ciąg. Daty na Poznańskich Krzyżach nie są przypadkowe.

Zatem kluczowa była skala?

Poznański Czerwiec przerósł wszystkie wcześniejsze wystąpienia społeczne w PRL i pod tym względem aż do Grudnia '70 pozostał wydarzeniem bez precedensu. Późniejsza Solidarność miała oczywiście znacznie szerszy charakter, ale była już rewolucją samoograniczającą się, bez walk ulicznych, jak w Poznaniu i na Wybrzeżu.

Czerwiec był szczególny także dlatego, że demonstranci zdobyli znaczną ilość broni i skierowali ją przeciwko władzy. W Grudniu '70 spalono komitet, ale protestujący, nie licząc pojedynczych przypadków, nie mieli broni. W Poznaniu ta granica została przekroczona.

Dlaczego do takiego wybuchu doszło właśnie w Poznaniu?

To pytanie bardzo często wraca. Odpowiedź jest złożona, ale można ją podzielić na dwa poziomy: ogólny i lokalny.

Na początku trzeba powiedzieć jasno: po roku 1956 partyjni historycy próbowali przedstawiać Czerwiec nie jako bunt antysystemowy, lecz jako protest społeczno-ekonomiczny. Tyle że w PRL ekonomii nie dało się oddzielić od polityki. Codzienne problemy robotników – płace, normy, ceny, zaopatrzenie – wynikały z konkretnego modelu państwa i gospodarki. W tym sensie Czerwiec był także buntem przeciwko systemowi, który ten model narzucał.

Jednak bardzo ważne były również przyczyny lokalne. Poznań był przez Warszawę, partyjną centralę, traktowany jako miasto bogate, zasobne, takie, które sobie poradzi. Zapominano, że po wojnie był mocno zniszczony – w Śródmieściu nawet w 50 proc. To nie był Kraków, który szczęśliwie ocalał.

Na zdjęciach Starego Rynku po wojnie widać morze gruzów. Mimo to Warszawa traktowała Poznań jako miasto niewymagające szczególnego wsparcia. Widać to w zestawieniach ekonomicznych z okresu stalinowskiego. W latach 1950-1955 Kraków i województwo krakowskie otrzymały z budżetu państwa ogromne środki – wiadomo, budowa Nowej Huty i inne inwestycje. To samo dotyczyło Stalinogrodu, czyli Katowic. Poznań i województwo poznańskie dostały nieporównanie mniej. W przeliczeniu na mieszkańca różnice były ogromne: statystyczny Warszawiak w 1956 r. otrzymywał z budżetu około 1300 zł, mieszkaniec Poznania – około 300 zł. To musiało być odczuwalne.



ZBIORY IPN

Robotnicy niosący transparent z hasłem „Żądamy chleba", ul. Czerwonej Armii (dziś Święty Marcin), 28 czerwca 1956 r.

Co jeszcze?

Prawdopodobnie do kryzysu nie doszłoby tak szybko w mieście o przemieszanej strukturze demograficznej, takim jak Szczecin czy Wrocław. Tam powojenna wspólnota dopiero się tworzyła. W Poznaniu natomiast w dużej mierze zachowała się ciągłość pokoleniowa i społeczna. Czasem pojawia się pytanie, czy Czerwiec wywołały dzieci powstańców wielkopolskich. Trochę tak. Poznaniacy żyjący w siermiężnym stalinizmie byli nieprzyzwyczajeni do standardów ekonomicznych i politycznych, których doświadczali po wojnie.

Co znamienne, w latach 50. w partyjnych raportach pojawiały się niekiedy szokujące dziś zapisy, że zdaniem robotników nawet za Hitlera w Zakładach im. Hipolita Cegielskiego – wówczas działających jako niemieckie zakłady zbrojeniowe (Deutsche Waffen- und Munitionsfabriken) – warunki pracy bywały lepsze niż za Stalina. Robotnik „Cegielskiego", największego przedsiębiorstwa w Poznaniu (w l. 1949-1956 noszącego imię Stalina), był przyzwyczajony, że pewne standardy pracy są zachowane. Tymczasem w stalinizmie, w „państwie robotniczym", były one permanentnie łamane.

Dotyczyło to nie tylko zarobków czy też cen, ale również norm, zaopatrzenia w odzież ochronną, w półprodukty i podzespoły etc. Ceny podstawowych sprawunków spożywczych – chleba, jajek, mięsa – od końca lat 40. do połowy lat 50. wzrosły w Poznaniu kilkukrotnie.

W konsekwencji przeciętny robotnik nie mógł normalnie zarobić i utrzymać rodziny. Szwankowało wiele rzeczy – choćby kooperacja między zakładami. Stal z Chorzowa potrafiła przyjeżdżać dopiero pod koniec miesiąca. Wtedy trzeba było pracować ponad siły, żeby wyrobić normę. Jeśli się udało, wypłata była trochę wyższa. Jeśli nie – zostawała podstawowa pensja. A za te pieniądze i tak niewiele można było kupić. Gospodarka działała właściwie w trybie wojennym: trwał konflikt w Korei, dominował przemysł ciężki, brakowało dóbr konsumpcyjnych. To wszystko musiało budzić w ludziach rozgoryczenie – zwłaszcza że mieli z czym porównywać swoją obecną sytuację życiową.

Poznań zawsze słynął też z dobrej samoorganizacji.

Przed wojną Poznaniacy mieli jedną z najgęstszych sieci tego, co dziś nazwalibyśmy społeczeństwem obywatelskim. Było to dziedzictwo pracy organicznej: stowarzyszenia, związki, czytelnie ludowe, chóry, organizacje dzielnicowe, robotnicze, przykościelne. Jeden robotnik często należał do kilku takich wspólnot. Po wojnie to przestało być możliwe. Z wielu rzeczy oczywistych dla Poznaniaka trzeba było zrezygnować.

Poznański Czerwiec pozostaje wydarzeniem niedocenionym w polskiej historiografii XX w. Dlaczego?

Najprościej mówiąc: dlatego, że nie wydarzył się w Warszawie. To brzmi mocno publicystycznie, ale coś w tym jest. W Polsce wiele zależy od tego, gdzie dzieje się historia i kto później potrafi ją opowiedzieć.

Ale Grudzień '70 też nie wydarzył się w Warszawie, a jednak jest szerzej rozpoznawalny.

Tak, choć Grudzień '70 to więcej niż jedno miasto: Gdynia, Gdańsk, Wybrzeże, ale też Szczecin czy Elbląg. Miał większy zasięg geograficzny. Poza tym z Grudnia bezpośrednio wyrasta Solidarność. Do Poznańskiego Czerwca odwoływała się ona trochę jak do dziadka, nie jak do rodzica. Grudzień był jej bezpośrednim zapleczem komemoracyjnym.

Dodatkowo w przypadku Czerwca mamy 25 lat niemal absolutnego przemilczenia – aż do Solidarności. Cenzura, SB, prokuratura, sądy: cały aparat państwa realizował apel Gomułki z 1957 r., by nad Czerwcem zaciągnąć „żałobną kurtynę milczenia".

Poznań sam musiał zadbać o pamięć o Czerwcu?

Do dziś istnieje przekonanie: skoro wydarzyło się to w Poznaniu, to jest to nasze dziedzictwo, my jesteśmy jego depozytariuszami i my powinniśmy tłumaczyć Polsce, dlaczego był tak ważny. Podobnie jest z powstaniem wielkopolskim. Być może my w Wielkopolsce słabo umiemy w historyczny PR. Mój profesor Witold Molik powiedział mi kiedyś: „Panie Piotrze, jak pan tego nie zrobi, to nikt za nas tego nie zrobi". Dlatego zająłem się naukowo właśnie tym tematem.

Dodatkowo Wielkopolanie mają pewną nieco irytującą cechę: skoro nasze powstanie było zwycięskie, to czujemy się ciut lepsi od innych – więc celebrujemy nasze zwycięstwo we własnym gronie. Jeśli jednak nie wyjdzie się z tym dziedzictwem na zewnątrz i nie zaprosi do tej pamięci reszty kraju, trudno oczekiwać, że inni uznają je za ogólnopolskie. ↦

Jak Poznański Czerwiec odbierany był na świecie?

Przede wszystkim jako pęknięcie w systemie zbudowanym nad Wisłą przy pomocy Moskwy. Czerwiec był wszak dla „ludowej władzy" skrajnie niebezpieczny: podważał jej i tak słabą legitymację. W państwie rzekomo robotniczym to właśnie robotnicy wystąpili przeciwko „robotniczej" partii.

Jak pisała o tym prasa zachodnia?

W pierwszych dniach po Czerwcu Poznań był na ustach całego świata. Kolega badający prasę brytyjską zauważył, że to był chyba jedyny moment w XX w., kiedy Poznań znalazł się na pierwszych stronach wszystkich największych brytyjskich dzienników.

Podobnie było gdzie indziej: od Zachodniego Berlina, Frankfurtu i Paryża, przez Londyn i Nowy Jork, po Sydney, Melbourne czy Buenos Aires. Cały wolny świat pisał o Czerwcu. Poznań był pierwszym tak poważnym antykomunistycznym wyłomem w Polsce i dawał nadzieję, że społeczeństwo polskie, a szerzej wschodnioeuropejskie, nie zostało całkowicie stłamszone.

Później uwagę światowej opinii publicznej odciągnęły kryzys sueski, czyli międzynarodowy konflikt wokół Kanału Sueskiego po jego nacjonalizacji przez Egipt, oraz powstanie węgierskie w Budapeszcie, krwawo stłumione przez wojska sowieckie. Ale w pierwszych dniach lipca 1956, a także w czasie procesów poznańskich na przełomie września i października tegoż roku, Czerwiec miał absolutnie światowy rezonans.

Co konkretnie przedostało się wtedy na Zachód?

Na początku wiedziano niewiele. W mieście trwały Międzynarodowe Targi Poznańskie, więc byli tam zagraniczni dziennikarze. Gdy wracali na Zachód, zaczęły się pojawiać dokładniejsze relacje.

Część próbowała wywieźć zdjęcia, choć niektóre filmy konfiskowano albo prześwietlano. Część korespondencji udawało się nadać z Polski, także telefonicznie, gdy przywrócono łączność z Poznaniem. Bariera informacyjna szybko jednak rosła, a sposób interpretowania tych wydarzeń zależał od kraju i linii ideowej danego tytułu.



WŁADYSŁAW GARDASZ

PIOTR GRZELCZAK – historyk, kierownik Ratusza – Muzeum Poznania, badacz historii Poznania i Wielkopolski XX wieku, autor książek o Poznańskim Czerwcu 1956 i pamięci historycznej.

Jaką rolę odegrała polska emigracja?

Środowiska emigracyjne robiły wiele, żeby temat nie umarł po kilku dniach i funkcjonował na Zachodzie także w lipcu 1956 r. Jerzy Giedroyc dzięki swoim kontaktom doprowadził do tego, że 5 lipca w „Le Monde" ukazał się apel zachodnioeuropejskich intelektualistów. W Wielkiej Brytanii o obecność Poznania w debacie publicznej zabiegali polscy Londyńczycy, w Waszyngtonie podobną pracę wykonywał Stefan Korboński.

To ważny wymiar tej historii: polska emigracja niepodległościowa, choć podzielona, w tej sprawie działała wspólnie. Starała się pokazać, że w Polsce wydarzyło się coś naprawdę istotnego.

Czy pojawiły się wtedy nadzieje geopolityczne? Że po śmierci Stalina i w czasie odwilży może dojść do większego przesunięcia w bloku wschodnim?

Na początku przede wszystkim informowano o samych wydarzeniach. Ale po kilku dniach pisma anglosaskie, zwłaszcza powiązane z obozami władzy, zaczęły tonować nastroje. Podobnie robiło Radio Wolna Europa. Jan Nowak-Jeziorański pisał później, że chodziło o to, by nie przegrzać sytuacji i nie wzbudzać w Polakach nadziei na coś więcej. Obawiano się, że zbyt mocne rozbudzenie oczekiwań może doprowadzić do dokręcenia śruby, a nawet powrotu ostrzejszej wersji stalinizmu. Anglosasom zależało raczej na stopniowej liberalizacji i ułożeniu relacji z Chruszczowem, który wysyłał sygnały odprężenia. Dlatego uznano, że polskie nadzieje należy tonować.

A jak Poznański Czerwiec odebrano w Moskwie? Mamy dokumenty pokazujące reakcje władz sowieckich?

To marzenie historyka Poznańskiego Czerwca: pojechać na kwerendę do Moskwy. Dziś to niemożliwe. Mamy do dyspozycji artykuły i opracowania pochodzące z lat 90. i późniejszych, pisane jednak przez historyków rosyjskich, przynoszą one zatem wiedzę pośrednią. Pierwsze czerwcowe dokumenty pojawiły się w czasach Jelcyna wraz z wyjazdami polskich badaczy do Moskwy. To było krótkie okienko pogodowe, które trwało jeszcze we wczesnych latach 2000., ale potem zaczęło się zamykać.

Wiemy, że w rosyjskich archiwach są dokumenty ilustrujące reakcje sowieckich służb, dyplomacji, czy też Biura Politycznego. Te ostatnie znamy dziś raczej za sprawą odbitego światła epoki: z oficjalnej prasy i języka propagandy. Czerwiec przedstawiano tam jako imperialistyczny spisek, prowokację zachodnich agentów, kontrrewolucję.

Ten język świadczył o strachu?

Z pewnością. Pisze o tym choćby jugosłowiański ambasador w Moskwie Veljko Mičunovič w swym dzienniku z 1956 r., wspomina to też biograf Chruszczowa – William Taubman. Dla władz sowieckich Poznański Czerwiec był kontrrewolucją i oczywistym zagrożeniem. Uważali, że wywołali ją zachodni agenci. Pełniejsza wiedza jest w archiwach, ale na dostęp do niej musimy jeszcze poczekać.

Przejdźmy do Solidarności. Mówiłeś, że Czerwiec był czymś w rodzaju „dziadka" tego ruchu.

Kiedy wybuchł karnawał Solidarności, rozpoczął się także – jak mówią historycy – karnawał pamięci: upominanie się o przeszłość, którą w PRL-u ukrywano, zamiatano pod dywan albo wprost zakazywano o niej mówić. Solidarność mapowała te białe plamy poprzez publiczne obchody i widowiskowe komemoracje.

W tym nurcie znalazł się Poznański Czerwiec, choć nie od razu. Po porozumieniach sierpniowych w Gdańsku bardzo szybko zaczęto budować pomnik Grudnia '70. W Poznaniu, 10 października 1980

r., podczas posiedzenia miejscowego MKZ NSZZ „Solidarność" ktoś zaproponował, by Poznań dołożył się do zbiórki na ten cel. Wtedy głos zabrał dr Roman Schefke – rodowity Gdynianin pracujący w Poznaniu na Akademii Rolniczej.

Powiedział: dobrze, pomóżmy Gdańskowi, ale mamy też własne robotnicze wystąpienie sprzed lat i własną pamięć. Powinniśmy przede wszystkim zadbać o Poznański Czerwiec. To ciekawe: impuls, by w Poznaniu upomnieć się o Czerwiec, przyszedł od człowieka z Gdyni. W pewnym sensie Poznań i Gdynia spotkały się tu we wspólnej sprawie pamięci.

Władza rzucała oczywiście kłody pod nogi, a poznańscy działacze Solidarności też nie zawsze potrafili się dogadać. Ale tempo było niezwykłe. Pomysł powstał w październiku 1980 r., w listopadzie utworzono społeczny komitet budowy, rozpisano konkurs, a w marcu zatwierdzono ostateczny projekt – zresztą nie ten zwycięski, bo wokół tego była awantura.

O co?

Władzy zależało na projekcie płaskim, horyzontalnym, w formie ogromnego kamienia nagrobnego. Stronie społecznej chodziło o pomnik strzelisty, widoczny – trochę jak w Gdańsku. Stąd krzyże. Wtedy też Czerwiec stał się sprawą ogólnopolską. Tak jak zbierano pieniądze na pomnik w Gdańsku, tak samo zbierano na upamiętnienie w Poznaniu. 28 czerwca 1981 r. na Placu Mickiewicza było 100-150 tys. osób, nie tylko Poznaniaków. Były flagi i transparenty z całego kraju, czołówka opozycji – niemalże jak podczas pielgrzymki papieskiej. To był moment, w którym ogólnopolska Solidarność wpisała Czerwiec w swą drogę do Sierpnia: jako jeden z Polskich Miesięcy, ów kamień węgielny.

Nie dało się tego już cofnąć. Nawet po wprowadzeniu stanu wojennego – bo pomnik już stał. Udało się skończyć z anatemą, społeczną niepamięcią, peerelowskim wymazywaniem Czerwca. Pomnik był jednak dla władzy wyrzutem sumienia. Później próbowała go jeszcze zawłaszczyć, organizując własne obchody, ale mleko już się rozlało.

Czym Poznański Czerwiec może być dziś, po 70 latach?

Jesteśmy w newralgicznym momencie. Odchodzą ostatni uczestnicy tamtych wydarzeń. Nawet ci, którzy mieli wtedy 18-19 lat, mają dziś około dziewięćdziesiątki. To oni jeszcze w latach 90. i po 2000 r. ciągnęli tę pamięć. Byli jej strażnikami, czuli obowiązek wobec poległych kolegów i ich rodzin. Teraz kończy się przestrzeń żywej pamięci.

Widziałem to już przy powstaniu wielkopolskim. Między 80. a 90. rocznicą, mniej więcej w latach 1998-2008, jego pamięć w sferze publicznej była właściwie dość niemrawa. Boję się, że z Czerwcem idziemy w podobnym kierunku. Jest muzeum, są naukowcy, ale najczęściej przypomina się o nim przy rocznicach.

A mógłby być kołem zamachowym pamięci o PRL, tak jak powstanie warszawskie w kwestii pamięci o II wojnie światowej?

Czerwiec mógłby być uniwersalną opowieścią: o niezgodzie na zło, stalinizm, upokorzenie; o społecznej i cywilnej odwadze. Mówimy przecież o ludziach wychodzących naprzeciw czołgom i uzbrojonej armii. Nie chodzi o wymyślanie Czerwca na nowo. On się wydarzył i jest piękną kartą polskiej historii. Chodzi o to, żeby nie pozostał tylko poznańską kartą, odgrzewaną przy rocznicach, ale stał się szerszą opowieścią.

To już nie jest zadanie wyłącznie dla historyków?

Nie. Za tym musi pójść kultura masowa, pewna moda na tę opowieść, szersza narracja o oporze. Historycy i akademicy sami tego nie zrobią. Poznań nie jest stolicą, środowisko naukowe jest tu mniejsze, do tego liczba ofiar nie była tak wielka, jak w przypadku innych krwawych wydarzeń w polskiej historii. Ale skala społeczna była ogromna. Moim zdaniem Czerwiec '56 i Grudzień '70 powinny zajmować kluczowe miejsce w opowieści o PRL. Sierpień '80 miał już inny charakter – dzieci Sierpnia, nauczone przelaną krwią, poszły inną drogą.

Czerwiec mógłby być dziś także opowieścią nie tylko o antykomunistycznym buncie, ale też o pracy, samoorganizacji i prawach pracowniczych. Chyba właśnie z tego później wyrosła Solidarność?

Tak. Robotnicy w 1956 r. mieli poczucie, że oficjalne związki zawodowe nikogo nie reprezentują, więc chcieli organizować się oddolnie i upominać o swoje prawa. Rok po Czerwcu sami tworzyli komitety obchodów, zbierali pieniądze dla wdów i sierot po poległych kolegach, kupowali kwiaty, chcieli wspólnie iść na groby. Robotnicy z Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego planowali nawet założyć przedwojenne mundury kolejarskie jako gest kontestacji i manifestację własnych korzeni zawodowych.

Władze to skutecznie powstrzymały, a ludzi upominających się o pamięć Czerwca represjonowano. Symboliczny jest przykład Stanisława Matyi, lidera robotników „Cegielskiego", zwolnionego z pracy w marcu 1958 r. Robotnicza partia wręcz chełpiła się w swojej wewnętrznej korespondencji, że skutecznie pozbyła się z zakładu robotniczego lidera i jego kolegów. To mówi bardzo wiele o tamtym systemie.

W 1981 r., przy okazji odsłonięcia pomnika, Czerwiec po raz pierwszy od 25 lat wrócił na łamy właściwie wszystkich pism, także „Tygodnika Powszechnego". Wtedy naprawdę stał się sprawą solidarnościową i ogólnopolską. Warto do tego wracać.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 25/2026
REDAKCJA: MICHAŁ SOWIŃSKI OPIEKA WYDAWNICZA: ANNA PIETRZYKOWSKA
PROJ. GRAF.: MAREK ZALEJSKI | SKŁAD: ANDRZEJ LEŚNIAK
FOTOEDYCJA: KATARZYNA BUŁTOWICZ, GRAŻYNA MAKARA
ZDJĘCIE NA OKŁADCE: Uczestnicy robotniczego pochodu do centrum Poznania, 28 czerwca 1956 r. // FOT. ZBIORY IPN / MONTAŻ „TP"

WSPÓŁPRACA: WYDAWNICTWO MIEJSKIE POSNANIA

28.06.1956 | 70. rocznica Poznańskiego Czerwca '56

POZnań



ZBIORY IPN

Konduktorki Stanisława Sobańska i Helena Przybyłek maszerujące w pochodzie, 28 czerwca 1956 r.

Kobiety wyszły na ulicę

KATARZYNA FLORCZYK

Nie stały z boku. Maszerowały ulicami miasta, opatrywały rannych, trafiały pod ostrzał i płaciły za udział w proteście. Bez ich historii opowieść o poznańskim zrywie byłaby niepełna.

W powszechnej pamięci Poznański Czerwiec 1956 pozostaje przede wszystkim wielkim buntem robotników, choć jego uczestniczkami były także kobiety zatrudnione w miejskich przedsiębiorstwach i fabrykach. Nie tylko obserwowały one rozwój wydarzeń, lecz brały również w nich aktywny udział, nierzadko płacąc za to zdrowiem, a czasem trwałym okaleczeniem. Przez długi czas ich obecność pozostawała jednak na marginesie opowieści o Czerwcu '56, skupionych zwłaszcza na przyczynach robotniczego protestu i jego politycznych konsekwencjach.

Kobiety można dostrzec na fotografiach wykonywanych 28 czerwca 1956 r. przez funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa. Zdjęcia pokazują nie tylko skalę działań służb, lecz także kobiece zaangażowanie w bieg wydarzeń rozgrywających się na ulicach Poznania. Do protestujących dołączały one z różnych powodów: pod wpływem spontanicznego impulsu, ciekawości albo solidarności z robotnikami i ich postulatami. Wiele z nich wróciło do domów, gdy pokojowa demonstracja przerodziła się w otwartą konfrontację z władzą. Inne, mimo zagrożenia, pozostały na ulicach i odegrały w proteście ważną rolę. Wśród rannych znalazło się co najmniej dwadzieścia sześć kobiet, w tym dwie przedstawicielki służb mundurowych. Dla części z nich udział w Czerwcu '56 stał się doświadczeniem, które naznaczyło całe ich późniejsze życie.

W okresie stalinizmu dynamiczna industrializacja kraju wymusiła tworzenie nowych kadr pracowniczych. Komunistyczne władze aktywnie zachęcały kobiety do podejmowania pracy w przemyśle, również w zawodach dotąd uznawanych za typowo męskie. Organizowano dla nich kursy i szkolenia przygotowujące do pracy w charakterze tokarzy, frezerów, ślusarzy czy spawaczy. Szczególne znaczenie miało zatrudnianie kobiet w kluczowych dla gospodarki zakładach, takich jak Zakłady Przemysłu Metalowego im. Józefa Stalina w Poznaniu (ZISPO), gdzie już na początku lat pięćdziesiątych pracowała największa w regionie liczba robotnic. Dla wielu z nich była to nie tylko szansa na samodzielne utrzymanie siebie i rodziny, lecz także możliwość uzyskania względnie stabilnych dochodów. Państwo wspierało ten model rozbudowaną infrastrukturą opiekuńczą – przy zakładach działały żłobki i przedszkola, które miały umożliwiać łączenie pracy zawodowej z macierzyństwem.

W pierwszym szeregu

Jedną z kobiet pracujących w ZISPO była Zofia Błotna. Została zatrudniona w zakładach w 1951 r. w charakterze lakiernika. W oficjalnej narracji tamtych lat powinna być wzorem: robotnica budująca socjalistyczną ojczyznę. Tyle że Błotna nie zamierzała grać roli, jaką jej wyznaczono. Na długo przed Czerwcem '56 otwarcie krytykowała rządzących i namawiała współpracowników, a zwłaszcza zatrudnione w zakładach kobiety do podjęcia strajku. Sama będąc samotną matką z kilkuletnim dzieckiem na utrzymaniu, doskonale rozumiała ich położenie. Narzekała na niskie zarobki, wysokie ceny w sklepach i ciężkie warunki pracy.

Krytykowała ruch współzawodnictwa pracy, który jej zdaniem nie mógł wpłynąć na poprawę życia robotników. Już 26 czerwca udało się jej nakłonić robotników ze swojego wydziału do przerwania na kilka godzin pracy. Dwa dni później, gdy Poznań wyszedł na ulice, funkcjonariusze bezpieczeństwa zaliczyli ją do grona „prowodyrów zbrojnego wystąpienia".

Rozpoczęty w zakładach ZISPO protest Poznaniaków był nie tylko symbolicznym końcem epoki stalinizmu, lecz także pokazał skalę społecznych zmian, jakie przyniosła prowadzona przez państwo polityka zatrudniania kobiet w tak zwanych nowych zawodach. Józef Wielgosz, który był zarówno bezpośrednim uczestnikiem wydarzeń, jak i wieloletnim pracownikiem ZISPO, wspominał, że to właśnie robotnice tego zakładu szły w pierwszych szeregach pochodu. Ich obecność nie była przypadkowa. Wynikała z codziennego doświadczania ciężkiej pracy, niskich płac i narastającego poczucia niesprawiedliwości.

Wspomnienia Wielgosza dobrze pokazują, jak obciążająca była praca kobiet „na produkcji". Opisywał robotnice szlifujące poszycia wagonów przeznaczonych na eksport, co wymagało ogromnej precyzji i pracy w trudnych warunkach. Jak podkreślał, kobiety często wykazywały większą wytrwałość niż mężczyźni, którzy rezygnowali po kilku miesiącach. Szczególnie zapamiętał obraz kobiet maszerujących ulicami Poznania. Robotnice szły w drewnianych chodakach, stukających o bruk, i w zabrudzonych roboczych fartuchach. Na ich twarzach można było zobaczyć zmęczenie, ale też determinację. Widok kobiet idących przez centrum miasta w roboczych kombinezonach silnie oddziaływał na mieszkańców Poznania, wzbudzając współczucie i solidarność z protestującymi.

Wśród uczestników demonstracji znalazły się także Maria Kapturska, Stanisława Sobańska i Helena Przybyłek. Zapamiętano je później jako „tramwajarki". W rzeczywistości tylko dwie z nich: Sobańska i Przybyłek, pracowały wówczas jako konduktorki Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego. Kapturska była tam wcześniej zatrudniona, dzięki czemu wszystkie trzy dobrze się znały.

28 czerwca Sobańska i Przybyłek miały na sobie służbowe mundury z furażerkami i torbami przewieszonymi przez ramię. Kobiety nie uczestniczyły w walkach ulicznych ani atakach na posterunki. Szły na czele pochodu z biało-czerwoną flagą, śpiewając hymn państwowy. Dotarły również pod siedzibę Wojewódzkiego Urzędu do spraw Bezpieczeństwa Publicznego, znienawidzonego, a zarazem wzbudzającego strach gmachu. Według świadków to właśnie w kierunku kobiet niosących flagę padły pierwsze strzały. Doprowadziło to do gwałtownego wzrostu napięcia i stało się jednym z momentów przełomowych protestu.

Tramwajarki i pielęgniarki

Udział w Poznańskim Czerwcu miał dla nich tragiczne konsekwencje. Helena Przybyłek miała w 1956 r. zaledwie dwadzieścia lat, Maria Kapturska była rok starsza, a najmłodsza Stanisława Sobańska dopiero osiągnęła pełnoletność. Przybyłek została ciężko ranna po postrzale oddanym przez funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa. Przeszła wiele operacji. Ostatecznie amputowano jej jedną nogę, a druga pozostała trwale niesprawna.

Losy Marii Kapturskiej i Stanisławy Sobańskiej pokazują z kolei skalę represji wobec uczestników robotniczego protestu. Obie zatrzymane i brutalnie przesłuchiwane przez funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa, którzy stosowali wobec nich przemoc fizyczną. Kapturska po pobiciu ciężko zachorowała jeszcze w więzieniu. Stanisława Sobańska, po dwutygodniowym przetrzymywaniu w siedzibie Urzędu Bezpieczeństwa, doznała tak rozległych obrażeń, że wymagały one przeprowadzenia czterech poważnych operacji. Jej organizm był skrajnie wyniszczony – w pewnym momencie ważyła zaledwie trzydzieści pięć kilogramów. Obrażenia okazały się tak poważne, że obu kobietom przyznano pierwszą grupę inwalidzką. Dopiero po latach doczekały się uznania: w 2006 r. Sobańska, a także pośmiertnie Przybyłek i Kapturska zostały odznaczone przez prezydenta RP Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

Trudną do przecenienia rolę podczas Poznańskiego Czerwca odegrały także pielęgniarki ze Szpitala Miejskiego im. Franciszka Raszei. Placówka położona w pobliżu siedziby Urzędu Bezpieczeństwa szybko zaczęła funkcjonować jak improwizowany szpital polowy, do którego trafiali ranni z ulicznych starć. Wśród personelu szczególnie wyróżniła się młoda pielęgniarka Aleksandra Banasiak. Choć tego dnia nie pełniła dyżuru, założyła biały fartuch i ruszyła w stronę odgłosów strzałów oraz nawoływań o pomoc.

Razem z Aleksandrą Kozłowską, pracującą jako pomoc laboratoryjna, opatrywały rannych bezpośrednio na ulicach, często pod ostrzałem. W trakcie niesienia pomocy Banasiak została lekko ranna w rękę, jednak nie przerwała pracy i dalej zajmowała się poszkodowanymi. Kobiety pomagały nie tylko protestującym, lecz także rannym funkcjonariuszom aparatu bezpieczeństwa, pokazując, że wobec ludzkiego cierpienia polityczne podziały schodziły na dalszy plan.

Walka z propagandą

Życie Aleksandry Banasiak było silnie związane z Czerwcem '56, również po stłumieniu protestu. Podczas tzw. procesów poznańskich na przełomie września i października 1956 r. kobieta złożyła zeznania podważające oficjalną wersję wydarzeń przedstawianą przez władze. Twierdziła, że to funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa jako pierwsi użyli broni wobec demonstrantów. Jej słowa miały ogromne znaczenie dla późniejszego rekonstruowania przebiegu protestu.

Już w III RP Banasiak aktywnie angażowała się w upamiętnianie Poznańskiego Czerwca. W 1992 r. została prezesem Stowarzyszenia „Poznański Czerwiec '56" i działała na rzecz utrwalania wiedzy o jego uczestnikach i ofiarach.

■■■

Kobiety nie były jedynie niemymi świadkami „czarnego czwartku". Maszerowały ulicami miasta, opatrywały rannych, trafiały pod ostrzał i ponosiły konsekwencje udziału w proteście. Przez lata ich działalność pojawiała się w opowieści o Czerwcu 1956 r. raczej na drugim planie. Dziś coraz wyraźniej widać, że bez przywołania ich doświadczenia historia poznańskiego zrywu byłaby niepełna. ©

Poznański poeta

PIOTR GRZELCZAK

Konrad Doberschuetz napisał wiersz o trzynastoletnim Romku Strzałkowskim, najmłodszej ofierze Czerwca 1956. Władza uznała jego poezję za zbrodnię i skazała go na więzienie.

Zamarłem. I nagle wszystko stało się dla mnie jasne. To przecież był strajk. To szedł Cegielski, a z jego nurtem załogi innych wildeckich fabryk i urzędów przyłączyły się do manifestacji. A więc przebrała się wreszcie miarka". Tak Konrad Doberschuetz wspominał wiosną 1981 r. wydarzenia, które zaważyły na jego życiu. Czynił to na potrzeby głośnej książki „Poznański Czerwiec 1956", którą dwójka uniwersyteckich polonistów: Jarosław Maciejewski i Zofia Trojanowiczowa, korzystając z solidarnościowego okna pogodowego, przygotowywała na 25. rocznicę „czarnego czwartku".

Pech chciał, a może zadziałały tu czynniki „niezależne od redakcji", że pełna wersja jego relacji „Tak zaczął się »krwawy czwartek«" ukazała się dopiero w III RP, w 2008 r., osiem lat po śmierci pana Konrada. Wszystko to sprawiło, że jego historia przez długi czas pozostawała na marginesie opowieści o Poznańskim Czerwcu. Sam Doberschuetz wspomniał o niej skromnie pod koniec przywołanej relacji: „Zginęli ludzie, w tym także młody chłopiec, trzynastoletni Romek Strzałkowski, który właściwie został zamordowany. I o nim niedługo napisałem wiersz...". Za tą lakoniczną uwagą kryje się historia znacznie poważniejsza niż wzmianka o napisaniu wiersza. Za ów utwór, a także kilkanaście innych, poznański literat nie otrzymał bowiem słów uznania, lecz wyrok: trzy lata więzienia.

Po raz pierwszy na „sprawę Konrada Doberschuetza" natknąłem się w roku 2011, jednakże nie w Poznaniu, a w Archiwum Ośrodka Karta w Warszawie. Szukałem materiałów do rozprawy doktorskiej poświęconej pamięci Poznańskiego Czerwca 1956, gdy dość nieoczekiwanie wpadł w moje ręce wyrok Sądu Najwyższego z 4 marca 1960 r., który był pochodną rewizji od wyroku Sądu Wojewódzkiego



ZBIORY IPN

Tomik „Zakazanej poezji" zarekwirowany przez SB w czasie rewizji przeprowadzonej w poznańskim mieszkaniu Konrada Doberschuetza, luty 1959 r.

w Poznaniu z 10 września 1959 r. złożonej w imieniu Konrada Doberschuetza przez mecenasa Stanisława Hejmowskiego. Zwłaszcza to drugie nazwisko – lidera obrony w tzw. procesach poznańskich z 1956 r. – zrobiło wówczas na mnie wrażenie. Na temat jego klienta nie wiedziałem nic. Tymczasem Konrad Doberschuetz swoją bogatą biografią mógłby obdzielić kilka życiorysów.

Zakazana poezja

Przyszły dziennikarz i poeta przyszedł na świat 31 października 1920 r. w Poznaniu, w rodzinie dziennikarza Pawła Doberschuetza i Zofii z Adamskich. Krótko przed wybuchem II wojny światowej pracował w Drukarni i Księgarni św. Wojciecha oraz przygotowywał się do eksternistycznej matury. Nie zdążył jej jednak wtedy zdać. Wojna szybko wprowadziła go w działalność konspiracyjną: najpierw w Poznaniu, gdzie kolportował nielegalną prasę, później w Jędrzejowie, dokąd został wysiedlony w 1940 r., wreszcie w Krakowie, gdzie został zaprzysiężony w AK. Naturalną konsekwencją tego ostatniego wyboru było wstąpienie do oddziału i walka z niemieckim okupantem w szeregach 106. Dywizji Piechoty AK (3. Batalion Szturmowy, 2. Kompania Szturmowa), za co otrzymał później z Londynu Krzyż Walecznych oraz Brązowy Krzyż Zasługi z Mieczami („za męstwo i wybitną odwagę w akcjach bojowych").

Po zakończeniu wojny wrócił do Poznania, gdzie imał się różnych zajęć, równocześnie angażując się w działalność podziemną w szeregach WSGO „Warta". Wtedy po raz pierwszy znalazł się pod baczniejszą obserwacją UBP oraz NKWD. Jednocześnie udało mu się na pewien czas osiągnąć coś w rodzaju stabilizacji: odkrył w sobie dziennikarskie talenty ojca i zaczął pisywać do poznańskiej prasy. Zrazu był to „Express Poznański" i „Echo Cegielskiego", a od maja roku 1949... partyjna „Gazeta Poznańska". Z tej ostatniej redakcji usunięto go po zaledwie kilku miesiącach: został wykreślony z listy członków Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich i objęty zakazem wykonywania zawodu. Andrzej Wohl pisał wówczas o nim: „Zdecydowany wróg ustroju ludowego, b[yły] cz[łonek] AK wydalony z »Gazety Poznańskiej« za swe wrogie przekonania".

Przez kilka kolejnych lat Doberschuetz pracował jako referent handlowy w Centrali Wydawniczej Druków Baza, z której odszedł na własną prośbę w kwietniu 1958 r., by dzięki popaździernikowej rehabilitacji wrócić do pracy w zawodzie, tym razem w Spółdzielni Pracy Dziennikarzy Omnipress. Przez cały ten czas, a zwłaszcza w obliczu wielkiego politycznego przesilenia, które przyniósł Czerwiec '56, Konrad Doberschuetz pisał do szuflady. Wśród jego utworów z tego



ZBIORY IPN

Zdjęcie poety i dziennikarza Konrada Doberschuetza wykonane przez SB tuż po jego aresztowaniu w lutym 1959 r.

okresu dominowały wiersze, fraszki, humoreski i opowiadania bezlitośnie obnażające absurdy politycznego teatrum lat 50., a także dotykające tych tematów, które z uwagi na swój antysystemowy ładunek były w przestrzeni publicznej PRL surowo zakazane: Katyń, kult Stalina, interwencja sowiecka na Węgrzech, i wreszcie Poznański Czerwiec 1956. Po jakimś czasie pisujący na własny użytek literat dokonał wyboru swoich najmocniejszych wierszy, z których powstało kilka egzemplarzy samizdatowej broszury „Zakazana poezja".

Październik 1956 r. obudził w odsuniętym od zawodu dziennikarzu nadzieję: nie tylko na polityczną zmianę, ale też na powrót do pisania i publikowania. Wysyłając odważne wiersze do redakcji poznańskich pism, Doberschuetz igrał jednak z ogniem. Zwłaszcza że od 1957 r. system umacniany przez Gomułkę coraz wyraźniej przestawał tolerować październikowych entuzjastów.

25 czerwca 1958 r. poeta i dziennikarz znów trafił na celownik służb. Tym razem jednak poznańska SB zdecydowała „o założeniu sprawy agenturalnej na osobę", co dla Doberschuetza oznaczało początek poważnych kłopotów. W uzasadnieniu postanowienia podkreślono, że „wymieniony pisze i rozpowszechnia wiersze o wrogiej treści dot. różnych dziedzin naszego życia politycznego i gospodarczego. Wiersze te rozpowszechnia w różnych środowiskach poprzez recytowanie ich z pamięci względnie wypożyczanie ich znajomym do przeczytania". To wystarczyło, aby zmienić jego życie na zawsze.

Wyrok i uniewinnienie

Permanentnie inwigilowany i otoczony przez tajnych współpracowników SB, stał się obiektem operacyjnej gry, która 18 lutego 1959 r. zakończyła się zatrzymaniem, rewizją w miejscu zamieszkania i w pracy, wielomiesięcznym aresztowaniem, wreszcie sformułowaniem aktu oskarżenia, który w tym samym roku wpłynął do Sądu Wojewódzkiego w Poznaniu. Czytamy w nim, że Doberschuetz „sporządził w celu upowszechnienia i systematycznie czynem ciągłym rozpowszechniał wiersze i inne utwory zawierające fałszywe wiadomości mogące wyrządzić istotną szkodę interesom Państwa Polskiego i obniżyć powagę jego naczelnych organów". Dodajmy, że materiałem dowodowym w opisywanej sprawie były... maszynopisy wierszy, które znaleziono w wildeckim domu dziennikarza.

Sąd mający zająć się sprawą Konrada Doberschuetza zebrał się 10 września 1959 r., a skład sędziowski pod przewodnictwem Dionizego Piotrowskiego musiał wejść w rolę krytyków literackich. Sędziowie skorzystali z tej okazji skwapliwie, ujawniając przy tym kompetencje przede wszystkim cenzorskie. Oceniając poruszającą kołysankę „Śpij spokojnie, mój mały chłopczyku", poświęconą pamięci Romka Strzałkowskiego, podkreślono, że jego autor nie tylko fałszywie przedstawił „sytuację w czasie wydarzeń poznańskich – jak wiadomo obiektywnie służących siłom wrogim socjalizmowi", ale dokonał również zabronionej gloryfikacji tych, którzy „atakowali gmachy i instytucje państwowe". Sąd uznał ponadto, że z utworów takich jak ten, a także pozostałych zawartych w tomie „Zakazana poezja" (m.in. „Walka jest bezkompromisowa", „Wilk i demokracja", „Reakcjonista", „Histeria pokoju", „Bracie", „Gorzkie żale tow. Przedpaździernikowca"), wynika bezsporny wniosek, że „oskarżony był i jest jak najbardziej nieprzyjaźnie ustosunkowany do władzy ludowej, do komunizmu i Związku Radzieckiego".

Wszystko to miało znaczący wpływ na wyrok końcowy. Na podstawie art. 23, par. 1 małego kodeksu karnego literacka działalność Konrada Doberschuetza została bowiem uznana za zbrodnię (*sic!*), a on sam usłyszał wyrok trzech lat pozbawienia wolności. Co znamienne, w ostatnich zdaniach uzasadnienia sąd nie omieszkał podkreślić, że wpływ na tak łagodną sankcję miał fakt, iż ustrój ludowego państwa „dawno okrzepł i umocnił się, skutkiem czego pisemne szerzenie propagandy antypaństwowej i antyradzieckiej nie wymaga tak ostrego karania, jak w okresie krótko powojennym".

W tej sytuacji ostatnią deską ratunku dla Doberschuetza było złożenie rewizji do Sądu Najwyższego, z czego skorzystał jego obrońca – Stanisław Hejmowski. Definitywne rozstrzygnięcie zapadło 4 marca 1960 r. Tego dnia Sąd Najwyższy podtrzymał orzeczenie o winie poety, zmienił jednak kwalifikację prawną czynu: podstawą wyroku stał się art. 29 małego kodeksu karnego. To z kolei pozwoliło zmniejszyć wymiar kary do jednego roku więzienia.

Po wyjściu na wolność Doberschuetz, mąż i ojciec trójki dzieci, do końca lat 60. pracował w Miejskim Zjednoczeniu Gospodarki Komunalnej w Poznaniu. W kolejnej dekadzie udało mu się wrócić do pisania dzięki posadzie w gazetce zakładowej „Życie Pometu". A dopiero poznańska Solidarność przypomniała o jego twórczości, przygotowując w 1981 r., do użytku wewnątrzorganizacyjnego, tomik jego wierszy. Sam Doberschuetz do końca PRL zabiegał o zatarcie kary. Uniewinnienia i rehabilitacji doczekał w wolnej Polsce. ©



WIARA NASZYCH OJCÓW

Na polskich ziemiach wyznawano różne religie tysiące lat przed pierwszym grzmotem Peruna. Możliwe, że jej najstarsze formy przyszły z terenów Grecji.

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Nad Dunajcem, na stromym wzgórzu górującym nad karpacką doliną, około 1725 r. p.n.e. pojawili się przybysze. Nie wiemy, jak sami siebie nazywali. Nie znamy ich języka, opowieści ani imion bogów, w których wierzyli. Wiemy jednak, że byli obcy. Przekroczyli Karpaty i założyli osadę w miejscu kontrolującym jeden z najważniejszych szlaków prowadzących przez góry. Następnie zrobili coś, czego nikt wcześniej na ziemiach dzisiejszej Polski nie robił. Wznieśli kamienne fortyfikacje.

Mur miał około dwóch metrów szerokości i prawdopodobnie trzy metry wysokości. Jego fasadę tworzyły wielkie, niekiedy obrobione bloki kamienne. Do środka prowadziły bramy, jedna monumentalna, druga, boczna, obrobiona sześcioma kamiennymi stelami. Trudno przecenić to, jak niezwykłym widokiem musiała być osada: kolejne duże, kamienne budowle pojawiły się na polskich ziemiach dopiero w średniowieczu, przeszło 2,5 tys. lat później.

Dla tubylców znad Dunajca to, co powstało na Górze Zyndrama w dzisiejszych Maszkowicach, musiało wyglądać jak dzieło bogów. Dziś powiedzielibyśmy – kosmitów. Ale bogowie faktycznie wraz z budowniczymi fortu mogli tutaj przybyć. Bo choć architektura osady była na naszych ziemiach tworem obcym, była zdumiewająco podobna do osad obronnych znanych z dzisiejszej Chorwacji czy Grecji. Wszystko sugeruje, że przynajmniej część jej założycieli przybyła z południa Europy.

Podczas wykopalisk archeolodzy odkryli m.in. dwie niewielkie figurki wykonane z gliny. Jedna przedstawia postać z rozłożonymi ramionami, druga prawdopodobnie kobietę z rękami uniesionymi ku górze. Jak pisała archeolożka Aleksandra Wójcik, figurki z Maszkowic wpisują się w tradycję znaną od Bałkanów po Morze Egejskie.

– Przynieśli ze sobą zapewne wczesną formę religii greckiej, z okresu, kiedy jej mitologia jeszcze nie była spisana – mówi Szymon Zdziebłowski, archeolog śródziemnomorski i dziennikarz „National Geographic", autor m.in. wydanej ostatnio książki „Bogowie Polski. Szamani, megality i zapomniane słowiańskie bóstwa".

– Na terenie Maszkowic odkryto figurki, które ukazują kobiety i jest bardzo prawdopodobne, że mają one przedstawiać boginki. Być może w wierzeniach tych ludzi kobiety odgrywały o wiele większą rolę, zanim nie pojawił się Zeus i wszystko pomieszał – dodaje archeolog.

A to oznacza, że jakaś proto-Hera, pra-Atena czy protoplastka Ariadny mogły być czczone na ziemiach polskich kilka tysięcy lat przed tym, jak pojawił się tu Perun, o chrześcijaństwie nie wspominając.

Próba zrozumienia tego, w co wierzyli ludzie, którzy nie zostawili po sobie świętych ksiąg, tabliczek czy nawet jednego, nędznego hieroglifu, może wydawać się zajęciem beznadziejnym.

– To trochę tak, jakby mieć cztery puzzle z zestawu, który ma sto elementów. Można próbować. Wiemy, że w coś wierzono, że funkcjonował jakiś rodzaj myślenia abstrakcyjnego, ale stworzenie pełnej mitologii jest absolutnie karkołomne – podkreśla Zdziebłowski.

Jego książka jednak ma być próbą nie tylko opisania zapomnianych bóstw, wierzeń i rytuałów Słowian, lecz przede wszystkim tych bezimiennych ludów, które ziemie Polski zamieszkiwały wcześniej. Nawet zanim nastała era *Homo sapiens*.

Kość z Dziadowej Skały

W 1953 r. archeolodzy pracujący w jaskini Dziadowa Skała w Jurze Krakowsko-Częstochowskiej odkryli niewielką, 11-centymetrową kość. Pozostałość, jak później ustalono, pochodząca z przedniej łapy młodego niedźwiedzia, nie była wyjątkowa sama w sobie, ale to, co naukowcy znaleźli na jej powierzchni – już tak.

Kość ozdobiona była 17 równoległymi nacięciami, wykonanymi w ciągu jednego dnia, jak wykazało badanie z 2024 r. zespołu prof. Tomasza Płonki z Uniwersytetu Wrocławskiego. Po co? „Te nacięcia nie mają żadnego utylitarnego uzasadnienia. Jest to jeden z nielicznych neandertalskich przedmiotów o charakterze symbolicznym" – mówił prof. Płonka portalowi Live Science.

Symbolicznym – czyli jakim? Co oznaczały nacięcia sprzed 130 tys. lat?

– Być może był to system jakiejś notacji, na przykład liczby zabitych zwierząt. Ale mogą być też związane ze sferą wierzeń. Należy pamiętać, że zdaniem naukowców w pradziejach nie było ostrej granicy między *sacrum* a *profanum* – wyjaśnia Zdziebłowski.

To, że neandertalczycy mieli jakiś rodzaj duchowości, nie jest już dziś stwierdzeniem szczególnie kontrowersyjnym. Choć z terenu Polski dysponujemy niemal wyłącznie krzemiennymi narzędziami wykonanymi przez tę populację, to znaleziska z innych części kontynentu budują obraz społeczności, która potrafiła troszczyć się o zmarłych i posługiwała się językiem. Kluczowe znaczenie wydawała się dla nich mieć ochra – krwistoczerwony barwnik mineralny, wydobywany przez ich przodków już 350 tys. lat temu. Ten pigment, zapewne symbolizujący życie i krew, stał się fundamentem rytuałów i sztuki, a jaskinie – miejsca ciemne, wilgotne i fascynujące – mogły służyć jako przestrzeń *sacrum*, gdzie wkraczano, by spotkać duchy przodków (grzebanych tam zresztą często) lub wczesne bóstwa.

Pierwsi mieszkańcy Polski

Homo neandertalensis żyli na terenie Polski przez ok. 200-250 tys. lat. *Homo sapiens* przybyli nad Wisłę mniej więcej 40 tys. lat temu. Wraz z nimi pojawia się coś, czego w materiale archeologicznym jest znacznie więcej niż w przypadku neandertalczyków: sztuka figuratywna, a więc taka przedstawiająca postacie. Jeżeli kość z Dziadowej Skały pozwala jedynie domyślać się istnienia myślenia symbolicznego, to niektóre znaleziska pozostawione przez *Homo sapiens* wyglądają tak, jakby od początku miały znaczenie wykraczające poza codzienne życie.

Najbardziej znane są tzw. Wenus. Niewielkie figurki kobiet znajdowano od Francji po Syberię, a kilkadziesiąt odkryto również na ziemiach Polski. Szczególnie ważne okazały się odkrycia w Wilczycach koło Sandomierza, gdzie archeolodzy natrafili na wykonane z krzemienia przedstawienia kobiet sprzed około 15 tys. lat.

Co oznaczały? Tego nie wiadomo. Były zbyt małe, by pełnić funkcję posągów, i zbyt pracochłonne, by uznać je za zabawki. Od ponad wieku badacze spierają się, czy były związane z płodnością, narodzinami, kultem przodków, czy może przedstawiały istoty nadprzyrodzone. ↦

Ślady neolitycznego rondela z piątego tysiąclecia p.n.e. na terenie zachodniopomorskiego Nowego Objezierza, 2021 r.

ROBERT STACHNIK / REPORTER

↦ Jedno jest pewne: ludzie, którzy je wykonywali, poświęcali czas i energię na tworzenie przedmiotów niemających praktycznego zastosowania.

– Nie były narzędziami, nie widać na nich śladów użytkowania. Ewidentnie było to coś o znaczeniu symbolicznym. Co ciekawe, praktycznie nie mamy odpowiadających im przedstawień mężczyzn – mówi Szymon Zdziebłowski.

Kolejna wielka zmiana nastąpiła kilka tysięcy lat później. Nie była związana z pojawieniem się nowych bogów, lecz nowych ludzi. Około 7,5 tys. lat temu na ziemie dzisiejszej Polski zaczęli napływać rolnicy wywodzący się z Anatolii. Przynieśli z sobą udomowione rośliny, zwierzęta, nowe technologie i zupełnie odmienny sposób życia.

– To była rewolucja dla Europy. Skala tej zmiany była ogromna – podkreśla Zdziebłowski.

Wraz z rolnikami pojawiły się stałe osady i pierwsze wielkie budowle. Lokalne odpowiedniki bardziej znanych megalitycznych struktur, takich jak angielskie Stonehenge, maltańskie Ggantija i Ħaġar Qim czy irlandzki Newgrange. Pierwszym mieszkańcom ziem Polski też nie brakowało rozmachu, tylko wybrany przez nich materiał okazał się mniej trwały.

– To tzw. rondele. W naszych czasach niewiele po nich zostało, bo były wykonane z drewna. Ale potrafimy określić, jaki miały zarys – mówi autor „Bogów Polski". – Wiemy, że miały kilkadziesiąt, czasem nawet sto metrów średnicy. Składały się z wałów i drewnianych ścian. Mogły być świątyniami, co oznaczałoby, że są starsze od Stonehenge nawet o kilka tysięcy lat. Ale mogły również stanowić miejsca zebrań, rodzaj publicznej przestrzeni dla okolicznych mieszkańców – dodaje.

Kujawskie piramidy

Jeszcze wyraźniej mieszanie się *sacrum* i *profanum* widać w przypadku monumentalnych grobowców kujawskich, czasem nazywanych „polskimi piramidami". Nazwa jest efektowna, choć myląca. Nie przypominają one egipskich piramid, lecz ogromne wydłużone konstrukcje ziemno-kamienne, niekiedy osiągające ponad sto metrów długości. Ich budowa wymagała zaangażowania całych społeczności. Przez długi czas postrzegano je jako miejsca pochówku. Dziś coraz więcej wskazuje na to, że były czymś znacznie więcej.

W grobach z pierwszych wieków naszej ery na ziemiach polskich odkryto ceramiczne skarabeusze i inne przedmioty pochodzące z Egiptu, **prawdopodobnie używane jako magiczne amulety.**

– To nie były tylko grobowce. To były centra ceremonialne. Przed nimi znajdowały się wielkie place, gdzie prawdopodobnie odbywały się rytuały i spotkania związane z kultem przodków. Niektóre grobowce kujawskie przypominają kształtem domy pierwszych rolników. Według części badaczy budowle przeznaczone dla zmarłych miały nawiązywać do domostw przodków, podkreślając więź między światem żywych i umarłych – tłumaczy Zdziebłowski.

Pradziejowe ziemie Polski nie były też odizolowaną od świata prowincją. W grobach z pierwszych wieków naszej ery archeolodzy odkryli ceramiczne skarabeusze i inne przedmioty pochodzące z Egiptu lub wzorowane na egipskich amuletach.

– Czy oznacza to, że czczono tutaj boga Ra? To już znacznie trudniejsze pytanie. Ale pokazuje to, że wraz z ludźmi i towarami podróżowały również symbole oraz idee – zauważa Zdziebłowski.

Zmierzch starych bogów

Archeolodzy przypuszczają, że wiele ważnych dla dawnych społeczności miejsc pozostawało świętych przez stulecia, a nawet tysiąclecia. Góry, źródła, jeziora czy samotne głazy mogły wielokrotnie zmieniać swoich opiekunów. Zmieniały się religie, ale niekoniecznie miejsca, w których ludzie próbowali kontaktować się z tym, co nadprzyrodzone.

Z tej perspektywy słowiańscy bogowie okazują się nie początkiem, lecz końcem opowieści. Gdy Perun, Weles czy Świętowit pojawiają się w źródłach historycznych, ziemie dzisiejszej Polski mają już za sobą setki pokoleń ludzi wierzących w siły nadprzyrodzone.

O samych słowiańskich bogach wiemy zresztą zaskakująco niewiele. Nie zachowały się żadne święte księgi ani rodzime mity spisane przed chrystianizacją. Informacje pochodzą głównie z relacji obcych kronikarzy oraz średniowiecznych autorów chrześcijańskich. To oni wspominają o Perunie, bogu piorunów, Welesie związanym ze światem zmarłych czy Świętowicie czczonym na Rugii. Nawet w ich przypadku badacze nie są zgodni, jak wyglądał słowiański panteon i które bóstwa były rzeczywiście czczone na ziemiach dzisiejszej Polski.

A potem pojawiło się chrześcijaństwo. Chrzest Mieszka I w 966 r. bywa przedstawiany jako moment, w którym jeden świat nagle zastąpił drugi. W rzeczywistości proces ten trwał znacznie dłużej. Jeszcze ponad sto lat później dochodziło do buntów przeciw nowej religii. W latach 30. XI w. podczas tzw. reakcji pogańskiej niszczono kościoły i występowano przeciw chrześcijańskim elitom. Dla części mieszkańców kraju dawni bogowie najwyraźniej wciąż byli realni.

Jak zauważa Zdziebłowski, dla wyznawców religii politeistycznych nowe bóstwo nie było początkowo szczególnym problemem.

– Wyznawcy starych bogów mogli przyjąć z początku, że chrześcijaństwo wprowadza jeszcze jedno, nowe bóstwo – mówi Zdziebłowski.

Dawni bogowie nie zniknęli więc wraz z chrztem Mieszka I. Jeszcze przez stulecia chrześcijańskie modlitwy mieszały się ze starszymi obrzędami, a historycy mówią wręcz o okresie dwuwiary. W źródłach kościelnych z XII i XIII w. wciąż pojawiają się skargi na pogańskie praktyki, wróżby, kult świętych drzew czy składanie ofiar przy źródłach i jeziorach.

Pogańskie bóstwa odchodziły powoli. Jedne zmieniały się w demony z ludowych podań, inne rozpływały się w nowych świętach i zwyczajach. Większość po prostu została zapomniana.

Po tysiącach lat pozostały po nich tylko ślady: kilka figurek, monumentalne grobowce, zagadkowe budowle i kość młodego niedźwiedzia pokryta siedemnastoma nacięciami. Niewiele, ale wystarczająco, by mieć pewność, że historia religii na ziemiach Polski zaczęła się na długo przed Perunem.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI



POLIN Muzeum Historii Żydów Polskich

WYSTAWA CZASOWA

HELENA RUBINSTEIN

Piękno jest twoim przeznaczeniem

17.06.2026 – 07.09.2026

Organizator

POLIN Muzeum Historii Żydów Polskich

Wspólna instytucja kultury

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego · Warszawa · Stowarzyszenie Żydowski Instytut Historyczny w Polsce

Mecenas Muzeum: ORLEN

Sponsor strategiczny Muzeum: tvn | Warner Bros. Discovery

Przewoźnik Muzeum: LOT

Patroni medialni

zwierciadło · sens · VOGUE · Newsweek · VIVA! · 30 onet

REKLAMA

Kraków

PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW MIASTA KRAKOWA

KONCERTY KLUBOWE

PIWNICA POD BARANAMI 21:00

01.07. Szymon Mika Trio
02.07. Krzysztof Ścierański Quartet
03.07. Bernard Maseli & Rasm Al Mashan
04.07. Hildegarde Wenzlawa Quartet (France)
05.07. Old Metropolitan Band
06.07. Simona de Rosa (Italy) & Confusion Project
07.07. Marek Bałata - Dominik Wania
08.07. Adam Kawończyk Quartet
09.07. Jacek Kochan, Dominik Wania, Maciek Adamczak - NAK Trio
10.07. Heartbeats - Mateusz Pałka, Grzegorz Pałka oraz Szymon Mika
11.07. Duo Migrantes (Italy)
12.07. Hania Derej Trio
13.07. Dorota Miśkiewicz & Marek Napiórkowski
14.07. Marek Napiórkowski Trio
15.07. Mike del Ferro Trio (Netherlands)
16.07. Charis Ioannou Trio (Cypriot Jazz Days)
17.07. Dimitris Miaris Internat. Quartet (Cypriot Jazz Days)
18.07. Marious Charalampous Quartet (Cypriot Jazz Days)
19.07. Andy Middleton (USA) & Piotr Wyleżoł
20.07. Andrzej Olejniczak Quartet
21.07. Tomasz Chyła Quintet
22.07. Piotr Orzechowski Trio
23.07. Leszek Kułakowski Trio
24.07. Pietro Lazazzara Gypsy Jazz Quintet (Italy)
25.07. Mike Parker Quartet (UK)
26.07. Iza Zając & Piotr Rodowicz Trio
27.07. John Daversa & ACM Trio (USA/Slovakia)
28.07. Włodzimierz Nahorny Trio
29.07. Mariusz Bogdanowicz Quartet feat. Piotr Schmidt
30.07. Dominik Żydzik Trio - Laureat Konkursu Śmietany
31.07. Boba Jazz Band

KONCERTY KLUBOWE

HARRIS PIANO JAZZ BAR 21:30

01.07. Little Egoists
02.07. Chuck Frazier Trio (USA)
03.07. DBD Trio
04.07. Marian Pawlik Quartet
05.07. Conservatori Jazz Trio (Spain)
06.07. Miłosz Bazarnik Quartet
07.07. Mili Morena Show (Cuba)
08.07. Jam session
09.07. Nita Aartsen feat. Alexander (Indonesia)
10.07. Keith Thompson Band (UK)
11.07. Nat Osborne & Mike Parker (USA)
12.07. Kuba Płużek Quartet
13.07. Grzegorz Masłowski Quintet
14.07. Andre Bachleda - Climate Change
15.07. Jam session
16.07. Wojciech Groborz 4
17.07. Marios Charalampous Quartet (Cypriot Jazz Days)
18.07. Moca The Band (Cypriot Jazz Days)
19.07. Kajetan Galas Organ Spot
20.07. Accordi Disaccordi (Italy)
21.07. Ostaniec
22.07. Jam session
23.07. Alan Wykpisz Quartet
24.07. Gabriel Niedziela Quartet
25.07. Marek Piowczyk Trio
26.07. Pawel Wlosok Quartet (Czech Republic)
27.07. Marcin Ślusarczyk Quartet
28.07. Last Night Poems - Escaubei & company
29.07. Jam session
30.07. New Bone
31.07. Prince Jean Pierre

GLOBUS MUSIC CLUB 19:30

02.07. Hot Swing
03.07. Hildegarde Wenzlawe Quartet (Francja)
04.07. Groovosophers
09.07. Janusz Witko Quartet
10.07. Nita Aartsen feat. Alexander (Indonesia)
11.07. Cezariusz Gadzina Quartet
16.07. Mike del Ferro Trio (Holland)
17.07. Moca The Band (Cypriot Jazz Days)
18.07. Dimitris Miaris International Quartet (Cypriot Jazz Days)
23.07. Marek Batorski - Jazz Paintings
24.07. Duo gitarowe Krzysztof Fetraś - Tomasz Król
25.07. Mili Morena Latin Show (Cuba)
30.07. Małgorzata Zuber & Kajetan Galas Trio
31.07. Ela Kulpa & Company w programie „Starsi Panowie”



PAT METHENY SIDE-EYE III+
27.06.2026 20:00
CENTRUM KONGRESOWE ICE KRAKÓW



JAN GARBAREK GROUP FEAT. TRILOK GURTU
28.06.2026 20:00
KINO KIJÓW



KENNY GARRETT QUINTET
21.07.2026 19:00
KINO KIJÓW

1996 — 2026



NICHOLAS PAYTON TRIO
25.07.2026 19:00
MUZEUM MANGGHA

KONCERTY INAUGURACYJNE

WIĘCEJ INFORMACJI NA WWW.SUMMERJAZZ.PL

Krakow lovesMiles

ORGANIZATOR: MyPolishHeart
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury w ramach programu „Muzyka”, realizowanego przez Narodowy Instytut Muzyki i Tańca
PARTNERZY WYDARZENIA:
Galeria Kazimierz
Lexus Kraków-Zakopianka
Kraków Congress Centre
Agencja Rozwoju Miasta Krakowa
Filharmonia Krakowska
Instytucja Kultury Województwa Małopolskiego
Małopolska
Projekt zrealizowano przy wsparciu finansowym Województwa Małopolskiego
Instituto Cervantes
Istituto Italiano di Cultura
Austriackie Forum Kultury

SUMMER® JAZZ FESTIVAL KRAKOW

edycja XXXI 2026



NIEDZIELA NOWOORLEAŃSKA

05.07. NIEDZIELA NOWOORLEAŃSKA

12:00 – 16:00 Koncerty w kawiarenkach na Rynku Głównym: Old Metropolitan Band, Playing Family, Hot Swing, Boba Jazz Band

17:00 Parada Nowoorleańska z Rynku Głównego na Plac Szczepański

17:30 – 20:00 Koncert główny na Placu Szczepańskim: European Saxophone Ensemble, Playing Family + Marek Bałata, Aperitivo Italiano (Italy), Conservatori Jazz Trio (Spain)

KONCERTY KLUBOWE

ALCHEMIA 20:00*

10.07. Duo Migrantes (Italy)
17.07. Charis Ioannou Trio
Photo Exhibition(Cypriot Music Days)
23.07. Alpha Trianguli (Austria)
27.07. Tal Cohen Trio feat. John Daversa (USA) 19:00*
29.07. WYRNAS: duet na głosy i basy Grzegorz Karnas - głos, Adam Wykpisz - basy
06.08. Kwartet ONE

KLUB POD JASZCZURAMI 20:00

05.07. Aperitivo Italiano (Italy)
07.07. Just Jazz Quintet
14.07. Keith Thompson Band (UK)
21.07. Lossen - Tribute to Janis Joplin
28.07. Benefis Marka Stryszowskiego Electric Shepherd/Little Egoists

UNA - KLUBOKSIĘGARNIA PWM 19:00

06.07. Tomasz Białowolski Trio
13.07. Mateusz Gawęda Solo Piano
20.07. Trio Felice Nowo - F. Nowowiejski: Tomasz Kudyk, Mateusz Pałka, Maciej Adamczak
27.07. Kuba Derej Solo Piano
03.08. Recital Agnieszki Grochowicz
10.08. Duet gitarowy - Karol Ferfecki & Piotr Domagała
17.08. Kuba Płużek & Przemek Sokół
24.08. Zuza Baum & Bartek Leśniak
31.08. Adam Pierończyk Solo

GALERIA UFO 19:30

01.07. Mateusz Barski z zespołem
08.07. Justyn Małodobry z zespołem
15.07. Czesław Minkus z zespołem

KONCERTY SPECJALNE

26.07.2026 20:00
RADIO KRAKÓW
HENRYK MIŚKIEWICZ QUARTET PAMIĘCI JERZEGO „DUDUSIA” MATUSZKIEWICZA W 5. ROCZNICĘ ŚMIERCI

16.08.2026 20:00
MUZEUM MANGGHA
„PIOSENKI KOMEDY BEZ SŁÓW” PIOTR SCHMIDT QUINTET FEAT. GRZECH PIOTROWSKI

21.08.2026 20:00
RADIO KRAKÓW
ROBY LAKATOS & SZYMON KLIMA QUARTET „GYPSY LOVE”

WYDARZENIA PLENEROWE

GALERIA KAZIMIERZ 19:00

28.06. Mili Morena Cuban Show
04.07. Crazy Fingers
11.07. Elokwencja Kwartet
18.07. Lossen - Tribute to Janis Joplin
25.07. Smoke & Blues
01.08. Magda Hanausek & Soul Finger
08.08. Maciej Kłeczek & przyjaciele
15.08. Jacek Dewódzki & Jacki
22.08. Old Metropolitan Band
29.08. Fortet Latin Jazz

TAJEMNICZY OGRÓD 18:00

01.07. Magda Bożyk Quintet
08.07. Magda Hanausek & Soul Finger
15.07. Tadeusz Pocieszyński Trio
22.07. Maciej Kłeczek i przyjaciele
29.07. Tadeusz Leśniak - Jacek Polakiewicz

ZAMEK W RUDNIE 18:00

04.07. Chuck Frazier Trio (USA)
11.07. Keith Thompson Band (UK)
18.07. Mili Morena Cuban Show
25.07. Pietro Lazazzara Gypsy Jazz Quintet (Italy)

WILLA DOMAŃSKICH W NAWOJOWEJ GÓRZE 19:00

14.08. Potańcówka „Era Swingu” Old Metropolitan Band

SCENA MŁODYCH

SCENA MŁODYCH PAŁAC POTOCKICH 19:00

07.07. Szymon Wojnarowicz Trio
14.07. Weronika Pajor Band
21.07. Damian Borowski Quintet
28.07. Studenci Katedry Jazzu Akademii Muzycznej w Krakowie
04.08. Jazzowe Debiuty Festiwalowe
11.08. Jazzowe Debiuty Festiwalowe
18.08. Jazzowe Debiuty Festiwalowe
25.08. Jazzowe Debiuty Festiwalowe

KONCERTY W HOTELACH

RADISSON BLU HOTEL 20:00

04.07. Gosia Markowska Band
05.07. Hot Strings Trio

KONCERTY W HOTELACH

SHERATON KRAKÓW HOTEL 20:00

05.07. The European Saxophone Ensemble
02.08. Ela Kulpa Band: Hollywood Evening. Piosenki z Fabryki Snów.

TRIBE KRAKÓW OLD TOWN HOTEL 20:00

03.07. Ela Kulpa Trio
11.07. Nita Aartsen & Alexander (Indonesia)
12.07. Nita Aartsen & Alexander (Indonesia)

KLUB HEDWIG'S STRADOM HOUSE 19:30

20.08. YaniKa Soul Session Trio

HOLIDAY INN KRAKOW CITY CENTRE 19:00

12.07. Mark Cool & Keith Thompson Blues Band

SOLO PIANO WEEK

SOLO PIANO WEEK FILHARMONIA KRAKOWSKA 18:00

24.08. Wojciech Niedziela
25.08. Dominik Wania
26.08. Włodek Pawlik
27.08. Mateusz Pałka
28.08. Adam Makowicz

KRAKÓW SPIRITUAL MUSIC DAYS

KRAKÓW SPIRITUAL MUSIC DAYS

ALCHEMIA 20:00

24.08. Piotr Damasiewicz Project
25.08. Psalmy - Piotr Orzechowski & Natalia Kordiak
26.08. Horntet
27.08. Jorgos Skolias

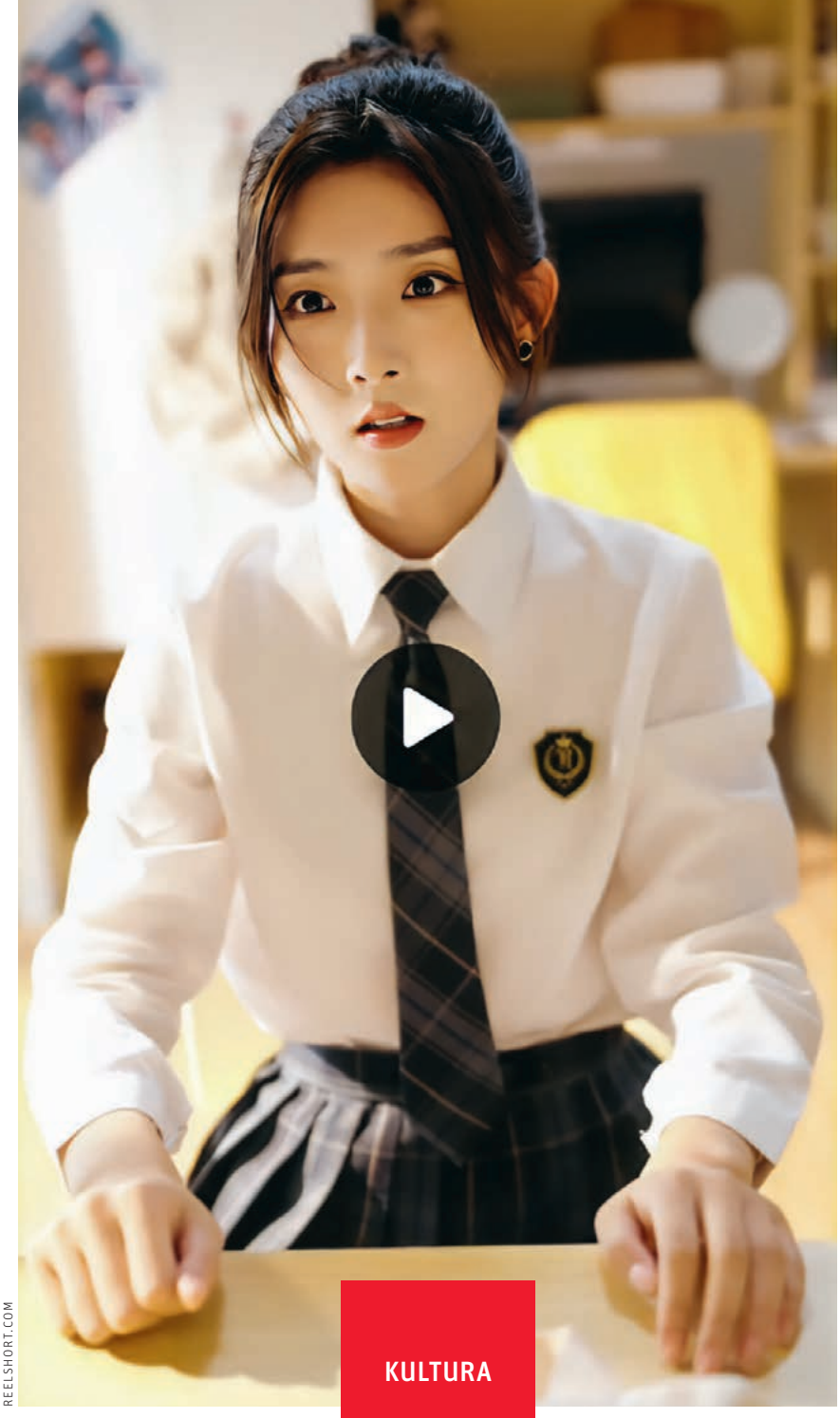
28.08.2026 19:00
MUZEUM MANGGHA
TREBUNIE TUTKI & KRZYSZTOF ŚCIERAŃSKI

29.08.2026 19:00
FILHARMONIA KRAKOWSKA
LORA SZAFRAN & JAN PIWOWARCZYK Z ZESPOŁEM „TRIBUTE TO JAZZ VOCAL”

BILETY DOSTĘPNE NA TICKETMASTER.PL ORAZ W BIURZE ORGANIZATORA PRZY UL. KARMELICKIEJ 52/1 W KRAKOWIE. TEL. 12 357 69 22/662 035 357

MATERIAŁ PARTNERA

FAZIOLI Silesia dwójka TVP KRAKÓW wyborcza.pl Radio Kraków jazz forum PWM EDITION ruch muzyczny TYGODNIK POWSZECHNY KRAKÓW i ŚWIAT Kossak Orangerie Radisson park inn GRAND ASCOT SHERATON GRAND TRIBE cracovia music agency



REELSHORT.COM

KULTURA

TO JEST DRAMA

Gdyby TikTok, latynoskie telenowele i „365 dni” miały mieć dziecko, byłyby nim short-dramy. Trend rodem z Chin zmienia to, co oglądamy w streamingu.

SYLWIA CZUBKOWSKA

Kiedy w Chinach wybuchła pandemia, ludzie zamknięci w domach potrzebowali czegoś dla zabicia czasu. Tak wyłonił się rynek prostych, emocjonalnych mikroseriali do oglądania na smartfonach.

Kilka lat później znani polscy aktorzy – Paweł Małaszyński i Anna Cieślak – przekazali swoje wizerunki do stworzenia awatarów AI na potrzeby serialu dla polskiej aplikacji, która takie mikrodramy rozwija.

Będące gigantami globalnej rozrywki chińskie aplikacje z amerykańskimi produkcjami o jakże obrazowych tytułach „Mój Alfa zrobił mi trojaczki”, „Przypadkowy seksting z wrogiem” czy „Nienawidzę i kocham mojego przyrodniego brata” po cichu, bez żadnej kampanii promocyjnej, zdobyły milionową widownię również w Polsce.

Czytelniku, jeżeli po tych kilku akapitach czujesz się zagubiony, to jest to dokładnie taki stan, w jaki widza wprowadzają mikrodramy, nazywane też short-dramami lub wertikalami. Witaj w świecie wartego dziesiątki miliardów dolarów rynku, który zmienia branżę filmowo-serialową tak, jak TikTok zmienił platformy społecznościowe.

Duanju, czyli romans

Zacznijmy tę opowieść jeszcze raz. Wszystko zaczęło się kilka lat temu od nagłej popularności chińskich „pionowych” seriali, nazywanych *duanju*. To słowo znaczy dosłownie „krótka fraza” czy „krótkie zdanie” i takie są właśnie te produkcje: króciutkie, zazwyczaj mieszczące jedną scenę, łączące się w zamkniętą opowieść. *Duanju* zrodziły się jako kontynuacja popularnych internetowych powieści, publikowanych od przeszło dwóch dekad głównie w serwisie Qidian.

Pierwsze, jeszcze bardzo amatorskie wideo-*duanju*, zaczęły powstawać od 2013 r. na platformach takich jak Youku i Tudou, by następnie trafić na Douyin (czyli chińskiego TikToka) oraz Kuaishou. W 2023 r. skala zainteresowania, a więc i produkcji, zaczęła osiągać poziom przemysłowy: *duanju* przeniosły się na wyspecjalizowane tylko w nich aplikacje, takie jak GoodShort czy DramaBox.

Mikrodramy przypominają niskobudżetowe filmy fabularne, ale są kręcone w pionie i dzielone na odcinki trwające około minuty. Fabuła z zasady koncen-

truje się wokół romansu, współczesnego, historycznego lub fantastycznego. Obsada jest niewielka, podobnie jak budżety na kostiumy czy scenografię. Jednocześnie są to produkcje znacznie bardziej profesjonalne niż typowe filmiki z TikToka: wykorzystują efekty specjalne, montaż i reżyserię.

– Idealne, by widz mógł je scrollować, stojąc w kuchni nad gotującym się makaronem, w autobusie do pracy, w przerwie na lunch. Zupełnie jak tik-toki. Tyle że dodatkowo każdy odcinek kończy się jakimś dramatycznym zwrotem, cliffhangerem, który zachęca, by obejrzeć kolejny i kolejny. Po kilku pierwszych za darmo, kolejne już są płatne. By dotrzeć dalej, trzeba obejrzeć wiele długich reklam albo po prostu zapłacić, i to sporo. Bo te opłaty bywają wyższe niż subskrypcje za potężne streamingi – tłumaczy Łukasz Wysocki, szef butikowej agencji mediowo-technologicznej MediaSpurs.

Ta dopaminowa pętla, połączona ze świetnym badaniem widzów i tego, jak się zachowują – przy którym odcinku odpadają, kiedy decydują się na subskrypcję, jak musi się zakończyć odcinek (kiedy bohater jest policzkowany, to oprócz bólu i zaskoczenia na twarzy najlepiej, by upadł na kolana, bo to wzbudza więcej emocji) – pozwoliło na stworzenie rozrywki, która momentalnie przerodziła się w wielki biznes.

Już w 2023 r. mikrodramy oglądało nawet 600 milionów użytkowników, czyli ponad połowa chińskich internautów, dla których rozrywki wyprodukowano aż 50 tys. tytułów! Przemysł osiągnął tempo produkcji porównywalne z telewizją, ale przy wielokrotnie krótszym cyklu realizacji i znacznie niższych kosztach. Wkrótce rynek mikrodram zaczął wchodzić w fazę pełnej komercjalizacji i dominacji nad tradycyjnymi formami dystrybucji treści.

W rok urósł o ponad jedną trzecią, a mikrodramy wygenerowały większe przychody niż cały chiński *box office* kinowy. Produkcja filmów o romansach bajecznie bogatych CEO z niewinnymi stażystkami lub wieśniaczkami, opowieści o seksprzygodach dawnych cesarzy i ich konkubin, o porywanych dzieciach, traconym majątku, zdradach, zemstach, demonach, wilkołakach i wampirach tak się rozkręcała, że wielkie centra handlowe, które w czasie pandemii zbankrutowały, zaczęto zamieniać na hale nagraniowe, w których niczym z taśmy schodzą kolejne setki filmów nagrywanych pionowo, czyli dopasowanych pod ekrany smartfonów.

W ciągu kilku lat Chiny stworzyły więc prężny segment przemysłu kreatywnego, z takim tempem wzrostu, że mikrodramy stały się jednym z najbardziej dynamicznych modeli biznesowych współczesnej gospodarki cyfrowej.

Made in China

Nic dziwnego, że szybko zaczęła się ich międzynarodowa ekspansja. Przede wszystkim do USA i samej fabryki snów, czyli Hollywood.

Za to, jak trend na mikrodramy rozlał się po świecie, odpowiada przede wszystkim Joey Jia. Ten założyciel i prezes firmy Crazy Maple Studio nie wywodzi się z tradycyjnej branży filmowej. Wcześniej rozwijał produkty związane z cyfrowym storytellingiem i monetyzacją własności intelektualnej, w tym aplikację z interaktywnymi powieściami Chapters. I właśnie w oparciu o te powieści w odcinkach dostrzegł ogromny potencjał mikrodram i postanowił przenieść ten model do USA. Gdy nie znalazł tradycyjnych dystrybutorów zainteresowanych tak krótką formą, stworzył własną platformę, czyli ReelShort.

I zrobił to w najlepszym możliwym momencie: gdy tradycyjny przemysł filmowy i telewizyjny zmagał się ze strajkiem aktorów i scenarzystów w 2023 r. Na mocno poobijanym rynku pojawiła się alternatywa zarobkowa dla rzeszy jeszcze nierozpoznawalnych aktorów, influencerów z aktorskimi ambicjami i bezrobotnych ekip.

Chwyciło. Może nie było ambitnie, ale produkcje były sprawne, szybkie, płaciły na czas. W dodatku widzów przybywało tak szybko, że wokół nowych aktorów zaczęła rosnąć w socialach rzesza fanów, która zaczęła z nich robić międzynarodowe gwiazdy. W efekcie poza Chinami globalny rynek mikrodram wygenerował 1,4 mld dolarów w 2024 r. i prognozuje się, że osiągnie 9,5 mld dolarów do roku 2030. Jeśli te estymacje się potwierdzą, short-dramy mogą wkrótce stanowić niemal jedną piątą całego rynku filmowego na świecie.

Najpopularniejszą aplikacją oferującą jest w tym świecie wspomniany ReelShort, który oficjalnie twierdzi, że został już pobrany 370 mln razy. Tylko w amerykańskim App Store tych pobrań w ubiegłym roku miał 38 mln, wyprzedzając pod tym względem nawet Netfliksa. Całkowite wydatki konsumentów na ReelShort miały osiągnąć 1,2 mld dol. w 2025 r., co czyni ją najwyżej monetyzowaną platformą z wertykalnymi produkcjami na świecie. A to tylko jedna z dziesiątek propozycji z takim kontentem. DramaBox, GoodShort, DramaWave... niemal co tydzień pojawia się kolejna apka.

I choć mikrodramy już w najlepsze produkowane są w Kalifornii, to Chiny stoją za nimi nie tylko jako źródło inspiracji, lecz także zaplecze biznesowe. Spółka-matka ReelShort, czyli Crazy Maple Studio, od początku jest kontrolowana przez COL Group, jednego z największych chińskich wydawców powieści cyfrowych, na podstawie których zaczęto kręcić *duanju*. DramaBox, GoodShort, ShortMax, FlexTV również zakładały chińskie firmy lub przedsiębiorcy pochodzący z Chin, nawet jeśli dziś posiadający spółki zarejestrowane w Stanach, Singapurze czy Hongkongu.

Wszystkie one skutecznie eksportują chiński model produkcji treści wideo pod nowy model streamingu, czerpiący pełnymi garściami z gospodarki uwagi. Oraz z możliwości obniżania kosztów.

200 seriali rocznie

Za wyprodukowanie jednego serialu wertykalnego płaci się w Stanach ok. 300 tys. dolarów. Dla porównania jeden odcinek serialu Netfliksa to koszt między 6 a 10 mln dolarów, i to w przypadku zwykłych produkcji. Bo takie jak „Stranger Things", to już 30 mln za odcinek.

W przypadku mikrodram jest tanio, a może być jeszcze taniej. Wraz z ekspansją generatywnej AI można dalej ciąć wydatki i wykorzystywać sztuczną inteligencję do tworzenia muzyki, wstawek między odcinkami pokazujących miejsce akcji, tłumaczeń – tak napisów, jak i dubbingów na kolejne języki (polski jest dostępny już od kilku miesięcy), a nawet generowania całych produkcji bez konieczności zatrudniania ludzkich, choćby i amatorskich aktorów.

Kiedy niecały rok temu o short-dramy rozpytywałam wśród polskich ekspertów od streamingu i telewizji, wzruszali ramionami. Owszem, coś było słychać ↦

↦ ze świata, ale to wciąż był tylko niszowy i mocno cringe'owy trend, poniżej widoczności w jakichkolwiek polskich statystykach.

– I wtem ta nisza stała się mainstreamem. Najnowsze dane, które niedawno pokazał Nielsen, nie pozostawiają złudzeń: ReelShort w Polsce zdobył na komórkach wynik sięgający połowy odbiorców Netfliksa – podkreśla Łukasz Wysocki. Joanna Nowakowska ze ScreenLovers też z zaskoczeniem odnotowała te dane, dodatkowo podając, że według PBI/Megapanelu do tej aplikacji co miesiąc wchodzi 1,9 mln Polaków i spędza w niej średnio 5,5 godziny miesięcznie.

– W pierwszej setce aplikacji pobieranych w Apple Store i Google Play kolejne apki z wertikalami są wysoko – dodaje Wysocki. – Widać, że weszły do Polski na masową skalę. Co zresztą było do przewidzenia. Po pierwsze, te firmy inwestują ogromne środki na reklamy na platformach, więc skutecznie docierają do widza, czy raczej widzek, bo tych jest ok. 80 proc. wśród odbiorców. Po drugie, polski rynek jest bardzo chłonny na wszelkie nowości technologiczno-rozrywkowe, więc jest często traktowany jako testowy – mówi ekspert.

Ale nie tylko Polska jest na tym celowniku. Kiedy rozmawiamy, Wysocki jest właśnie w Dubrowniku na konferencji NEM 2026, skupiającej profesjonalistów z sektora telewizji, streamingu, reklamy i technologii medialnych w regionie Europy Środkowo-Wschodniej. Temat wertikali mocno się tam przewija.

– Nic dziwnego, że wszyscy zerkają w tę stronę, skoro największe firmy streamingowe i technologiczne otwarcie inwestują w mikrodramy. To już nie jest przyszłość, to bieżący stan gry – podkreśla Wysocki.

I faktycznie: Fox Entertainment zainwestował niedawno w platformę mikrodram Holywater (My Drama), w ramach której ma zamiar produkować rocznie ponad 200 seriali wertykalnych. W start-up GammaTime założony przez byłych szefów Miramax i menedżerów z Google pieniądze włożyły gwiazdy Kim Kardashian i Kris Jenner.

Łagodniej – bo bez inwestycji w osobne produkty – podeszły Disney i Netflix. Disney+ wprowadził w USA funkcję „Verts", czyli nową opcję w aplikacji mobilnej, w której użytkownicy mogą przewijać krótkie klipy z seriali i filmów w sposób bardziej przypominający TikToka niż tradycyjną usługę subskrypcyjnego streamingu. Netflix testuje funkcje wideo w formacie pionowym w swojej aplikacji mobilnej.



REELSHORT.COM

Tu i na sąsiednich stronach kadry z short-dram

WOW „Krzyżacy"

Marcin Perzyna – choć zastrzega, że prywatnie jego światem jest bardziej opera i teatr – ma ambicję być polskim Joeyem Jia. Zanim ReelShort z serialami o wampirach, wilkołakach, CEO i kowbojach mających romanse z dziedziczkami wypuścił polski interfejs i polskie dubbingi, Perzyna rozwijał aplikację WOW.

Uruchomiona na początku 2022 r., początkowo skupiała się na programach ze stand-uperami, w tym tak znanymi jak Rafał Pacześ czy Łukasz „Lotek" Lodkowski. Te programy wciąż tam są, podobnie jak klasyki polskiego kina czy półamatorskie seriale komediowe.

– Tak naprawdę WOW wymyśliłem i zacząłem nad nią pracę, zanim pojawił się Netflix, tylko miałem ograniczone możliwości inwestycyjne, a polski kapitał nie był jeszcze gotowy na rozmowy na ten temat. Za to trend mikrodram był tak widoczny, że przeoczenie go byłoby ślepotą na zachodzące zmiany. I czy nam się podoba to, jak są skonstruowane takie

produkcje, o czym opowiadają, jak są zagrane, nie zatrzymamy tego zjawiska. Tak jak nie zatrzymano TikToka, choć początkowo wszystkim się wydawało, że to tylko krótka moda – mówi Perzyna, opowiadając, jak w ramach swojej aplikacji postanowił popłynąć na wertykalnej fali.

– Skoro ludzie chcą oglądać, to czemu mamy dać się zalać tylko chińskim aplikacjom z amerykańskimi treściami. Przecież możemy mieć własną ofertę i to testującą różne gatunki – tłumaczy.

Polskie płynięcie na fali to takie produkcje jak „Niebezpiecznie blisko", w którym „Anka, młoda studentka prawa, dorabia w kawiarni, by utrzymać się na studiach. Przypadkowe spotkanie z niebezpiecznie przystojnym i bezwzględnie bogatym biznesmenem Matim odmienia jej życie. Gdy przez niefortunny wypadek niszczy jego koszulę wartą fortunę, staje przed ultimatum: nierealna spłata długu albo niemoralna propozycja". Jest tu także „Granica namiętności", czyli „psychologiczny thriller o związku wystawionym na próbę. Maja i Adam przyjeżdżają do ekskluzywnego hotelu dla par, licząc na romantyczny weekend i odzyskanie bliskości".

Perzyna przez lata był dyrektorem ds. projektów specjalnych i impresariatu Polsatu, dla którego wymyślił i produkował festiwal TOPtrendy. Był także odpowiedzialny za wprowadzanie na polski rynek takich formatów telewizyjnych jak „Must Be the Music – Tylko muzyka", a obecnie wraz z TVN produkuje sierpniowy festiwal w Sopocie. Od kilku lat stawia na WOW.

– Zamiast kupować kolejne mieszkania, jak to się w Polsce robi w środowiskach start-upowych, wszystko od lat inwestuję w tę platformę i rynek internetowy skierowany do młodego widza. I oczywiście, że mikrodramy to nie jest produkt dla mnie i dla pani. Ale dzięki popłynięciu na tej fali mogę produkować też nowatorskie, ambitne projekty. Przecież w WOW ukazał się pierwszy całkowicie wykonany w AI serial historyczny „Wojna1939.pl Prequel", oparty na bestsellerze Marcina Ciszewskiego. A to i tak jest dopiero początek tego, co dzięki AI możemy zrobić – mówi Perzyna i wyciąga smartfon z kilkuminutowym wideo.

Widzę na nim kilka ujęć z właśnie przygotowywanej dla WOW ekranizacji „Krzyżaków". Po angielsku, całkowicie wygenerowane przez sztuczną inteligencję. – To dopiero pierwsze sceny, w ramach których pracujemy nad najtrudniejszymi elementami, takimi jak naturalność postaci, światło, oddawanie charakterystyki przesłon obiektywów. Na późną jesień powinniśmy zdążyć z całym materiałem.

Gdy widzi moje zaskoczenie tempem prac nad ekranizacją potężnej powieści, dopowiada: – To przyszłość tej branży. AI dla nas to narzędzie, dzięki któremu możemy jako producenci realizować projekty, na które z powodów finansowych nie można byłoby sobie w Polsce pozwolić. Dodatkowo przez smartfony mamy szansę na zdobycie globalnej publiczności. To przestawia zasady gry w całej branży.



REELSHORT.COM

Mikrodramy trzymają się mocno

- W samych Chinach mikrodramy ogląda ponad **830 MLN WIDZÓW**, z czego niemal **60 PROC.** płaci za treści.
- W 2021 r. cały chiński rynek mikrodram był wyceniany na **PÓŁ MILIARDA DOLARÓW**.
- W 2025 r. wart jest ponad **7 MLD** dolarów (przy okazji tworząc ok. **600 TYS.** miejsc pracy).
- Do roku 2030 ma osiągnąć **12 MLD** dolarów wartości.

RAPORT „THE MICRO-DRAMA ECONOMY"

Nasze awatary

W to poprzestawianie zasad mocno wierzy Andrzej Nejman, aktor najbardziej znany z roli Waldka ze „Złotopolskich", przez lata dyrektor Teatru Kwadrat w Warszawie, a od kilku miesięcy także właściciel studia produkcyjnego, które dla WOW stworzyło serial „Project Mirage".

Serial daleki od klasycznych już mikrodram, bo zamiast krążyć wokół prostego, emocjonalnego romansu, sięga po *science fiction*: dziwne przypadki śmierci w czasie snu stają się nową epidemią, z którą rusza do walki specjalny zespół. W serialu grają Iga Górecka, Gamou Fall, ale przede wszystkim Paweł Małaszyński i Anna Cieślak. Ta dwójka aktorów swoje wizerunki udostępniła modelom AI, które wygenerowały ich awatary.

– To hybrydowa produkcja, czyli nie wszystko jest wygenerowane. Ja zresztą nie jestem zwolennikiem takich produkcji, gdzie ludzkie są tylko prompty. AI wspieram się, generując fantastyczne przestrzenie, kostiumy, efekty specjalne i postaci, ale one bazują na grze aktorów, którzy świadomie biorą udział w takim wykorzystaniu technologii – mówi Nejman.

Jest wyraźnie podekscytowany, gdy opowiada, jak szczegółowo ma rozplanowane wszystkie sceny, jak z pomocą AI przygotowuje graficzne storyboardy, jak dzięki połączeniu kilku narzędzi może sobie pozwolić na stworzenie świata, którego wyprodukowanie w tradycyjnym środowisku filmowym zajęłoby miesiące i kosztowałoby miliony.

– Budżety, których nikt mi nie da, bo trzeba by mieć świetne relacje czy to z PISF, czy z prywatnymi inwestorami. Technologie demokratyzują dostęp i do treści, i do kreacji. Za wielokrotnie mniejsze środki i z małym zespołem mogę wyprodukować film z fantastycznymi efektami – zachwyca się Nejman i pokazuje najnowszy odcinek swojego serialu, w którym bohaterowie przechadzają się po sali wypełnionej zwisającymi z sufitu lustrami w złotych ramach. – Owszem, wciąż widać, że to treści wygenerowane przez AI, ale z odcinka na odcinek je dopracowujemy. Są coraz doskonalsze, więc proszę sobie wyobrazić, co będzie za rok czy dwa. ↦

↦ To, co Najmana i Perzynę zachwyca, jest w branży filmowej postrzegane jako coraz większe ryzyko: dla aktorów, scenarzystów, całych ekip filmowych. To przecież pod hasłami ochrony przed niekontrolowanym użyciem AI także do zastępowania pracy aktorów protestowało Hollywood w 2023 r.

Co więcej: nawet aktorzy mikrodram zaczynają mówić o użyciu AI z obawami. Nie tylko dlatego, że rynek, który ledwo co się pojawił i zaoferował im pracę, już może się zacząć kurczyć i prekaryzować, ale także dlatego, że wygenerowane w AI short-dramy są znacznie odważniejsze niż te z aktorami. Odważniejsze, czyli pełne seksu ocierającego się o *soft porno*, i takie, do tworzenia którego są wykorzystywane wizerunki prawdziwych ludzi, którzy podpisali kontrakty z producentami mikrodram.

– Małaszyński, Cieślak i ich wizerunki są bezpieczne, bo pracujemy w zamkniętym środowisku, nie karmimy komercyjnych silników danymi wrażliwymi, i gwarantujemy, że nasz system kreacji nie da tym modelom możliwości wykorzystania wizerunków artystów bez ich wiedzy. Co do argumentów o odbieraniu pracy przez AI, to zgadzam się z Anną Cieślak, że jeżeli komuś AI pracę zabierze, to nie aktorom, tylko influencerom, których do pracy aktorskiej zatrudnia się tylko dlatego, że mają zasięgi – podkreśla Nejman.

Jednak ani on, ani Perzyna nie wyglądają na zachwyconych faktem, że swoje ambicje – czy to biznesowe, czy artystyczne – spełniają w modelu, który, jak by nie było, jest mieszanką tiktoków, chińskiego braku zahamowań w wykorzystywaniu gospodarki uwagi i targetowania behawioralnego, jakie oferują platformy cyfrowe.

No cóż, jak to na wspomnianej konferencji w Dubrowniku stwierdził chorwacki menedżer sektora telekomunikacyjnego i mediów cyfrowych Damir Vrsajković: „Dziś widz traci od 10 do 18 minut dziennie na samym przeglądaniu dostępnych treści streamingowych. To daje 45 dni życia spędzonych wyłącznie na szukaniu czegoś do obejrzenia". Dlaczego kawałka tego czasu nie przekierować na tańsze w produkcji i łatwiejsze do zmonetyzowania seriale o romansach i snach? Widz ogląda, więc biznes oparty na mikrodramach już nie jest taki mikro.

© SYLWIA CZUBKOWSKA

Córczyzna

ANITA PIOTROWSKA

PREMIERA | Aktorka Sandra Hüller napełnia życiem misternie wypreparowaną filmową tkankę „Ojczyzny". Równocześnie bagaż jej wcześniejszych ról w ciekawy sposób nakłada się na postać Eriki Mann.

Bez niej nowy film Pawła Pawlikowskiego byłby trochę innym kinem. Na pewno jeszcze chłodniejszym w tonie, bardziej zastygłym w politycznych dyskursach, etycznych dylematach i wystudiowanych kadrach. I nie chodzi tylko o samą Erikę Mann. Scenarzysta i reżyser celowo wyprawił twórcę „Czarodziejskiej góry" w samochodową podróż przez świeżo podzielone Niemcy nie w towarzystwie jego żony Katii, jak miało to miejsce faktycznie, ale z ich najstarszą córką.

Czyli aktorką, pisarką, antyhitlerowską aktywistką, osobą wielce przenikliwą i wrażliwą. Jej postać stanowi rodzaj wyostrzonego zwierciadła dla ojcowskich asekuracji i wahań, a zarazem głęboko ukryty rozsadnik emocjonalny dla jego spokoju w obliczu rodzinnej tragedii. Jednakże to aktorka Sandra Hüller napełnia życiem misternie wypreparowaną filmową tkankę. Równocześnie bagaż jej wcześniejszych charakterystycznych ról w ciekawy sposób nakłada się na tę szkicowo napisaną i powściągliwie zagraną postać.

Erika i Klaus

„Jesteśmy nikim" – mówi przez telefon Klaus Mann (August Diehl) i wkrótce po tej rozmowie przedawkowuje środki nasenne. Dla Eriki te słowa będą się nieść przez resztę wyprawy podwójnym echem: jako wyraz ostatecznej desperacji bliskiego jej człowieka i jako najkrótszy opis niemieckiej kondycji z lata 1949 r. Kraju rozdartego „między Stalinem a Myszką Miki", w którym celebrowanie rocznicy urodzin Goethego i odbieranie literackich nagród ma oznaczać – przynajmniej dla Tomasza Manna – wyższość rodzimej kultury nad politycznymi podziałami.

Ale Wagnera z oczywistych przyczyn już się tu nie grywa, nad czym ubolewają jego potomkowie spotkani przez bohaterów na bankiecie u burmistrza Frankfurtu nad Menem. Będzie tam również były mąż Eriki, skompromitowany nazistowski karierowicz Gustaf Gründgens, i w pełni sobie zasłuży na publiczny „plaskacz".

Wiemy, że był też kochankiem Klausa Manna i inspiracją dla jego głośnej powieści „Mefisto", lecz w filmie to ledwie epizod, w którym, podobnie jak w wątku wagnerowskim, chodzi o tematy bardziej dla nas aktualne – o postawę artysty wobec reżimu czy „unieważnianie" nazwisk używanych przez ten reżim jako *soft power*. To wszystko, a nawet dużo więcej udaje się zgęścić Pawlikowskiemu w niewielkiej metrażowo, acz pojemnej znaczeniowo historii, jakkolwiek wiele z tych wątków, wziętych po części z biograficznej powieści „Czarodziej" Colma Tóibína, aż się prosi o rozwinięcie.

Oglądamy film złożony z wycyzelowanych szczegółów i wielkich uogólnień. Przede wszystkim odtwarza na ekranie ojczyznę bez ojców – zniszczoną, podzieloną i moralnie wydrążoną, która swą wysoką kulturę, zarówno po zachodniej, jak i wschodniej stronie żelaznej kurtyny, próbuje traktować niczym listek figowy.

Dla niemieckiego noblisty, który zdążył dorobić się u jednych miana zdrajcy, a u innych „czerwonego sługusa" (w 1933 r. wyemigrował z nazistowskich Niemiec i osiadł w USA, gdzie także był napiętnowany), jego pierwsza od lat wizyta w ojczystym kraju okazuje się tęskną wyprawą w poszukiwaniu nowych Niemiec, odrodzonej Europy, lepszego świata.



AGATA GRZYBOWSKA / MATERIAŁY PRASOWE

Sandra Hüller jako Erika Mann w filmie „Ojczyzna" („Fatherland") – reż. Paweł Pawlikowski. Prod. Francja/Niemcy/Polska/Włochy 2026. Dystryb. Kino Świat. W kinach od 19 czerwca.

Tyle że na każdym kroku powojenna rzeczywistość każe zakwestionować ów początek. Głównym zaś medium tej historii okazuje się nie on, zagrany dostojnie przez Hannsa Zischlera wielki pisarz, a właśnie jego córka, która z rosnącym rozczarowaniem przygląda się nowym porządkom.

Ojciec i kraj

Sandra Hüller wie, jak „uczłowieczać" swoje nie zawsze sympatyczne, niełatwe do rozgryzienia postacie. Tak się składa, że u początków jej międzynarodowych sukcesów również była trudna rola córki – w niemieckiej komedii „Toni Erdmann" sprzed dekady. Urodzona w NRD aktorka dała tam popis czegoś, co rychło stało się jej znakiem rozpoznawczym – modelowej wręcz beznamiętności i dystansu, pod którymi kotłują się emocje. I choć ich gwałtowny wyrzut pozostawał tylko kwestią czasu, to najbardziej fascynujące było obserwowanie właśnie tego procesu, kiedy zapięta na ostatni guzik korporacyjna sztywniara usiłowała okiełznać niesfornego ojca, a tak naprawdę rozpaczliwie kontroluje samą siebie. Aż po sławetną scenę ze spontanicznym karaoke.

W „Strefie interesów" widzieliśmy w bohaterce Hüller wzorową żonę nazisty, aczkolwiek wgryzają się w pamięć także sceny z nią jako córką. W jednej z nich prezentuje przyjeżdżającej z wizytą matce swoje idealne gniazdko, uwite tuż pod murami Auschwitz, i chwali się społecznym awansem. Oto wierna córa swego narodu funkcjonująca na maksymalnym znieczuleniu czy wyparciu, najdoskonalsze wcielenie „banalności zła". Dlatego nie sposób zapomnieć o tej mocarnej roli z przeciwległego ideologicznie bieguna, gdy ogląda się teraz „Ojczyznę". Bycie córką oznacza tutaj wzięcie moralnej odpowiedzialności i za swój kraj, i za własnego ojca, który unika politycznych konfrontacji i najchętniej zamknąłby się w „zamku ze słów".

Bohaterka „Ojczyzny" nie jest tym razem uśpionym wulkanem emocji. Nie potrafi do końca ukryć swojej żałoby, a wewnętrzne napięcie oznacza w tym przypadku czujność i przytomność. Jak w scenach, kiedy Erika reaguje ostro na nocne pijackie śpiewy o wyraźnie nazistowskim zabarwieniu, albo gdy dowiaduje się, czym jest komunistyczny terror zagłuszany rosyjskimi czastuszkami, co jej ojciec wolałby dyplomatycznie zignorować.

No i gdzie tak naprawdę znajduje się teraz ich dom? – stawia pytanie Pawlikowski, zwracając uwagę na wieczną bezdomność artysty, który z politycznych względów zdecydował się na emigrację. Filmowy Tomasz Mann odnajdzie ten dom w sztuce, na przykład w muzyce Bacha wysłuchanej przypadkiem w zrujnowanej świątyni. Niespokojna Erika raczej nie zadomowi się w niej na długo.

Stalin i Miki

Oglądając „Ojczyznę" można by pomyśleć, że tym domem dla Pawła Pawlikowskiego, też zresztą powróconego emigranta, ciągle jest świątynia kina. Szlachetność czarno-białych zdjęć Łukasza Żala przywołuje klimaty z „Tam, gdzie rosną poziomki" Bergmana czy „Popiołu i diamentu" Wajdy (nawet nazwy hoteli są podobne), a Joanna Kulig w roli szansonistki zdaje się żywcem wyjęta z „Zimnej wojny". Tym bardziej na tym wysokoartystycznym tle wybija się Sandra Hüller – zwyczajna i jednocześnie skupiająca na sobie całą uwagę kamery. Z tego powodu tytuł filmu mógłby równie dobrze brzmieć „Córczyzna", wypożyczając ten piękny neologizm ze współczesnej literatury polskiej.

Ktoś powie, że nowy film Pawlikowskiego jest kolejnym podzwonnym dla kultury, która w obliczu wielkiego barbarzyństwa nie ma żadnych szans, by ocalić świat. Ktoś inny zobaczy w „Ojczyźnie" jedynie popis znanej już skądinąd kaligrafii. Uszlachetniony minimalizm można uznać równie dobrze za artystyczny unik, co za oddanie widzowi możliwie szerokiej przestrzeni dla znajdywania nowych sensów.

Potrzeba jednak dobrej woli i zdolności łączenia kropek, ażeby zobaczyć w ekranowym świecie naszą rzeczywistość, też poniekąd rozdartą „między Stalinem a Myszką Miki". Stąd pytanie, na ile wysublimowany język Pawlikowskiego będzie czytelny dla widza, któremu nic nie mówi nazwisko Mann czy tytuł „Śmierć w Wenecji", a przeszłość nie dostarcza żadnych lekcji.

Erika w interpretacji Sandry Hüller z pewnością ten film lepiej ukorzenia i pozwala zobaczyć bez złudzeń dawne utopie, nierozliczone winy, pułapki politycznej neutralności. I nie przypadkiem to Erika wykonuje w filmie ludzkie gesty, jak w mało znaczącej scenie, gdy goli ojca przed jego oficjalnym wystąpieniem. Poszukiwanie emocjonalnej drogi do oschłego rodzica okaże się ważniejsze niż przekonanie go do własnych racji. Być może – sugeruje nam film „Ojczyzna" – już tylko takie drobne gesty mogą nas uratować. ©



MAGDA HUECKEL / TEATR POWSZECHNY

Spektakl „Hamlet", reż. Kamil Białaszek, Teatr Powszechny w Warszawie

Książę w bardzo złym humorze

JACEK WAKAR

SZEKSPIR | Znak czasu w polskim teatrze: wszyscy biorą się za „Hamleta". Co takiego w nim widzą?

Nowa moda na wystawianie „Hamleta" zaczęła się w kwietniu ubiegłego roku, kiedy swój spektakl w warszawskim Teatrze Narodowym wystawił Jan Englert. Przedstawienie jeszcze przed premierą zyskało rozgłos, wybitny aktor i reżyser żegnał się nim z dyrekcją narodowej sceny, podsumowując dwadzieścia osiem lat pracy przy Placu Teatralnym.

Inscenizacja stała się niestety prostym komentarzem do domniemanego przewrotu, czyli zmiany w Narodowym. W prologu wynoszono więc podobizny Englerta (obecnego tylko przez głos Ducha Ojca), a dawni przyjaciele, jak szary zausznik każdej władzy Horacjo (Przemysław Stippa) okazywali się zdrajcami. Do tego Gertruda w kapelusiku Melanii Trump, a na koniec Fortynbras, czyli Putin obejmujący w Danii, czytaj Polsce, niepodzielne rządy.

Zbyt oczywista to wizja, nielicująca z przenikliwością poprzednich reżyserskich prac artysty, z „Trzema siostrami" Czechowa albo „Fredrą. Rokiem jubileuszowym" na czele. Po premierze prawie wszyscy zachwycili się Hugo Tarresem w tytułowej roli. Mnie jakoś młody aktor nie porwał. Do dziś wydaje mi się, że więcej z szekspirowskiego bohatera ma jego Hal Incandenza w „Niewyczerpanym żarcie" według Davida Fostera Wallace'a, wyreżyserowanym przez Kamila Białaszka kilka miesięcy później. Też w końcu pisanym na przetrąconym hamletowskim wzorcu.

Ojcobójca

Maja Kleczewska mówiła jakiś czas temu, że twórcy jej pokolenia czekają, aż pojawią się nowi, wywrócą stolik, niegdysiejszej awangardzie pokażą miejsce w szeregu klasyków i sami przejmą sceny. No to szefowa Teatru Powszechnego w Warszawie się doczekała. Ten „nowy" nazywa się Kamil Białaszek i nie bez przyczyny w obecnym sezonie pracował najpierw w przy Placu Teatralnym, a potem przy ulicy Zamoyskiego. Nie wiem, czy można

go nazywać reprezentantem szerszego nurtu albo uznawać za odbicie generacji. Białaszek to Białaszek, na dobre i na złe.

W życiu poprzednim (albo jeszcze równoległym) jest raperem Kozą. Na rap przełożył w poznańskim Teatrze Polskim „Pana Tadeusza". Spektakl stał się festiwalowym przebojem, mnie wydał się pusty, męczący i nieszczególnie inspirujący. Niemiłosiernie cierpiałem też na zrealizowanym przez niego „Skowycie" Ginsberga w Teatrze Żydowskim w Warszawie.

Wszystko zmieniły jednak „Niewyczerpany żart", a teraz „Hamlet". Po nich wiem, że to gość, który ma w sobie prawdziwą, a nie wystudiowaną artystyczną bezczelność i nie boi się, gdy czegoś nie wie. Więcej – z dystansem to ogrywa, bo rozumie, że teatr, przynajmniej takiego twórcy jak on – na początku drogi – wcale nie musi zawsze być przepastnie mądry.

W „Hamlecie" są dystans i dezynwoltura, a nawet trochę obciachu. Wolno mi – zdaje się mówić Białaszek. Co mi zrobicie?

Korporacja

Księcia Danii gra Antek Sztaba. Tyle że Dania to nie żadne królestwo, a korporacja. Wyzyskiwani pracownicy w maskach goryli trudzą się walką o ożywienie „Hamleta", więc uporczywie go przepisują, jako nieskończona liczba małp przy katorżniczej, syzyfowej pracy. Gadają przy tym, ile wlezie, na Szekspira i tradycję, jednak reżyser widowiska w Powszechnym za dużo rozumie, by oryginał bezceremonialnie podeptać i wyrzucić na śmietnik.

Owszem, na nowo oświetla postaci. Niektórym, jak Ofelii, daje lustrzane odbicie, w roli obsadzając dwie aktorki – przykuwającą uwagę, prawdziwie zbuntowaną Natalię Szczypkę oraz Ewę Skibińską, która stanowi jej pośmiertne odbicie, wieczną maskę, dysponującą wiedzą o tym, co zdarzyło się po słynnej scenie szaleństwa i utonięciu.

Innym, jak Klaudiuszowi Arkadiusza Brykalskiego, daje rozwrzeszczaną patriarchalną siłę, czyli w istocie słabość. Atrybutem władzy staje się zbudowany z pisuarów tron, a król męczy się przy nich, mając widoczne kłopoty z fizjologią. Michał Czachor z kolei w roli Horacja mógłby być kimś z dworu Donalda Trumpa, ale wydaje się, że bardziej robi z siebie nieszczególnie rozgarniętego, niż taki rzeczywiście jest.

Nieciekawe to towarzystwo i trudno Hamletowi się dziwić, że jawnie nim pogardza.

Bomba

Białaszek portretuje w Powszechnym szajkę podrzędnych typków, obnażając jednocześnie ośmieszający się co krok światek bezwzględnej, bezceremonialnie głupiej władzy. Społeczeństwo jest zmęczone – powtarza za Byung-Chul Hanem i dodaje, że również zobojętniałe. Dlatego szekspirowska rozgrywka staje się tylko licytacją min, gestów, wystudiowanych póz, wspieranych przez wszechobecne aplikacje i złowrogą AI.

Reżyser wznosi na scenie patriarchalny układ sił jedynie po to, by obnażyć jego wyczerpanie. Stąd kluczowa podwójna obecność Ofelii, a przede wszystkim ostrość Gertrudy w wybitnej interpretacji Anny Ilczuk. Przeżarta gorzką samoświadomością kobieta rzuca wyzwanie męskiemu światu, nakłuwając jego słabość i hipokryzję. Wstrząsająca jest całkiem na nowo napisana sekwencja rozmowy z Hamletem, kiedy wygarnia synowi całą prawdę i wreszcie dopomina się o swoje. Ilczuk nie szuka przy tym miękkich środków, daje Gertrudzie determinację złamanej, ale wciąż silnej, walczącej kobiety.

Królowa ma rację, gdy druzgocąco ocenia Hamleta. W interpretacji Sztaby i Białaszka Hamlet jest nieustannie w bardzo złym humorze. To rozkapryszony emo młodzian z nosem w smartfonie, wciąż na insta i TikToku. Pogubiony, ale i zakochany w sobie, antypatyczny, ale jakoś w tym nam bliski, choć przecież odpychający. Znany dotychczas z musicalu „1989" (grał Aleksandra Kwaśniewskiego) Antek Sztaba znajduje dla swojego Hamleta zadziwiającą barwę między sprzecznościami, jego kreacja ustawia całą inscenizację.

Bo Hamlet Sztaby jest taki jak „Hamlet" Białaszka – bezczelny. Rozsadza świat i samego siebie. Czasem swe zagubienie obśmiewa (jak Białaszek swoje, gdy nie wie, jak odczytać jakiś fragment), częściej wyszydza korpoświat dookoła. Gra na wielu tonach.

Czytam, że to jest „Hamlet" generacji Z, i chyba się z tym zgadzam. Jednak diagnoza młodego twórcy sięga głębiej. Dramat Szekspira posłużył mu do tego, by podłożyć pod niego bombę i zapalić lont. A przy okazji wysadzić nasze wyobrażenie o świecie i poczucie, że jest rozpoznany.

Nie, nic nie wiemy i ktoś taki jak Kamil Białaszek wyrwał nas z błogiego letargu.

Tragedyjo

O tym, że Teatr Śląski w Katowicach robi „Hamleta" po śląsku, słyszeli chyba wszyscy. Wydarzenie epokowe, dramat Szekspira w śląskiej godce i w przekładzie Mirosława Syniawy brzmi fenomenalnie. Kompletnie mnie nie dziwi, że miejscowa publiczność słysząc „Być albo niy być – to ci je pytanie / Zõcnij je w duchu ciyrpliwie wystõwać", ma łzy w oczach i przeżywa uniesienie.

Dla niej „Tragedyjo Hamleta, ksiyncia Dynymarku" to więcej niż przedstawienie, to doświadczenie umacniające tożsamość, a zatem wykraczające poza kategorię ocen. Spektakl Roberta Talarczyka jest ukoronowaniem śląskiej linii prowadzonego przez niego teatru, dojściem do punktu, po którym do zagrania po śląsku zostały już chyba tylko „Dziady" i „Wesele".

Nad sceną Śląskiego góruje znajomy zarys szybu kopalni, wiadomo, że tragedyjo dzieje się dokładnie tu, a Hamlet (Paweł Kempa) z poczernionymi od węglowej sadzy oczami to chłopak stąd, z familoków. Horacjo (Dariusz Chojnacki) nosi górnicze czako i z tego powodu w finale doznaje upokorzenia. Talarczyk uznaje, że „Hamlet" niczym gąbka wchłonie Śląsk, i na tym przeświadczeniu buduje całą inscenizację.

Chwilami efektowną, dynamiczną w układach choreograficznych, pełną zrozumiałych dla widowni smaczków. Broni się zespół katowickiego teatru, jednak tym razem z wyjątkiem ociekającego fałszem, śmiesznego i strasznego Klaudiusza Marcina Gawła niełatwo znaleźć tu kreacje na miarę dzieła Szekspira. Trudno w dodatku zrozumieć, dlaczego Poloniuszem jest Grażyna Bułka, skądinąd znakomita, a Rosencrantzem i Guildensternem Jan Jakubik i Aleksandra Przybył. Doceniam obsadzenie i wdzięk profesorów Tadeusza Sławka i Ryszarda Koziołka jako kopidołów, ale ich udział to środowiskowy żart, chyba niewiele więcej z niego wynika. Ewelina Adamska-Porczyk, świetna tancerka i choreografka, gra Ofelię mocnym ruchem, ale ta rola z trudem broni się, pozbawiona większości słów. ↦



HAWA

Spektakl „Mam coś w głębi nie do przedstawienia. HAMLET", reż. Remigiusz Brzyk. Narodowy Stary Teatr w Krakowie

↦ Przedstawienie jest efektowne, publiczność podąża za akcją, ale nie otrzymuje wiele więcej. „Hamlet" Talarczyka zdaje się pozbawiony metafizyki, kluczowe pytania brzmią w nim, jakby były pustymi sentencjami, które po prostu trzeba wypowiedzieć. Nie wiem, czy to skutek strategii reżysera i jego przeświadczenia, że Śląsk to dziś kraina wiecznego biegu i walki o przetrwanie, więc na kwestie fundamentalne zwyczajnie nie ma tu miejsca – czy jednak niedopracowania interpretacji arcydzieła.

Słowotok

Kolejnym wydarzeniem w hamletowskim cyklu miał być spektakl w krakowskim Narodowym Starym Teatrze. Nie „Hamlet", a „Mam coś w głębi nie do przedstawienia. HAMLET". Nie Szekspir, a Paweł Demirski. Nic w tym złego, w końcu od pięciu lat czekaliśmy na powrót Demirskiego do teatru, a skoro wraca, to dobrze, że na scenę, gdzie odnosił największe sukcesy. Dało się również słyszeć, że autor „W imię Jakuba S." szykuje osobistą sztukę o ojcu, ktoś nawet miesiące temu zapowiadał jej nieodległe wystawienie.

Koniec końców sztuka jest, żywi się motywem relacji osieroconego syna i ojca, a dokładniej mówiąc: Ducha Ojca, z dramatu Szekspira bierze postaci, niektóre słowa, trawestuje znane sekwencje. Ma być jednak osobistym rozliczeniem z ojcem i jego brakiem, opowieścią o odziedziczonej traumie własnej, pod którą mogliby się podpisać przedstawiciele skrzywdzonego i emocjonalnie wydrążonego pokolenia. Kłopot w tym, że trwające trzy i pół godziny widowisko Remigiusza Brzyka nuży płaczliwym tonem jałowych zwierzeń Hamleta (Kamil Pudlik), a w miejsce rozwalonej relacji z Szekspirem buduje jedynie fałszywie ironiczną historię o tym, jak na szacownej narodowej scenie wylewa się prywatne żale.

Sztuka Demirskiego tonie w pustym słowotoku, nie tyle niczym nie zaskakuje, co nawet nie przykuwa uwagi do postaci. Aktorzy – bardzo dobrze – grają na instrumentach, Paulina Kondrak jako Ofelia ma mocny głos, ale to nie wystarcza do stworzenia „Hamleta" w wersji brudnej, garażowej, szczerej dzięki spowiedzi autora i bohatera. Tym bardziej że Demirski, lat czterdzieści siedem, oskarża pokolenie ojców (Klaudiuszy) o zdradę ideałów i służbę systemowi, podczas gdy sam – wzięty autor i scenarzysta – jest owego systemu beneficjentem. Dlatego to, co zostaje na scenie z jego wyznania, kapie fałszem i minoderią. I nie ma w sobie nic z energii punkowego buntu, na jaką przed inscenizacją Brzyka i Demirskiego liczyli niektórzy.

Jest jeszcze uwięziony w kleszczach technologii, nierówny, ale chwilami bardzo wciągający „Hamlet" Jana Marka Kamińskiego z Teatru Fredry w Gnieźnie, ukazujący jednostki wrażliwe i czujące jako swoiste usterki w industrialnym społeczeństwie. Jest ponoć frapujący „Hamlet" Jacka Jabrzyka z Teatru Zagłębia w Sosnowcu.

Nie udało mi się go dotąd zobaczyć, ale nadrobię zaległość w Gdańsku na Festiwalu Szekspirowskim, bowiem wraz przedstawieniami Białaszka i Talarczyka powalczy o Złotego Yoricka dla najlepszego szekspirowskiego spektaklu sezonu. Czy to koniec? Zobaczymy. Na razie „Hamlet" naznacza polski teatr, stając się dowodem jego siły i słabości jednocześnie.

© JACEK WAKAR

Autor jest szefem działu kultury Polskiej Agencji Prasowej

OGŁOSZENIE

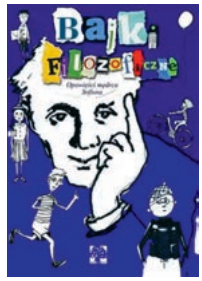
Radio Kraków
radiokrakow.pl

NADAJEMY DO MYŚLENIA

W każdą środę o godz. 12.40 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego"

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków - 101,6 FM, Nowy Sącz - 90,0 FM, Tarnów - 101,0 FM, Zakopane - 100,0 FM, Andrychów - 98,8 FM, Gorlice - 97,4 FM, Krynica Zdrój - 102,1 FM, Rabka Zdrój - 87,6 FM, Szczawnica - 90,0 FM

▪ *Michel Piquemal,* **BAJKI FILOZOFICZNE. OPOWIEŚCI MĘDRCA SOFIOSA**, *tłum. Maria Braunstein, Michał Krasicki; seria Bajek filozoficznych; wyd. Muchomor*



Wśród książek zapraszających do myślenia, a przeznaczonych dla czytelników (nie tylko) młodych, od lat zwracają uwagę te z oficyny Muchomor. W serii „Bajek filozoficznych" autor, były nauczyciel, który został pisarzem dla dzieci i młodzieży, wybrał tradycyjną formę paraboli. Parafrazując przypowieści z całego świata (z tradycji Wschodu i Zachodu, staro- i nowożytne, afrykańskie, słowiańskie i własne...), pod postacią bohaterów zwierzęcych, mitologicznych czy ludzkich przystępnie, z humorem, ale serio (jak przystało na bajkopisarza) zachęca do krytycznej refleksji nad sprawami uniwersalnymi. Nie tyle podaje prawdy, co stawia pytania i kwestionuje oczywistości. Rozstrzał tematów szeroki: konsumpcjonizm, religia, determinizm, droga środka między skrajnościami, nieoczywistość dobra i zła... Tomiki układano też m.in. wokół tematów współżycia społecznego („Jak żyć razem?") czy ekologii („Jak żyć na Ziemi?"). Głównemu tekstowi towarzyszył na marginesie krótki komentarz z „pracowni filozofa" oraz kilka słów kluczy. W serii Piquemala wydano również autorskie wybory aforyzmów i mitów greckich. W ostatnim natomiast przypadku ok. 60 narracyjnych bajek prozą ubrano w kostium powiastki filozoficznej. Jak przystało na ten gatunek, epizodyczną fabułę osnuto wokół ucieczki z domu i podróży, którą małoletni bohater przerywa, trafiwszy do szkoły tytułowego mistrza Sofiosa (imię znaczące). Ucieka od kochających, ale opresywnych rodziców, nauczycieli w starym stylu, przy których nie miał prawa głosu ani decydowania o sobie, by trafić pod skrzydła dość anarchistycznego filozofa, który nie nauczy go niczego oprócz samodzielnego myślenia i opowiadania historii. Uwagi o życiu bez Boga czy o młodzieży zbyt szanującej brody starszych mogą zbulwersować właścicieli tychże, ale ten buntowniczy duch skrywa stare jak świat pytania o teodyceę i walkę pokoleń. Filozoficzną podróż młody wędrowiec kończy powrotem do domu, przemieniony przez nieoczywistą mądrość Sofiosa. O ile wcześniejsze tomy rekomendowano jako lekturę szkolną, o tyle ten podpasuje chyba nawet młodzieży zbuntowanej przeciw formalnej edukacji. Z drugiej strony ta „zbójecka lektura" niesie puentę o wystarczająco dobrych, choć (jak każdy) popełniających błędy rodzicach i – takiejże młodzieży.

©℗ MACIEJ SZKLARCZYK

▪ *Omar El Akkad,* **KTÓREGOŚ DNIA OKAŻE SIĘ, ŻE WSZYSCY OD ZAWSZE BYLI PRZECIWKO**, *tłum. Agata Ostrowska, wyd. Obroty*



„Któregoś dnia okaże się, że wszyscy od zawsze byli przeciwko" – napisał na Twitterze Omar El Akkad, publikując nagranie ze zrównanej z ziemią ulicy w Strefie Gazy. Był październik 2023 r. Czas, gdy izraelskie bombardowania uważano za „prawo do obrony". I gdy panowało przekonanie, że naród, który doświadczył Zagłady, nie może dopuścić się ludobójstwa. Z każdym dniem internetowy aforyzm egipsko-kanadyjskiego dziennikarza stawał się coraz bardziej prawdziwy. Dziś nawet najbardziej wyrozumiali wobec Izraela komentatorzy odżegnują się od popełnianych przez niego zbrodni, które dla Omara i wielu innych były oczywiste od początku. Refleksja – jak zwykle – przyszła za późno. Wykuta w tweecie mądrość stała się tytułem autobiograficznego eseju. Bo „Któregoś dnia..." nie jest książką o Gazie – wojna i jej straszliwe obrazy stają się jedynie tłem do rozważań nad kondycją zachodniego społeczeństwa, którego częścią Omar stał się pod koniec lat 90., gdy jako nastolatek przyjechał z rodzicami do Kanady. Jego nowa książka – trzecia, po „Ameryce w ogniu" (2017) i „What Strange Paradise" (2022) – to opowieść o amerykańskim śnie, miłości do Zachodu i rozczarowaniu jego hipokryzją. O rasizmie, którego autor sam doświadczył po przeprowadzce do „cywilizowanego świata", gdzie migranta od eksapata odróżnia się po kolorze skóry. Punktem zwrotnym był 11 września – pisze Omar. Wcześniejsze, irytujące, ale pozornie niewinne pytania o wielbłądy i latające dywany ustąpiły miejsca podejrzliwości, a kolor skóry stał się wystarczającym dowodem współodpowiedzialności za islamski terroryzm.

© MACIEJ AUGUSTYN

W kolejnym wydaniu „Tygodnika Powszechnego"

magazyn conrad 02

A w nim:
- ogłaszamy program główny 18. edycji Festiwalu Conrada
- prezentujemy sylwetki kolejnych gości(ń)
- z okazji 80. rocznicy powstania Instytutu Literackiego w Paryżu przypominamy Ludzi „Kultury"

CONRAD FESTIVAL

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

NAGRODA LITERACKA GDYNIA

Znamy 20 tytułów, które ubiegać się będą o przyznawane w tym roku po raz 21. Kostki Literackie. Do Nagrody Literackiej GDYNIA nominowano po 5 książek w kategoriach: esej, poezja, proza i przekład na język polski. Zgodnie z duchem Nagrody, nominowane utwory wyróżnia odwaga formalna, językowy kunszt i nieszablonowe podejście do literatury.

Nagroda Literacka GDYNIA – od lat plasująca się w ścisłej czołówce najważniejszych literackich laurów w Polsce – wkracza w swoje trzecie dziesięciolecie. Kapituła Nagrody, pod kierownictwem Doroty Kozickiej, wskazała 20 nominacji do tegorocznej edycji spośród polskich książek wydanych w ubiegłym roku.

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi podczas oficjalnej gali w gdyńskim Teatrze Muzycznym im. D. Baduszkowej, zaplanowanej na koniec sierpnia. Laureaci otrzymają słynne Kostki Literackie oraz nagrody finansowe w wysokości 50 tys. zł. Gala wręczenia nagród będzie kulminacyjnym wydarzeniem festiwalu Miasto Słowa, podczas którego publiczność będzie miała okazję spotkać się z nominowanymi autorami oraz uczestniczyć w licznych wydarzeniach literackich, przysłuchując się najnowszym głosom w literaturze polskiej. Po raz drugi, obok głównych nagród, autorkom i autorom nominowanym do Nagrody Literackiej GDYNIA przyznane zostaną również cztery miesięczne rezydencje literackie w Gdyni.

Festiwal Miasto Słowa: **26-30 sierpnia 2026 roku**. Gala Nagrody Literackiej GDYNIA: **29 sierpnia**.

W skład Kapituły Nagrody wchodzą: **Dorota Kozicka (przewodnicząca), Piotr Bogalecki, Eliza Kącka, Jakub Kornhauser, Iwona Kurz, Adam Lipszyc, Tomasz Swoboda oraz Natalia Gromow (sekretarz).**

Szczegółowe informacje na temat nominowanych książek oraz wydarzeń festiwalowych: **www.nagrodaliterackagdynia.pl**

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

100 GDYNIA | MECENAT NAGRODY LITERACKIEJ GDYNIA

BIBLIOTEKA GDYNIA



WOJCIECH ROJEK

NOMINACJE

ESEJ



▪ Szymon Drobniak, **GĘSI ODPOCZYWAJĄ NA GOTLANDII**, Czarne.
Jak można poświęcić tak namiętną, wręcz miłosną książkę skrawkowi skalistej ziemi? Otóż można, jeśli ujrzy się w nim jedną z mitycznych Wysp Szczęśliwych.



▪ Michał Herer, **NOWOCZESNOŚĆ NA HAJU. KAPITALIZM, MIESZCZAŃSTWO I UŻYTEK Z NARKOTYKÓW**, Krytyka Polityczna.
Błyskotliwie pomyślane studium roli, jaką narkotyki odgrywały w mieszczańskim świecie późnej nowoczesności. Zapis fascynującej medytacji nad możliwymi sposobami bycia w żywiole coraz bardziej rozpędzonej nowoczesności.



▪ Maja Mozga-Górecka, **FIGLARNIE. PRZESTRZENIE RADYKALNEJ PRYWATNOŚCI**, Karakter.
Pisząc ze znawstwem i lekkością, łącząc analizy projektów architektonicznych z biograficzną anegdotą, autorka zastanawia się nad warunkami przestrzeni prywatnej i przemianami, jakim ulegała ona przez ostatnie 250 lat.



▪ Piotr Paziński, **OBSTALUNKI**, Austeria.
W tomie esejów, szkiców i literackich recenzji Paziński kroi, klei, projektuje i zszywa. Ale co to za majster – zapytacie? Otóż jest to fachowiec bardzo rzadkiego fachu lektury.



▪ Kamil Piwowarski, **DROGA W GÓRĘ I DROGA W DÓŁ**, Austeria.
Świat całkowicie przesiąknięty literaturą, w którym pamięć działa poprzez cytaty, obrazy i cudze opowieści. Szczególnie istotny jest tu motyw drzewa rozrastającego się ponad domem: realnego i fantasmagorycznego zarazem, będącego osią świata, drogą ucieczki, materializacją obsesji ojca i metaforą samego pisania.

DO 21. NAGRODY LITERACKIEJ GDYNIA

POEZJA



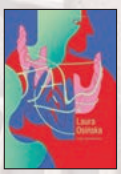
▪ Darek Foks, **Z TOBĄ TO NAWET NA FESTYN PÓJDĘ,** WBPiCAK. Wiersze Foksa najczęściej przybierają formę anegdot, a ich żywiołem są obserwacje; czynione zarazem z dbałością o detal, jak i intertekstualne odniesienie.



▪ Jakub Głuszak, **Z GŁĘBI CZASU**, Wspólny Pokój. Zbiór poetyckich mikronarracji osadzonych w ostatnim ćwierćwieczu. Podmiot tych wierszy równocześnie manifestuje swoją chłopacką dezynwolturę, używając zestawu zbanalizowanych haseł i figur, i dokonuje rozrachunków z perspektywy dojrzałego mężczyzny, który korzysta z postmodernistycznych i retroawangardowych chwytów.



▪ Marcin Mokry, **SOLARYSZE**, Fundacja na rzecz Kultury i Edukacji im. Tymoteusza Karpowicza. Autor próbuje wytworzyć język, z pomocą którego mógłby opowiedzieć zarówno o świecie najnowszych technologii i klimatycznych zagrożeń, jak też o życiowych konsekwencjach przeprowadzki na podlaską wieś.

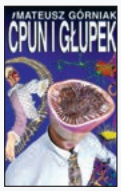


▪ Laura Osińska, **JAW**, Biuro Literackie. To zapis poszukiwania języka do przedstawienia własnego, unikalnego doświadczenia („mam tylko to jedno ciało, jednego żuka w jednym pudełku") – a jednocześnie dla doświadczania miłości między kobietami.



▪ Krzysztof Pietrala, **AO MANAO**, Meth. Egzotyka spotyka się tu z prowincją, globalne z miejscowym, kapitalizm z konkretem, Daleki Wschód ze Starym Kleparzem. Feeria obcojęzycznych zwrotów i nazw miejscowych, konfundujących skrótowców, wielojęzycznych zagajeń.

PROZA



▪ Mateusz Górniak, **ĆPUN I GŁUPEK**, Convivo. W apokaliptycznym mieście płoną kosze na śmieci, a kinderterroryści zmagają się z gangami Tirowców i fioletowych Neonazistów. W tej rzeczywistości Ćpun i Ryba starają się opiekować swoim synem Głupkiem. Opowieść o trosce, miłości, a wreszcie – być może – o nadziei.



▪ Emilia Konwerska, **RZECZY ROBIONE SPECJALNIE**, ArtRage. Autorka przygląda się światu i sobie w sposób dalece odbiegający od tego, z czym nam się kojarzy „przyglądanie się". Raczej tworzy „ja-świat" z pozornie nam znanych codziennych zdarzeń, uruchamiając przy tym połączenia, skojarzenia i perspektywy, które nie przyszłyby nam do głowy.



▪ Weronika Murek, **URODZINY**, Czarne. To niezwykle precyzyjnie skomponowana powieść, zamknięta w ramy dwóch scen tytułowych urodzin. Co widzi starzejąca się, samotna aktorka? I co z tym zrobi w swoim pustym domu? Balansując między grozą, empatią i teatralnością, murek wystawia nas na bolesną, mądrą lekturę „teatru życia".



▪ Aleksandra Paduch, **TRZEWIA**, Czarne. W centrum tej opowieści jest brzuch – głodny, pełny, smukły, gruby, karmiony do oporu. Dosłownie, niemetaforycznie, wyraża splot historii wielkiej, społecznej i politycznej, historii transformacji, wojen i niedoborów – z historią małą, rodzinną, lokalną i własną.



▪ Maciej Sieńczyk, **PIJACZEK**, Biblioteka Śląska. Przejmująca książka o pamięci, jej złudzeniach i sile. Kreśląc żywy portret mentora z młodości, pisze Sieńczyk w istocie pamiętnik z okresu dojrzewania.

PRZEKŁAD NA JĘZYK POLSKI



▪ Dorota Jovanka Ćirlić – Milena Marković, **DZIECI**, Warstwy. W transowym rytmie wersów Marković – świetnie utrzymanym w polszczyźnie – mieszczą się miłość i nienawiść, złość i rezygnacja, brzydota i piękno, fascynacja i wstręt. Mówi tu kobieta – dziewczyna, matka, córka, siostra, żona, wiedźma. Kręci kołowrotkiem opowieści i łapie nas na haczyk frazy.



▪ Małgorzata Gralińska – Walter Kempowski, **PRIMA SORT. POWIEŚĆ MIESZCZAŃSKA**, ArtRage. Książka o niemożliwości oddzielenia życia codziennego od katastrofy, prywatnego języka od zorganizowanej przemocy. Kempowski pisze chłodno, oszczędnie, chwilami dokumentalnie, ale właśnie ta powściągliwość sprawia, że jego proza jest tak dotkliwa. Małgorzata Gralińska świadomie podąża za tym rytmem.



▪ Sebastian Musielak – Miki Liukkonen, **O (ALBO UNIWERSALNY TRAKTAT O TYM, DLACZEGO SPRAWY MAJĄ SIĘ TAK, A NIE INACZEJ)**, Insignis. Musielak z czułością i czujnością oddaje przesyt, językowe rozproszenie i wielobarwność powieści Liukkonena, pewnie prowadząc nas przez setki stron książki.



▪ Elżbieta Sobolewska – László Krasznahorkai, **A ŚWIAT TRWA**, Czarne. Bohaterowie Krasznahorkaiego funkcjonują po końcu historii, w świecie, który wprawdzie nadal istnieje, lecz utracił stabilność i wewnętrzną spójność. Ogromną rolę odgrywa tu sam ruch języka: długie, meandrujące zdania, obsesyjne nawroty obrazów i rytm przypominający chwilami trans albo monolog prowadzony na granicy wyczerpania. Sobolewska potrafi utrzymać ten ton, a jednocześnie zachować niezwykłą precyzję polszczyzny.



▪ Kacper Szpyrka – Miguel Ángel Asturias, **PAN PREZYDENT,** PIW. Mistrzowski przekład najważniejszej powieści gwatemalskiego noblisty. Asturias z przeskakuje z rejestru na rejestr, raz stawiając na fabularną zrozumiałość zamkniętą w prostym, minimalistycznym języku, innym razem pogrążając się w rozbuchanych wizjach.

MATERIAŁ PROMOCYJNY



Moc przybyła

PAWEŁ KICMAN

POPKULTURA | Miecze, maczugi, lasery, bojowe koty i wielki zamek w kształcie czaszki. Czego chcieć więcej? No jak to – historii!

W 1982 r. firma Mattel wypuściła na rynek pierwszą linię figurek z linii „Masters of the Universe" – choć niewiele brakowało, żeby wszystko potoczyło się inaczej. Kilka lat wcześniej Mattel zrezygnowała bowiem z ekskluzywnej umowy na zabawki z „Gwiezdnych wojen", nie spodziewając się kosmicznego sukcesu produkcji. Zmarnowano tym samym szansę dotarcia z lalkami do chłopców, a była to grupa, w którą firma dotąd zbyt mocno nie inwestowała (flagowym produktem firmy Mattel była w tamtym czasie lalka Barbie).

Postanowiono to zmienić, a kolejną szansą przełamania trendu miał być Conan Barbarzyńca. Kiedy w 1982 r. zbliżała się filmowa adaptacja jego przygód, Mattelowi bardzo zależało na prawach do postaci stworzonej przez Roberta E. Howarda. Ponieważ i tym razem nie wyszło, a pracownikom firmy coraz mocniej zależało na tym, by popłynąć na fali przygód wielkiego mięśniaka wywijającego mieczem, postanowiono... stworzyć własnego. Nie obyło się bez procesu o naruszenie praw autorskich, ale ostatecznie sąd stwierdził, że Mattel nie kopiuje wizerunku Conana, bo obraz „hunka", czyli mięśniaka w stylu Herkulesa czy Tarzana, nie może zostać opatentowany.

Cóż, opłaciło się. W takich właśnie okolicznościach narodził się He-Man, inspirowany w równej mierze Conanem, jak i pulpą *fantasy* oraz *science fiction*. Mając na uwadze grupę docelową, twórcy postaci postawili na kolorowy kicz, który wyróżni się na sklepowych półkach, a jednocześnie da do zrozumienia rodzicom: oto zabawki reprezentujące szlachetny konflikt dobra ze złem. Do sprzedaży trafiły miecze, bicze, maczugi, lasery, bojowe koty i wielki zamek w kształcie czaszki. Czego chcieć więcej? No jak to – historii!

Na fali sukcesu sprzedażowego figurek rozszerzono „Władców wszechświata" na kolejne media – komiksy (przez pewien czas wydawało je DC, czyli ci od przygód Batmana i Supermana) oraz serial animowany, który szybko stał się jedną z najpopularniejszych kreskówek lat 80. w Stanach Zjednoczonych, zdobywając z czasem widzów na całym świecie.

Serial opowiadał o konflikcie He-Mana i jego przyjaciół ze Szkieletorem i jego świtą. Plejada barwnych postaci – od władających magią Czarodziejek i Wiedźm, przez Bestię, Tarana czy Zbrojnego Rycerza – w każdym odcinku ścierała się w rytualnej bitwie dobra ze złem. Ze względu na cenzorskie zapędy amerykańskiej telewizji tenże rytuał rządził się jednak swoimi, ściśle określonymi prawami: He-Man nie zabijał, miecz był dla niego głównie rekwizytem, a nie bronią, po przemoc zaś sięgano wyłącznie w ostateczności. Kiedy już dochodziło do rękoczynów, przypominały one raczej zapasy niż brutalną jatkę, jakiej można by się spodziewać po tych postaciach. Żeby jeszcze bardziej złagodzić akcję, każdy odcinek kończył się morałem.

Ta hipnotycznie powtarzalna struktura przykuwała dzieci do telewizorów. To, czego chłopcy – a z czasem i dziewczynki, bo szybko się okazało, że książę Adam ma siostrę, równie waleczną i dzielną She-Rę – nie mogli doświadczyć na małym ekranie, inscenizowano dzięki linii zabawek, której serial był właściwie reklamą.

Nad Wisłę He-Man przywędrował zaskakująco wcześnie, bo już na przełomie lat 1987/88. Szczyt popularności osiągnął oczywiście w latach 90. – dzięki otwarciu Polski na zagraniczne rynki również w Radomiu czy Szczecinie można było dostać ukochanych bohaterów i bohaterki w formie zabawek. Oczywiście zamiast drogich, oryginalnych produktów najchętniej sięgano po tzw. bootlegi, czyli nieoficjalne, nieposiadające licencji zamienniki (prawo autorskie do 1995 r. w Polsce właściwie nie funkcjonowało).

Na bazarach czy w małych sklepikach kupowaliśmy więc małe, gumowe pod-



AMAZON MGM STUDIOS

Ten film zbliża się niebezpiecznie blisko pastiszu, ale ostatecznie udaje mu się ustawić wszystkie elementy tak, że ekranowa iluzja wypada przekonująco – nawet kiedy Szkieletor ćwiczy na siłowni w stylowym dresie, a Adam próbuje rozwiązać konflikt dzięki technikom rodem z podręcznika dla działów HR. To lekka, wakacyjna produkcja, która korzysta z siły naszej nostalgii, ale jej nie nadużywa. Takie rzeczy trzeba w Hollywood doceniać.

Na zdjęciu od lewej Roboto (Kristen Wiig), Man At Arms (Idris Elba), Adam (Nicholas Galitzine), Teela (Camila Mendes) i Cringer w filmie „Władcy wszechświata”

róbki rodzimej produkcji lub plastikowe, niewiele lepszej jakości, pochodzące prawdopodobnie ze Wschodu. Ich dostępność i przystępna cena, w połączeniu z częstymi emisjami serialu, sprawiły, że podwórka naszych osiedli roiły się od dzieciaków krzyczących wniebogłosy „Na potęgę Posępnego Czerepu! Mocy, przybywaj!” – najczęściej z kawałkiem patyka wzniesionym wysoko nad głową.

I właśnie w to uczucie – a raczej wspomnienie uczucia – wolności, radości i dziecięcej beztroski celuje Hollywood, tworząc kolejne remaki i sequele oraz wskrzeszając marki sprzed dekad. Kinowi „Władcy wszechświata” to przecież tylko jeden z wielu przykładów. A nostalgię pragną kapitalizować dziś wszyscy, od wytwórni muzycznych, przez producentów gier, aż po wydawców prasy.

Tzw. *legacy sequels*, czyli kontynuacje klasycznych marek z oryginalnymi bohaterami, tyle że starszymi i oddającymi pałeczkę młodszemu pokoleniu, potrafią zarabiać krocie: „Top Gun: Maverick”, nowa trylogia „Gwiezdnych wojen” czy seria „Creed” pokazały, że dobrze zagrana nostalgia to pewny interes. Nawet chłodniej przyjęte powroty – kolejne Terminatory, Rambo, Pogromcy duchów – zazwyczaj wychodzą na swoje. Hollywood nauczyło się, że sentyment to waluta twarda i przewidywalna. Nostalgia wystarczy, żeby widz sięgnął po portfel – ale oferowane doświadczenie rzadko odpowiada oczekiwaniom. Widzowie zwykli narzekać na mierną jakość remake'ów, rebootów i kolejnych części ulubionych serii z młodzieńczych lat.

Kiedy wchodziłem na salę przed seansem nowych „Władców wszechświata” w reżyserii Travisa Knighta (pierwsza ekranizacja, dostępna dziś w streamingu, pochodzi z roku 1987), myślałem podobnie. Ot, kolejna próba emocjonalnego (i ekonomicznego) wyłudzenia czegoś od mojego wewnętrznego dziecka.

Jakże przyjemnie byłem zaskoczony, kiedy okazało się, że ponad dwugodzinny seans spędzam z uśmiechem na ustach, świetnie się bawiąc. Owszem, nie jest to idealnie nakręcony film, ale swoją mieszanką humoru, doskonale wyreżyserowanej akcji i akceptacji odziedziczonego po latach 80. kiczu robi dokładnie to, co obiecuje – wzbudza emocje, które czuło się, oglądając kreskówkę. Knight osiąga to wszystko, pamiętając o korzeniach serii: spełnia nasze dziecięce fantazje o byciu herosami. ©

Lektor:
Między światami



▪ *Steven Price*, **KSIĄŻĘ LAMPEDUSY**, *tłum. Maciej Stroiński. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2026*

Kanadyjczyk pisze o ostatnich latach życia sycylijskiego arystokraty i powstaniu jego arcydzieła. Literatura także i pod tym względem się globalizuje, a pisarze stają się bohaterami literackimi. Szwedka Agneta Pleijel wzięła na warsztat historię przyjaźni Witkacego i Bronisława Malinowskiego, Irlandczyk Colm Tóibín – biografię Thomasa Manna, a José Saramago w „Roku śmierci Ricarda Reisa” ożywił jeden z heteronimów swojego rodaka Fernanda Pessoi. Przykłady można mnożyć.

Odrzucenie przez kolejnych wydawców „Lamparta” *vel* „Geparda” to jedna z najsłynniejszych tego rodzaju pomyłek. Nie chciały go sławne oficyny Mondadori i Einaudi, pisarz Elio Vittorini, skądinąd Sycylijczyk jak Tomasi di Lampedusa, uznał powieść za przestarzałą i reakcyjną. Na szczęście inne zdanie miał Giorgio Bassani, z którego przedmową „Gepard” ukazał się w 1958 r. u Feltrinellego. Tyle że autor tego nie doczekał.

A właśnie on, Giuseppe Tomasi książę Lampedusy, znajduje się w centrum powieści Price'a, podobnie jak Fabrizio, książę Saliny – w centrum „Geparda”. Tyle że świat, którego odchodzenie widzimy w „Gepardzie”, teraz już znajduje się w ruinie. W przenośni i dosłownie, bo i pałacom wojna przyniosła zagładę. Wchodzimy od razu *in medias res*: jest rok 1955, książę dobiega dopiero sześćdziesiątki, ale wydaje się znacznie starszy, no i lekarz, który rozpoznał u niego rozedmę płuc, daje mu do zrozumienia, że jego czas się kończy.

„Giuseppe zmartwił się, że niewiele po nim zostanie na tym świecie”. Nie wierzy w życie po śmierci. „Wszystkie jego wspomnienia, lęki, zapamiętane w dzieciństwie widoki (...) – wszystko to weźmie ze sobą do grobu; nieodwołalnie zniknie Giuseppe, chłopię w krótkich majtkach biegające z wiklinowym hula-hoopem, gruby i melancholijny starzec dziwujący się rzeźbionej agonii Chrystusa – po tym kimś nic nie przetrwa”.

A więc żal i lęk przed nicością? Pisanie powieści, na którą pomysł przychodzi nagle i które idzie z początku wyjątkowo sprawnie, stanie się teraz osią ostatnich dwóch lat życia księcia. A pociechą, prócz miłości żony, Alessandry-Licy, będą młodzi słuchacze jego prywatnych wykładów o literaturze. Młodego Gioacchina Lanzę pokocha i – bezdzietny – usynowi; narzeczona Giò, Mirella, przepisze powieść na maszynie.

Melancholia, nostalgia, trochę ironii – i niewątpliwa fascynacja mieszkańca Vancouver odległym i zaprzeszłym światem. Powie ktoś: to wtórne. Dla mnie raczej to świadectwo siły literatury. ©℗

PAWEŁ

Bravo:

Problemy pierwszego świata



„Łódka jest pełna” – to nie dosłowne hasło z zeszłych tygodni, ale w kampanii przed referendum w Szwajcarii na temat sztywnego ograniczenia liczby ludności do 10 milionów padały podobne. A to konkretne zdanie wypowiedział w 1942 r. ważny minister z Partii Rolników, Rzemieślników i Niezależnych Mieszczan, bezpośredniej poprzedniczki obecnej Szwajcarskiej Partii Ludowej, stojącej za tą inicjatywą. Wypowiedział mianowicie, by uzasadnić ostateczne zamknięcie granicy dla jeszcze pukających do drzwi (szlabanu?) niedobitków niemieckich Żydów. Co ja takiego mam z partiami ludowymi, że ich nie lubię? To wszystko przez PSL?

Niewielka większość zdecydowała jednak, że w Szwajcarii jest jeszcze dużo miejsca. Za czym zresztą przemawiają dane. Średnia gęstość zaludnienia jest tam wprawdzie niemal dwa razy wyższa niż u nas, co nie dziwota, bo wiele górskich obszarów to raczej siedlisko kozic albo krów w liliowe łaty. Ale demografowie znają lepsze wskaźniki obrazujące, czy gdzieś jest „ciasno”. Np. liczba izb mieszkalnych na obywatela. Szwajcarzy są grubo, ale to grubo powyżej europejskiej średniej.

Kochacie dygresje, zatem dodam, iż Polska w tym rankingu jest na ostatnim miejscu, do spółki z Rumunią. Żadne jednak cyferki, zwłaszcza z przecinkami, nie oddają zbiorowych uczuć, które są ulubionym tworzywem i paliwem polityków. Niestety z każdej strony – mam wrażenie, że dla wyborców centrowych i niepodatnych na szajby pozostaje głosowanie na jedyną możliwą dla nich partię o charakterze kanapowym, znajdującą się we własnym salonie.

Szwajcarskim dilerom ładu i porządku w oczekiwaniu na kolejną okazję pozostanie liczenie gołębi w Zurychu, trwa właśnie duży program magistratu z wykorzystaniem ogromnych pułapek, w których zakłada się ptakom obrączki, a także czipy do geolokalizacji. Niby w celach badawczych, przyrodniczych, ale coś mi mówi, że to tylko budowa naukowo brzmiącej podkładki pod eksterminację.

I znów te okropne skojarzenia z liczeniem ludzi w celach, by tak rzec, upiornie księgowych. Bez sensu, przecież mówimy o kraju omijanym przez geopolitykę, zdolnym utrzymywać przez długi czas dobrobyt uzyskany drogą ciężkiej pracy we w miarę egalitarnym i kolektywistycznym duchu. Gdzie izolacja i brak czegoś symbolicznie „ważnego” dla chciwych sąsiadów były błogosławieństwem. W warunkach nudy i bycia poza trasą walców historii wyraźnie widać pułapkę, w jaką wpędza



MAŁGORZATA OPAŁA

nas dostatnie życie bez kantów: im lepiej żyjesz i im bardziej ten dostatek zdaje ci się trwały, przyrodzony – tym coraz głośniej słyszysz w swojej głowie lęki. Coraz bardziej histerycznie reagujesz na zmianę. I łatwo dajesz sobie wcisnąć obiecany paraliż jako formę pożądanego spokoju. Niczym innym nie było to referendum, jak lękowym pomysłem, żeby wsadzić cały kraj do gipsu. Na amen, aż martwica zje całą nogę.

Mamy za mało izb na mieszkańca, franki oglądamy najwyżej na rozliczeniu niespłacalnego kredytu, ale gips nam na razie nie grozi, choć i w Polsce bywają enklawy tzw. problemów pierwszego świata. Jakże ciekawsze jednak są enklawy, czy raczej spore obszary ducha pionierskiego, gdzie co dzień słychać skrzypienie wozów na bezdrożu, a wieczorem nad szałasami unosi się dym znad kociołków z prostą strawą zdobywcy. A raczej dym znad bel słomy, palonych wczesną wiosną przez winiarzy, by uchronić krzewy przed przymrozkiem. Wiecie, że mam do tych ludzi i ich dzikiego trudu nieraz tu opisywaną słabość. Z powodów przede wszystkim kulturowych – nie ma ważniejszych dziejowo upraw niż zboże i winorośl. Nie ma bardziej symbolicznych i brzemiennych w treści pokarmów niż chleb i wino. Chleb jadamy od zawsze i oby go nie zabrakło, ale od dwóch dekad parę tysięcy dzielnych, ryzykanckich, pracowitych śmiałków w gumiakach próbuje zrobić coś, co się Polsce należało od czasów Mieszka: przenoszą ją bliżej Morza Śródziemnego. Nie damy rady się przeprowadzić pod Rzym albo Sienę lub Tarragonę (czynią to w naszym imieniu najbogatsi delegaci), to chociaż miejmy własne wino do obiadu.



I to się naprawdę udaje. Mogę powiedzieć to dziś nawet z prawie naukową pewnością, niczym urzędnik z Zurychu, bowiem jako wasz skromny wysłannik sędziowałem niedawno w najważniejszym polskim konkursie winiarskim, jaki rozgrywa się w zacnych ścianach poznańskiej restauracji Spot. Próbowałem w ciemno ponad setkę różnych win. W ciemno, więc nieskażony sympatią do konkretnych winiarzy czy fikuśną etykietą. Było lepiej, niż się spodziewałem. Coraz bardziej jest co pić między Odrą a Wisłą, a nawet na wschód od Wisły. Są już w tym świecie „zasiedziali" (od 15 lat, ha ha, takie to zasiadanie!) i zasobni gracze, jak Winnica Turnau, od których wręcz się należy domagać jakości. Ale i mnóstwo genialnego drobiazgu i średniaków.

Ten rok okazał się triumfem dla Winnicy Saganum. Żagań to jedna z pereł, jakie dostaliśmy mimochodem po drugiej wojnie, pełna śladów historii, Kepler się mija tam z Talleyrandem i Lisztem, ale ci młodzi ludzie pchają to miasto do przodu. Jasne, miałem też w kieliszku ewidentne błędy, rzeczy nie całkiem udane, pomyłki i przerost ambicji nad treścią. Ale z całą tą Szwajcarią w tyle głowy – bo to jednak była straszna historia, choć bez bomb i pożarów – ciągle się uśmiechałem na tę niedoskonałość. Za bycie u początku drogi. W trakcie pracy rzecz jasna wypluwałem, ale wy przy dobrej okazji wypijcie zdrowie Polski, której się jeszcze chce. Z umiarem, ale serdecznie, bo się nam to należy.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Konkurs winiarski Polskie Korki, SPOT. Poznań, czerwiec 2026 r.

Makaron z ziemniakami i serem provola

SKŁADNIKI
220 g makaronu (krótki format) 3 małe ziemniaki, raczej zwarte 1 marchew 1 łodyga selera naciowego 1 mała cebula 250 g sera provola lub np. mozzarelli w wersji do pizzy ▪ oliwa ▪ pieprz ▪ garść tartego parmezanu

O tym, że Szwajcaria była jeszcze z dwieście lat temu biednym góralskim zaściankiem, świadczy nędza jej tradycji jedzeniowych. Maczanie kawałków bułki w roztopionym serze ma, owszem, bardzo przyjemny aspekt wspólnotowy, zwłaszcza kiedy zgromadzeni wokół kociołka goście zaczynają się brudzić ciągnącym się jak guma raclette i śmiechom nie ma końca. Ale nie jest to szczyt europejskiego epikureizmu. Samo jednak użycie półpłynnego sera znajdziemy w wielu innych, bardziej rozwiniętych kuchniach, to jest coś, co daje nam poczucie otulenia, komfortu. Oto bardzo stary przepis neapolitański „pasta patate e provola". Raczej na zimne dni, bardzo sycący, pocieszycielski. Danie jest z kategorii „makaronów", ale przypomina w efekcie raczej zupiszcze. Kroimy w drobną kosteczkę marchew, seler i cebulę oraz w nieco większą (ok. 1 cm) ziemniaki. W dużym garnku rozgrzewamy oliwę, kładziemy gałązkę rozmarynu, kiedy mocno zapachnie, wyjmujemy ją i dodajemy trzy warzywa. Dusimy na wolnym ogniu 5 minut, po czym dodajemy ziemniaki. Zalewamy gorącą wodą tak, by ledwo przykryła wszystko (ok. 300 ml powinno starczyć), gotujemy pod przykryciem, aż ziemniaki prawie zmiękną. Dodajemy koncentrat oraz makaron i wlewamy ok. 200 ml dodatkowej wody, gotujemy dalej, aż makaron stanie się miękki, sukcesywnie dolewając wody (jakby to było risotto). Pod koniec gotowania wrzucamy pokrojony drobno ser. Jeśli nie mamy sera provola (to taka jakby dojrzewająca mozzarella), możemy dać ser scamorza albo po prostu zwartą mozzarellę do pizzy. Można też poeksperymentować i częściowo dać ser wędzony. Zdejmujemy z kuchni, intensywnie mieszamy, aż wszystko się pięknie rozpuści, na wydaniu dodajemy parmezan i świeżo zmielony pieprz. Podane proporcje wystarczą na cztery osoby. ©℗



ROSARIO / ADOBE STOCK

PSYCHE

CIESZ SIĘ CISZĄ

Z początku to może być niewygodne,
a nawet drażniące.
Kim jestem, kiedy nie osiągam,
kiedy nie jestem widziana za to, co robię dla innych?

KAMA WOJTKIEWICZ

Zmywam naczynia. Bez podkastu w tle, bez trwającego właśnie spotkania na Google Meet. W ciszy i skupieniu. Dociera do mnie dziwny impuls. Nagle czuję radość i wdzięczność, ale kompletnie nie rozpoznaję, za co. Przecież nic się nie dzieje, zmywam tylko talerze. Po chwili orientuję się, że to powidoki spotkania autorskiego w Gdańsku, w Bibliotece pod Żółwiem, gdzie spotkałam się z tak wieloma przejawami życzliwości, troski i ekscytacji ze wspólnych rozmów, że nie zdążyłam tego zarejestrować.

System się przeładował, a ja upchałam radość i rozkosz rozmawiania z ciekawymi świata ludźmi na tyle głęboko, że przez tydzień zapomniałam, że coś poczułam. Pomogła mi w tym dostateczna ilość zadań, wywiady, wystąpienia w audycjach radiowych i telewizji. Zajętość, podlewana edukacyjnym podkastem w tle czy serialem. Bez chwili na to, żeby zorientować się we własnym przeżyciu. Ominęło mnie tym samym całe spektrum stanów, których mogłabym doświadczyć, gdybym tylko zrobiła im miejsce, bez rozpraszaczy.

Nic dziwnego więc, że dopiero wychodząc z kontekstu zajętości, bez stymulujących bodźców na drugim planie, dotarła do mnie zaległa radość sprzed tygodnia. Ile myśli, stanów emocjonalnych, refleksji i wrażeń omija nas, kiedy zalepiamy ciszę działaniem? Dlaczego tak trudno jest wytrzymać siebie w bezruchu, stanie głęboko nieproduktywnym?

Słowem – co nam umyka, kiedy każda chwila jest wypełniona informacjami i bodźcami, a brakuje miejsca na swobodny namysł w ciszy?

Jak nie być za ani przeciw

W psychologii mówimy o zdolności do tolerowania niepewności i ambiwalencji jako przejawie dojrzałości psychologicznej. Człowiek dojrzały zdaje się dobrze sobie radzić z brakiem rozstrzygnięcia różnych kwestii czy jasnej odpowiedzi na zadane pytanie. Jeśli umiem znosić pustkę, bez frenetycznego poszukiwania domknięcia, jestem też zdolna, aby mieścić w sobie sprzeczne myśli, godzić stojące w opozycji argumenty.

Można powiedzieć, że w medialnej kulturze oburzenia, wymuszającej na nas skrajne emocje – od zachwytu i idealizacji, po dewaluację i nienawiść – przejawem buntu będzie kultywowanie postawy symetrycznej. Zakłada ona, że warto dostrzec dwie strony medalu tam, gdzie chciałoby się szybko zredukować czyjś pogląd do godnego wyłącznie poklasku lub potępienia.

Żeby jednak umieć mieścić w sobie wspomniane sprzeczności, trzeba przyjąć, że istnieje jakaś wartość w nierozstrzyganiu, nieopowiadaniu się od razu za czy przeciw. Że danie sobie czasu na namysł otwiera możliwość, aby pewne fakty, wspomnienia, przeżycia miały szansę do nas dotrzeć i jakoś nas dotknąć. Coś w nas poruszyć. ↦



NICO.STOCK / SHUTTERSTOCK



↦ Jeśli rejestrujemy rzeczywistość wyłącznie na poziomie poznawczym, umyka nam komponenta afektywna, a więc to, jak zdarzenia czy interakcje wpływają na nas emocjonalnie. Można więc doskonale pamiętać, co się robiło, jakie zadania się wykonało, a jednak nie mieć zbyt wiele przeżyć z tym związanych. Wtedy funkcjonujemy jak dobrze naoliwione maszyny – sprawne, ale martwe w środku.

Jak być ze sobą

Zdolność do znoszenia siebie w ciszy i przebywania w bezruchu, ze swoimi myślami, to umiejętność, którą paradoksalnie nabywamy w towarzystwie drugiego człowieka. Brytyjski psychoanalityk Donald W. Winnicott, najczęściej cytowany w kontekście pojęcia „wystarczająco dobrej matki", w swoim tekście z 1958 r. zatytułowanym „The Capacity to Be Alone" (to jeden z rozdziałów książki „The Collected Works of D.W. Winnicott, vol. 5, 1955-1959", 2016) stawia tezę, że niemowlę uczy się znosić samotność dzięki obecności wspierającej matki, która, choć fizycznie obecna, nie interweniuje. Stwarza natomiast przestrzeń do tego, żeby dziecko mogło być, bez komunikowania się czy zagadywania ciszy.

Być może wiele i wielu z nas nigdy nie doświadczyło ciszy, w której można bezpiecznie się rozgościć, która nie staje się zagrożeniem do jak najszybszej eliminacji, tylko zaproszeniem do eksploracji swojego świata wewnętrznego. Jeśli tak, wtedy jednym z ważniejszych wyzwań dorosłości staje się nauka wytrzymywania siebie w ciszy poprzez stworzenie bezpiecznej bazy dla możliwości jej zaistnienia – warunków, w których człowiek będzie mógł trwać bez bodźców, bez scrollowania, bez napływających do uszu informacji, bo cisza nie będzie generować napięcia.

Pracując z pacjentami w gabinecie psychologicznym, niejednokrotnie powstrzymuję się przed tym, żeby nie zagadać momentów ciszy, w których dzieje się coś dla pacjenta ważnego. Dociera jakaś informacja, przeżycie, na które nie było w codziennym biegu miejsca. I nie jest tu potrzebna fachowa interpretacja, a raczej moment zaniechania działania, chwila zawieszenia, w której to pacjent czy pacjentka zdąży samodzielnie połączyć kropki.



NICO STOCK / SHUTTERSTOCK

Cisza i trwanie w próżni, bez komunikatów na temat własnej wartościowości, jest nie do zniesienia, jeśli nasz obraz siebie nie stoi na stabilnych fundamentach.

Jak być w ciszy

O wewnętrznym i zewnętrznym hałasie, który staje się formą ataku na własne myślenie, ale i niespełnioną potrzebą bycia widzianą przez innych, wnikliwie opowiada pisarka Małgorzata Halber w wydanym w roku 2024 „Hałasie". „Mam wrażenie, że połowa życia, w którym się obracam, jest wymyślona, ponieważ dzieje się w telefonie, jest powiadomieniami, jest rozmowami, które nie są rozmowami, tylko nieustającą możliwością pisemnej rozmowy" – pisze Halber.

Zalew dopaminowych bodźców sprawia, że wytrwanie w ciszy staje się wyzwaniem wymagającym ponadprzeciętnej siły woli. Podczas czytania czegokolwiek dłuższego niż post na Instagramie uwaga skacze i domaga się szybkiego strzału, sprawdzenia powiadomień. Ten rodzaj specyficznego otępienia i odrętwienia, który czuje się po paru godzinach scrollowania, nie zostawia miejsca na żywe rozmyślanie, zaciekawienie się światem zewnętrznym, zachwyt czymś błahym. I znów – omija nas wiele wrażeń i przeżyć, które nie zdołają do nas dotrzeć, zostać zapamiętane.

Halber stawia tezę, że nie chodzi tu o „narcyzm" współczesnego człowieka, a jego dojmującą samotność, która poprzez media społecznościowe krzyczy: „Zobacz mnie, jestem w tej chwili, zobacz mnie w robieniu tego, co robię teraz. Widzisz? Powiedz coś (skomentuj). Powiedz, że mnie widzisz, bo ja siebie nie widzę, nie mam oczu do widzenia siebie. Nie mam kontekstu. Nie wiem, czy robię dobrze, nie wiem, czy w ogóle istnieję".

Cisza i trwanie w próżni, bez komunikatów na temat własnej wartościowości, jest nie do zniesienia, jeśli nasz obraz siebie nie stoi na stabilnych fundamentach, a w dużej mierze zależy od zewnętrznej aprobaty. Wtedy generowanie hałasu staje się jedyną możliwą formą bycia w świecie, a ruch i osiąganie pozwalają zgrabnie omijać docierające od wewnątrz sygnały niezadowolenia czy pustki.

Jak odpoczywać

Czym właściwie jest jakościowy odpoczynek? Okazuje się, że nie chodzi tu o ciszę dla samej ciszy, a raczej wejście w specyficzny stan umysłu, nastawiony na odbieranie, a nie działanie. Odbieranie informacji z wewnątrz, podłączanie się pod możliwość zachwytu rzeczywistością, konsolidowanie wspomnień, integrowanie przeżyć ostatnich dni z naszą pamięcią i rozumieniem siebie w kontekście.

Kiedy pozwalamy sobie na swobodne dryfowanie w wyobraźni, błądzenie myślami, a nawet nudę, w mózgu aktywuje się tzw. *default mode network* (DMN), czyli sieć spoczynkowa odpowiedzialna za integrowanie doświadczeń, tworzenie narracji o sobie, planowanie, regulację emocji. Zakłócanie jej działalności poprzez nieustanne zadania nie pozwala nam integrować wiedzy o sobie i świecie, dokonywać pogłębionej autorefleksji, być kreatywnymi czy nadawać rzeczom sens.

Być może to właśnie rozmyślanie będzie tym czymś, co pozwoli nam odzyskać równowagę, dokopać się do ważnych informacji na własny temat i uporządko-

wać rozumienie tego, co nam się przydarza. Odpoczynek przestanie być wtedy intensywnym treningiem czy piątkową imprezą, a możliwością nieograniczonego błądzenia myślami po świecie wyobraźni.

Zresztą, w ciszy myślimy nie tylko swoje myśli. Dociera do nas wszystko to, co na co dzień zagłusza hałas – narracje, którymi nasiąkamy w kontakcie z otaczającą kulturą, przekonania, które stają się nieaktualne dzięki perspektywie innych osób, nadzieje na to, co przyniesie przyszłość, tęsknoty za tym, co już minęło.

Liczne warstwy, z których składa się doświadczenie bycia w świecie, a które wymykają się naszym własnym rozmyślaniom. Odbicie siebie w oczach drugiego człowieka, zrozumienie własnych trudów poprzez kontakt ze sztuką, ale i pytania, które pozwalają spojrzeć na własną sytuację z metapoziomu – to wszystko nie ma szans nas zmienić, jeśli zredukujemy naszą codzienność do działania i osiągania.

Jak przestać się nadużywać

Wyzwaniem staje się też wypadnięcie z obiegu, doświadczenie stagnacji czy zawieszenia. Dla niektórych osób takim momentem jest urlop macierzyński lub tacierzyński, utrata bliskiej osoby, wypalenie zawodowe, pójście na L4 czy przejście na emeryturę. Ów moment wyjścia z kołowrotka daje niezwykłą okazję, aby przyjrzeć się sprawom z daleka.

Zobaczyć swoje funkcjonowanie „na trzeźwo", już nie z epicentrum zajętości, emocjonalnego odrętwienia i hałasu, a raczej z dystansu, który ujawnia, jak bardzo jesteśmy zmęczeni, odłączeni od siebie nawzajem i przebodźcowani. I wtedy nie ma już powrotu – nie da się równie gładko wskoczyć z powrotem w wir zadań i działania na wysokich obrotach.

Skontaktowanie się z własnym zmęczeniem zamyka bezpowrotnie drogę do nadużywania swojego ciała, zaciskania zębów i działania wbrew potężnemu przemęczeniu. I jest to dobra wiadomość. Żyję, czuję i dalej już tak nie mogę. Cisza i moment zatrzymania obnażają wszystkie dotychczasowe mechanizmy przekraczania własnych możliwości. W pewnym sensie koszt, który się ponosi, to radykalne zmniejszenie sił przerobowych. A wraz z nim – odzyskanie czasu na refleksję nad tym, co tli się w środku.

Jak siedzieć

Cisza i doświadczenie siebie jako osoby niedziałającej, nieosiągającej, a raczej rozmyślającej i otwartej na to, co przyjdzie, może stać się dziś antidotum na skrajne emocjonalne odrętwienie, przytłoczenie bodźcami i informacjami. Nie mając doświadczenia bezpiecznego przebywania w ciszy w towarzystwie nieingerującego dorosłego, będziemy musiały i musieli zbudować tolerancję na pustkę i nudę od podstaw.

Z początku może być to niewygodne, drażniące i podważające nasze przekonania na temat własnej wartości. W końcu kim jestem, kiedy nie osiągam, kiedy nie jestem widziana za to, co robię dla innych? Istnieje jednak wartość w poszerzaniu wewnętrznego kontenera na ciszę, pustkę i bezruch – możliwość wejścia w stan umysłu, który pozwala zaciekawić się rzeczywistością, zachwycić, zainspirować. Pomyśleć coś o sobie inaczej, wpaść na pomysł, który nie powieli tego, co już jest, tylko stworzy coś całkiem nowego, twórczego.

W ciszy drzemie też możliwość błądzenia po wyobraźni, introspekcji, konsolidowania informacji z pamięcią, przetwarzania tego, co nam się przydarza, nie tylko poznawczo, ale i afektywnie. Brak bodźców i zatrzymanie to też ćwiczenie się w tym, jak nie rzucać się na odpowiedzi, tylko siedzieć z samymi pytaniami, bez natychmiastowego opowiadania się za czy przeciw. Być może to właśnie w większej różnorodności pytań, nie odpowiedzi, pojawi się lepsze zrozumienie własnych doświadczeń.

W sytuacji przytłoczenia i nieustannego bombardowania nas informacjami to właśnie zawieszenie działania i reagowania na rzecz myślenia, bycia z myślami i czucia na bieżąco tego, co przychodzi, pogłębi naszą obecność i zaangażowanie w życie.

A zmywanie naczyń nie będzie już jedynym momentem, żeby świadomie rejestrować to, co się w nas aktualnie dzieje.

© KAMA WOJTKIEWICZ

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

REZERWUJ CZAS!

BIELSKO-BIAŁA,
czwartek, 18 czerwca, godz. 17.00,
Willa Sixta (ul. Mickiewicza 24), spotkanie z Danutą Kuroń.
Prowadzenie: prof. Rafał Cekiera.

TRÓJMIASTO,
czwartek, 18 czerwca, godz. 18.00,
Gdańsk Wrzeszcz, Biblioteka Manhattan, spotkanie „Między cenzurą a wolnością. Gdański drugi obieg wydawniczy w latach 70. i 80.", z udziałem Piotra Kapczyńskiego i Mirosława Rybickiego.
Prowadzenie: dr hab. Konrad Knoch.

TRÓJMIASTO,
sobota, 20 czerwca, godz. 16.00,
Gdańsk Wrzeszcz, Biblioteka Manhattan, spotkanie ze współtwórcami książki „Herezja": o. Wacławem Oszajcą, Martą Glińską, Wojciechem Baranem, Elżbietą Wojciechowską-Baran, ks. Romanem Lipińskim oraz autorką Ewą Barciszewską.

WARSZAWA,
czwartek, 25 czerwca, godz. 18.00,
Międzypokoleniowa Klubokawiarnia DKŚ (ul. Anielewicza 3/5), cykl Czytelnia Klubu „TP" Warszawa „Między stronami": spotkanie z Wojciechem Bonowiczem, autorem tomiku poezji „Bardzo" (wiersze czytał będzie Robert Więckiewicz).
Prowadzenie: Joanna Rózga.

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL
jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

TOMASZ

Stawiszyński:
Pytanie o drogę



Nie wiem, jak Państwa, ale mnie już od dawna nikt nie pytał o drogę. Nie pamiętam też za bardzo, kiedy ostatnio sam kogoś o drogę pytałem. To znaczy, owszem, jakiś czas temu, ze wzrokiem utkwionym w Google Maps, usiłowałem dotrzeć do pewnego miejsca. Aplikacja wskazywała, że już dotarłem, ale dookoła nic tego nie potwierdzało, zdesperowany zagadnąłem więc napotkanego przechodnia, który zdawał się odrobinę przestraszony, że się na ulicy ktoś do niego znienacka odzywa. No ale był to co najwyżej wyjątek potwierdzający smutną regułę: odkąd istnieją smartfony, sytuacje, w których się prosi o pomoc w odnalezieniu stacji docelowej, stały się ekstremalnie rzadkie.

Dlaczego smutną? Otóż mam wrażenie, że te drobne gesty wsparcia, dzięki którym człowiek czuł się wyprowadzany ze stanu zagubienia przez obcą a przyjazną osobę, niosły w sobie doświadczenie bezinteresownej życzliwości, o które dziś coraz trudniej. Również udzielanie takich informacji miało działanie formacyjne. Wytrącało z egotycznego zatopienia we własnych myślach, dawało poczucie sprawstwa, przynosiło satysfakcję, że się komuś w czymś rzeczywiście, a nie, za przeproszeniem, wirtualnie – lajkiem lub serduszkiem – ulżyło. I nie tylko. Nawiązywały się w takich okolicznościach luźne konwersacje. Rodziły znajomości, miłości, przyjaźnie. Otwierały szanse na spotkania, które by się w żadnych innych okolicznościach nie wydarzyły. Stykały się światy. Introwertycy choć na chwilę przekraczali swoją introwersję, ekstrawertycy choć na chwilę powściągali swoją ekstrawersję. A to wszystko pod znakiem niewymuszonej troski, by nie powiedzieć – czułości.

Sporo się teraz mówi o niebezpieczeństwach sztucznej inteligencji i o tym, jak na stosunki międzyludzkie wpływa powszechna wirtualizacja, ale ani razu się dotąd nie zetknąłem ze zwróceniem uwagi na zagrożenia związane z zanikiem pytania o drogę. Tymczasem chodzi tu przecież o cały nasz sposób bycia – w przestrzeni i w ogóle. Zapytanie kogoś o drogę to przecież deklaracja bezradności. Wymaga przyznania się przed samym sobą, żeśmy się zgubili. W epoce samorozwoju, kultu sprawczości i siły, już sam ten akt stanowi wartość samą w sobie.

Istotnie, pytać o drogę można także w sposób autorytarny, jak to kiedyś uczynił mój wuj, z którym podróżowaliśmy do Słupska, żeby obejrzeć obrazy Witkacego w Muzeum Pomorza Środkowego mieszczącym się w Zamku Książąt Pomorskich. Były wczesne lata 90., o żadnych GPS-ach nikt jeszcze nie słyszał, wuj zaś żywił przekonanie, że jego zdolności czytania mapy i operowania w terenie spokojnie dorównują kompetencji wyspecjalizowanych jednostek Navy Seals. W efekcie krążyliśmy po tym Słupsku przez ponad godzinę, a wuj nawet nie chciał słyszeć, żeby kogokolwiek poprosić o radę. Kiedy już jednak nie miał innego wyjścia, bo upał panował niemiłosierny, a w jego wysłużonej ładzie brakowało klimatyzacji, wreszcie się przemógł. Przystanąwszy przed przejściem dla pieszych wychylił się przez okno i zaczął krzyczeć na cały głos: „Zamek! Gdzie jest zamek?!”. Trudno się dziwić, że przechodzące właśnie przez pasy dwie dziewczyny nic na to nie odpowiedziały, tylko, cokolwiek spłoszone, przyspieszyły kroku.

No właśnie, można pytać autorytarnie i władczo, ale można też kulturalnie i z gracją. Uznawszy, powtórzę, własną bezradność i zagubienie, otworzywszy się na cudzą pomoc. Czy można sobie wyobrazić coś, co lepiej uświadamia, jak bardzo jesteśmy od siebie zależni? Jak potrzebujemy się nawzajem, żeby skutecznie nawigować w skomplikowanym świecie? Żeby wychodzić z różnych zagubień i zapętleń – nie tylko przestrzennych, lecz także, a może przede wszystkim, życiowo-losowych, gdzie, jak wiadomo, dalece nietrudno znaleźć się nagle w chaosie i desperacji?

Cóż, prawda jest taka, że realnego człowieka, który spogląda na nas życzliwie, słucha, co do niego mówimy i gratisowo poświęca swój czas, żeby nam pomóc – choćby to były dwie minuty, choćby i nawet 30 sekund – nigdy nie zastąpi żadna, najdoskonalsza nawet aplikacja. Podobnie rady, której ten człowiek nam z dobrego serca udzieli, nie zastąpi ujednolicona ocena miliona użytkowników (z których co najmniej połowa to boty działające na zamówienie) wyrażona w gwiazdkach, których proporcję oblicza bezduszny algorytm.

Dlatego pozwolę tu sobie na mały apel. Kiedy tylko się da – czyli: w sytuacjach, w których nie jest to absolutnie konieczne – rezygnujmy z polegania na aplikacjach na rzecz samodzielnych wędrówek. A kiedy zabraknie nam pewności, czy podążamy odpowiednią drogą, pytajmy się nawzajem, którędy dotrzeć tu lub tam. Ćwiczmy cierpliwie te zapomniane frazy: „Przepraszam bardzo, gdzie znajdę X?”, „Przepraszam bardzo, czy dobrze idę do Y?”. Sami na tak zadane pytania reagujmy uśmiechem i energiczną poradą. Słowem, odzyskujmy te cząstki elementarne, z których tka się poczucie wspólnoty i bezpieczeństwa. Wbrew pozorom stanowią one fundament, na którym wznoszą się budowle znacznie poważniejsze i bardziej doniosłe. Owszem, liczą się sprawne instytucje, odpowiedzialni politycy, starania o pokój i społeczny ład, niemniej codzienne mikrodawki życzliwości liczą się co najmniej tak samo. A można by nawet zaryzykować tezę, że bez tych ostatnich pierwsze nie mogłyby istnieć. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd”. Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem”, „Ucieczki od bezradności”, „Reguł na czas chaosu” i „Powrotu fatum”.


25 LAT FESTIWALU!
SZTUKA, WSPÓŁPRACA, SPOŁECZNOŚĆ
KREUJE
18—28.6.2026
FOTOFESTIWAL
ORGANIZATOR
FEW
WSPÓŁORGANIZATORZY
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
WSPÓŁORGANIZATORZY
ŁÓDZKIE CENTRUM WYDARZEŃ
FABRYKA SZTUKI
GŁÓWNY SPONSOR
E. Wedel
PARTNER STRATEGICZNY
Bank Polski
GŁÓWNI PARTNERZY
UNIWERSYTET ŁÓDZKI
Leica
FUZJA
FUTURES
Co-funded by the European Union
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
INSTYTUT ADAMA MICKIEWICZA
prohelvetia
EIDOTECH • Polska

REKLAMA

Albatros travel

Nowy Rok w Rzymie

Powitaj Nowy Rok w wiecznym mieście – Rzymie. Poznaj jego największe atrakcje i daj się uwieść niepowtarzalnemu urokowi tego wspaniałego miasta.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot z Warszawy do Rzymu. **Dz. 2** Zwiedzanie Rzymu pieszo z przewodnikiem. Ołtarz Pokoju, Schody Hiszpańskie, Fontanna Barcaccia i Fontanna di Trevi oraz Panteon, czas wolny i kolacja w hotelu. **Dz. 3** Wycieczka do Castelli Romani, w programie wizyta w Castel Gandolfo i Frascati z lekkim obiadem (dodatkowo płatna). Wieczorem kolacja Sylwestrowa. **Dz. 4** Dzień wolny w Rzymie. Możliwość odwiedzenia Bazyliki św. Piotra lub podziwianie noworocznych skoków do Tybru z Ponte Cavour. **Dz. 5** Spacer po Watykanie z przewodnikiem. Wylot z Rzymu do Warszawy.

5 dni | Wylot z Warszawy 29/12 2026 | od 5.798,-

Niezwykła podróż po Bułgarii i Rumunii

Odkryj pełne tajemnic Karpaty, malownicze wioski, średniowieczne miasta oraz zachwycającą przyrodę i odwiedź Siedmiogród, gdzie legenda o Drakuli jest wciąż żywa.

Program wycieczki: Dz. 1 Warszawa – Sofia. Zwiedzanie miasta i kolacja powitalna. **Dz. 2** Sofia – Klasztor Rila – Sofia. Wycieczka do klasztoru Rila, obiad i Muzeum Historyczne. **Dz. 3** Sofia – Koprivsztica – Płowdiw. Domy kupieckie w Koprivszticy i zwiedzanie Płowdiw – Europejskiej Stolicy Kultury 2019. **Dz. 4** Płowdiw – Kazanłyk – Wielkie Tyrnowo. Produkcja olejku różanego, grobowiec królewski w Kazanłyku, przełęcz Szypka i Muzeum-Skansen w Etar. **Dz. 5** Wielkie Tyrnowo – Bukareszt. **Dz. 6** Bukareszt – Sybin. Pałac Parlamentu, klasztor Cozia, przejazd przez Karpaty i wycieczka po Sybinie. **Dz. 7** Sybin – Sighișoara – Sybin. Wycieczka do średniowiecznego miasteczka Sighișoara oraz kolacja u lokalnej rodziny. **Dz. 8** Sybin – Bran – Braszów. Wizyta w stadninie koni lipicańskich i „Zamek Drakuli" w Bran. **Dz. 9** Braszów – Sinaia - Braszów. Zamek Peleș w Sinaia, Czarna Bazylika w Braszowie i czas wolny. **Dz. 10** Braszów – Bukareszt – Warszawa i powrót do domu.

10 dni | Wylot z Warszawy 18/09 2026 | od 7.998,-

Afryka Mandeli

Trasa tej wycieczki do RPA prowadzi przez najpiękniejsze miejsca tego afrykańskiego kraju: od safari w Parku Krugera przez Przylądek Dobrej Nadziei do Kapsztadu.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Johannesburga. **Dz. 2** Przylot do Johannesburga i przejazd do Hazyview. **Dz. 3** Trasa Panoramiczna i Manyeleti w Parku Narodowym Krugera. **Dz. 4-5** Safari w rezerwacie Manyeleti w Parku Narodowym Krugera. **Dz. 6** Rezerwat Dzikich Zwierząt Manyeleti - Zebra Nature Reserve. Wycieczka do Zebra Reptile Center. **Dz. 7** Wycieczka do Soweto i Pretorii. **Dz. 8** Zebra Nature Reserve – George – nadmorskie miasteczko Knysna. **Dz. 9** Rezerwat przyrody Featherbed, laguna Knysna i spacer po nadmorskim lesie. **Dz. 10** Knysna. Winnica w Robertson z degustacją wina. Kapsztad. **Dz. 11** Kapsztad - zwiedzanie miasta. Ogród Botaniczny Kirstenbosch. **Dz. 12** Kapsztad. Przylądek Dobrej Nadziei. Rejs na wyspę Duiker. Punkt widokowy Chapman's Peak. Kolonie pingwinów w Simon's Town. **Dz. 13** Kapsztad. Podróż powrotna. **Dz. 14** Przylot do Polski.

14 dni | Wyloty z Warszawy 22/11 2026, 12/03 2027

od 15.498,-

REKLAMA

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **TP13**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe